

ANDREA Camilleri



Wiek wątpliwości



NOIR SUR BLANC

ANDREA CAMILLERI

Wiek wątpliwości

Przełożyła
Monika Woźniak

NOIR SUR BLANC

Tytuł oryginału: L'ETÀ DEL DUBBIO

Opracowanie redakcyjne: KLEMENS GÓRSKI Korekta: BEATA WYRZYKOWSKA,
JOLANTA SPODAR

Projekt okładki: TOMASZ LEC

Opracowanie graficzne serii: OLGIERD CHMIELEWSKI Skład i łamanie: PLUS 2
Witold Kuśmierczyk

Copyright © 2008 Sellerio Editore, Palermo

For the Polish edition

Copyright © 2015, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-7392-542-7

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

1

Ledwie udało mu się zasnąć, po jednej z najgorszych nocy w życiu, kiedy obudził go nagle grzmot, niczym wystrzał z armaty ustawionej tuż obok niego. Aż podskoczył na łóżku, głośno klnąc z przestachu. I zrozumiał, że sen już nie wróci, nie było sensu leżeć dalej.

Wstał, podszedł do okna i wyjrzał. Burza szalała aż miło, niebo było czarne po horyzont, rozświetlane przez upiorne błyskawice, wysokie na cztery metry fale gnały przed siebie, potrząsając białymi grzywami piany. Przypływ pochłonął plażę, woda podeszła pod samą werandę. Komisarz popatrzył na zegarek, była dopiero szósta.

Poszedł do kuchni, zaparzył kawę i usiadł, czekając, aż burza się uspokoi. Z wolna wracała mu pamięć tego, co mu się przyśniło. Już od kilku lat miał taki upierdliwy kłopot. Skąd mu się wzięło, żeby pamiętać wszystkie głupoty, jakie mu się śniły? Z tego, co wiedział, nie każdy po obudzeniu pamięta swoje sny. Otwiera oczy i te wszystkie rzeczy, przyjemne czy okropne, które przydarzyły mu się we śnie, po prostu znikają. Z nim było inaczej. A już najgorsze, gdy sny były skomplikowane, rodzące wiele pytań, na które z reguły nie umiał znaleźć odpowiedzi. W rezultacie nieodmiennie wpadał w zły humor.

Poprzedniego wieczoru położył się spać w dobrym nastroju. Od tygodnia w komisariacie nie działo się nic ważnego i Montalbano chciał z tego skorzystać, aby zrobić niespodziankę Livii, pojawiając się u niej w Boccadasse. Zgasił światło, wyciągnął się na łóżku i prawie od razu zasnął. I zaraz zaczął śnić.

– Catarè, dzisiaj wieczorem jadę do Boccadasse – mówił, wchodząc do komisariatu.

– Ja też chcę pojechać!

– Nie, ty nie!

– Ale dlaczego?

– Bo nie.

Wtedy zjawiał się Fazio.

– Panie komisarzu, przepraszam, ale nie może pan pojechać do Boccadasse.

– A to czemu?

Fazio wyglądał na zmieszanego.

– Ależ, panie komisarzu, zapomniał pan?

– Co takiego?

– Że pan umarł wczoraj rano, równo piętnaście po siódmej.

I wyciągał z kieszeni karteczkę

– Pan jest nieboszczykiem Salvem Montalbanem, który...

– Zostaw w spokoju dane! Naprawdę umarłem? Jak to się stało?

– Dostał pan udaru.

– Gdzie?

– Tutaj, w komisariacie.

– Kiedy?

– Podczas gdy rozmawiał pan na telefonie z panem kwestorem – dodał

Catarella.

Najwyraźniej ten skończony chuj Bonetti-Alderighi tak go wkurzył, że...

– Jeśli pan chce się zobaczyć... – mówił Fazio. – Trumnę ustawiliśmy w pana gabinecie.

Zrobili miejsce między stosami papieru zalegającymi biurko i postawili na nim otwartą trumnę. Montalbano popatrzył na siebie. Nie wyglądał na nieboszczyka, ale od razu zrozumiał, że ciało złożone w trumnie to on.

– Zawiadomiliście Livię?

– Tak – odpowiadał Mimì Augello, zbliżając się.

Obejmował mocno Montalbana i mówił ze szlochem:

– Moje kondolencje.

A rodzaj chóru powtarzał:

– Kondolencje, kondolencje!

Chór składał się z Bonettiego-Alderighiego, szefa jego gabinetu Lattes, Jacomuzziego, dyrektora Burgia i dwóch grabarzy.

– Dziękuję – mówił.

W tej samej chwili zbliżał się doktor Pasquano.

– Jak umarłem? – pytał Montalbano lekarza.

Pasquano się wkurzał.

– Co, jeszcze jako nieboszczyk musi mi pan dupę zawracać? Niech pan poczeka na wynik sekcji!

– Nie może mi pan niczego powiedzieć?

– Wygląda to na piorunujący udar, ale są pewne symptomy, które mnie nie...

– O nie! – wtrącał się kwestor. – Komisarz Montalbano nie może prowadzić dochodzenia w sprawie własnej śmierci.

– Dlaczego?

– To nie byłoby właściwe. Jest za bardzo zaangażowany osobiście. Poza tym regulamin tego nie przewiduje. Przykro mi. Śledztwo zostało powierzone nowemu szefowi lotnej brygady.

Wtedy Montalbano coś sobie przypomniał i odwoływał na stronę Mimì.

– Kiedy przyjedzie Livia?

Mimì robił zażenowaną minę.

– Powiedziała, że...

– No co?

Mimì wpatrywał się w czubki swoich butów.

– Powiedziała, że nie wie.

– Czego nie wie?

– Nie wie, czy zdąży przyjechać na pogrzeb.

Rozgniewany Montalbano wypadał z pokoju, szedł na podwórze, gdzie piętrzyły się wieńce pogrzebowe i czekał karawan gotowy do odjazdu, wyciągał z kieszeni komórkę.

– Halo, Livia? Tutaj Salvo.

– Cześć, jak się masz? Oj, przepraszam, nie chciałam...

– Co to za historia, że nie zdążysz na pogrzeb?

– Posłuchaj, Salvo. Gdybyś był jeszcze żywy, zrobiłabym wszystko, aby być dalej z tobą. Może nawet bym za ciebie wyszła. Z drugiej strony, w moim wieku, kiedy zmarnowałam życie na związku z tobą, co innego mi pozostało? Ale biorąc pod uwagę, że nagle nadarza mi się ta jedyna w swoim rodzaju okazja, sam rozumiesz...

Montalbano wyłączył komórkę i wracał do środka, gdzie odkrywał, że zamknięto już trumnę i kondukt ruszył w drogę.

– Idzie pan? – pytał Bonetti-Alderighi.

– No tak – odpowiadał.

Ale kiedy zeszli na podwórze, jeden z żałobników potknął się i trumna spadła na ziemię z hukiem, który go obudził.

Nie zdołał już znowu zasnąć, dręczony pytaniami. Jedno zwłaszcza nie dawało mu spokoju. Co oznaczało zdanie Livii, która mówiła, że chce skorzystać z okazji? Oznaczało po prostu, że jego śmierć byłaby dla niej rodzajem wyzwolenia. I wobec tego następne pytanie musiało brzmieć, ile prawdy zawierało się w tym śnie. W tym konkretnym przypadku było jej aż za dużo.

Bo było prawdą, że Livia musiała go mieć powyżej uszu, a raczej powyżej czubka głowy. Czy to możliwe, że sumienie Montalbana odzywało się zawsze i wyłącznie we śnie, rujnując mu nocę? W każdym razie, powiedział sobie, to, że Livia nie miała zamiaru przyjechać na jego pogrzeb, było bardzo wredne niezależnie od powodów, jakie mogły nią kierować.

Kiedy wyszedł, żeby wsiąść do samochodu i pojechać do komisariatu, zauważył, że morze podeszło na pół metra od podjazdu przed domem; nigdy jeszcze nie widział, aby woda sięgnęła tak daleko. Plaża znikła, zamieniła się w wodną równinę.

Potrzebował kwadransa i z setki przekleństw, zanim silnik samochodu zdecydował się zapalić, co naturalnie tylko pogorszyło jego i tak już fatalny nastrój.

Przejechał może z pięćdziesiąt metrów i musiał się zatrzymać, sznur samochodów ciągnął się, dokąd wzrok sięgał, a raczej tak daleko, jak mógł dojrzeć przez przednią szybę, z której wycieraczki nie nadążały usuwać potoków deszczu.

Wszystkie stojące w korku samochody kierowały się na Vigatę, drugim pasem szosy nie przejeżdżał nawet motocykl.

Po dalszych dziesięciu minutach komisarz postanowił wyjechać z korka, zawrócić na skrzyżowanie do Montereale i tam skierować się na dłuższą trasę, którą dojechałby w końcu do celu.

Nie mógł jednak wykonać manewru, bo przód jego samochodu znajdował się zbyt blisko auta jadącego przed nim, i tak samo było z tyłu.

Znalazł się w potrzasku, musiał zostać tam, gdzie był. Najbardziej go wkurzało to, że nie rozumiał, jak dał się wrobić w taką sytuację.

Po kolejnych dwudziestu minutach spędzonych w korku stracił cierpliwość i wysiadł z samochodu. W mgnieniu oka przemókł do suchej nitki, z bielizną włącznie. Pobiegł w stronę początku korka. Kiedy tam się znalazł, wszystko

stało się jasne: morze zabrało kawałek szosy. Całkowicie. Oba pasy ruchu zniknęły, zamiast nich widniała głęboka wyrwa, w której kipiała żółtawa, spieniona woda. Pierwszy samochód w kolejce miał przednie koła tuż nad skrajem urwiska, jeszcze trzydzieści centymetrów i zwałyby się w dół. Komisarz doszedł od razu do wniosku, że samochód był w niebezpieczeństwie, bo szosa powolutku kruszyła się w dalszym ciągu. Za jakieś dwadzieścia minut auto zostanie pociągnięte w przepaść. Ulewa nie pozwalała zobaczyć, kto siedzi w środku.

Zbliżył się i zapukał w okno. Po chwili szyba opuściła się odrobinę i zobaczył za nią może trzydziestoletnią kobietę w okularach grubych jak dno butelki, najwyraźniej wystraszoną.

Była jedyną pasażerką samochodu.

– Musi pani wysiąść.

– Dlaczego?

– Obawiam się, że jeśli nie zjawi się zaraz pomoc drogowa, pani samochód zostanie pociągnięty w urwisko.

Jej twarz wykrzywiła się jak u dziecka, które zaraz zacznie płakać.

– Ale dokąd pójdę?

– Niech pani zabierze najpotrzebniejsze rzeczy i przejdzie do mojego samochodu.

Popatrzyła na niego, ale nic nie powiedziała. Montalbano zrozumiał, że nie ufa nieznajomemu mężczyźnie.

– Proszę posłuchać, jestem komisarzem policji.

Być może przekonał ją ton jego głosu. Wzięła ze sobą rodzaj worka i

wysiadła.

Pobiegli jedno obok drugiego i Montalbano pomógł jej wsiąść do samochodu.

Mieli tak przemoczone ubrania, że kiedy usiedli, ciężar ich ciał wycisnął wodę z jej dżinsów i ze spodni komisarza.

– Nazywam się Montalbano.

Przyjrzała mu się, zbliżając do niego twarz.

– Ach tak. Teraz rozpoznaję. Widziałam pana w telewizji.

Zaczęła kichać i nie mogła przestać. Kiedy wreszcie jej przeszło, miała załzawione oczy. Zdjęła okulary, osuszyła się chusteczką, założyła je ponownie.

– Nazywam się Vanna. Vanna Digiulio.

– Chyba się pani przeziębiła.

– Na to wygląda.

– Proszę posłuchać, chce pani pójść do mnie do domu? Mam tam ubrania mojej narzeczonej, będzie się pani mogła przebrać i wysuszyć własne.

– Nie wiem, czy to właściwe – zaproponowała chłodno.

– Co takiego?

– Żebym poszła do pańskiego domu.

Co ona sobie wyobrażała? Że rzuci się na nią, gdy tylko wejdzie do środka? Sprawiał wrażenie takiego człowieka? A poza tym, czy ona kiedyś popatrzyła w lustro?

– Proszę posłuchać, jeśli pani nie...

– I jak dotrzemy do pana domu?

– Na piechotę. Jest pięćdziesiąt metrów stąd. Miną godziny, zanim ktoś rozładuje ten korek.

Montalbano przebrał się, zaparzył kawę z mlekiem dla niej i czarną kawę dla siebie, a Vanna wzięła prysznic, włożyła ubranie Livii, dla niej trochę za duże, po czym przysła do kuchni, objając się najpierw o framugę drzwi, a potem o krzesło. Przy takiej wadzie wzroku jakim cudem dali jej prawo jazdy? Nie była ładna, bidulka. W dzinsach nie można było tego zobaczyć, ale sukienka Livii odsłaniała nogi. Montalbano zauważył, że są krzywe i muskularne, bardziej odpowiednie dla mężczyzny niż dla kobiety. Miała mikroskopijny biust, mysią twarz, nawet poruszała się bez wdzięku.

– Gdzie zostawiła pani swoje ubrania?

– Zobaczyłam grzejnik w łazience. Włączyłam go i powiesiłam na nim dzinsy, bluzkę i kurtkę.

Usadził ją przy stole, poczęstował kawą z mlekiem i herbatnikami, które Adelina miała zwyczaj kupować, a on miał zwyczaj ich nie jeść.

– Przepraszam – powiedział po wypiciu pierwszej filiżanki kawy.

Wstał i poszedł zatelefonować na komisariat.

– Oj, panie komisarzu! Oj, panie komisarzu, panie komisarzu!

– Co się dzieje, Catarè?

– Tu się apoklapsa dzieje!

– Co się stało?

– Wiatr odwiał dachowe pokrycie, czego rezultat niezwłoczny jest taki, że woda do środka się leje!

– Jakież szkody?

– Tak, tak. Na przypadek, papierowe dokumenty na pana komisarzu biurku znajdujące się w oczekiwaniu, aby pan komisarz podpis na nich założył, zostały całkowicie umoczone i w jedną masę się skleiły.

Hymn radości rozbrzmiał triumfalnie w sercu Montalbana, zachwyconego tym zwycięstwem nad biurokracją.

– Posłuchaj, Catarè, jestem w domu, szosa się zawaliła.

– Czyli uniemożliwiony w ruchu pan jest.

– Chyba że Gallo znajdzie sposób, żeby po mnie przyjechać...

– Niech pan poczeka, to go dam, bo on jest tutaj u mojego boku.

– Słucham, panie komisarzu.

– Jechałem do komisariatu, ale pięćdziesiąt metrów od mojego domu powstał korek, bo wskutek ulewy osunęła się szosa. Mój samochód jest unieruchomiony w korku i nie mogę go ruszyć. Jestem zablokowany w domu. Gdybyś mógł...

Gallo nie dał mu skończyć.

– Najwyżej za pół godziny będę u pana.

Montalbano wrócił do kuchni, usiadł, zapalił papierosa.

– Pali pani?

– Tak, ale moje papierosy zamokły.

– Proszę wziąć mojego.

Przyjęła, pozwoliła, aby jej go zapalił.

– Bardzo mi przykro, że sprawiam kłopot...

– Ależ to nic takiego! Za pół godziny ktoś powinien tu po mnie być. Jechała pani do Vigaty?

– Tak. O dziesiątej miałam spotkanie w porcie z ciotką. Przyjechałam specjalnie z Palermo. Ale podejrzewam, że w taką pogodę... myślę, że nie dopłynię wcześniej niż po południu.

– O dziesiątej rano nie przybijają ani promy, ani kutry pocztowe.

– Wiem, moja ciotka płynie swoją łodzią.

Słowo „łódź” zrobiło na nim niemiłe wrażenie. Dzisiaj kiedy ktoś mówi: „Przyjdź zobaczyć moją łódź”, zwykle pokazuje ci czterdziestometrowy jacht.

– Na wiosła? – spytał, przybierając niewinny wyraz twarzy.

Nie zrozumiała, że robi z niej żarty.

– To łódź z kapitanem i czterema członkami załogi. A ona zawsze podróżuje. Nie widziałam jej od lat.

– I dokąd się udaje?

– Donikąd.

– Nie rozumiem.

– Ciotka lubi być na morzu. Chyba może sobie na to pozwolić, jest bardzo bogata, wuj Artur przed śmiercią zapisał jej wielki majątek i tunezyjskiego służącego, Zizi.

– I pani ciotka za te pieniądze kupiła sobie łódź.

– Łódź miał już wuj Artur, on także uwielbiał pływać. Nie pracował, miał masę pieniędzy. Nie wiadomo, skąd je brał. Podobno był w spółce z jakimś bankierem o nazwisku Ricca.

– Przepraszam, a pani czym się zajmuje?

– Ja?

Wahała się przez chwilę, jak gdyby musiała wybrać coś spośród wielu rzeczy, jakie robiła.

– Studiuję.

W ciągu następnej półgodziny Montalbano dowiedział się, że dziewczyna, która mieszkała w Palermo i była sierotą, nie miała narzeczonego i wiedząc, że nie jest piękną, nawet się o niego nie starała, lubiła czytać i słuchać muzyki, nie używała perfum, mieszkała w swoim mieszkaniu z kotem o imieniu Eleuterio, wolała chodzić do kina, niż oglądać telewizję. Potem przerwała nagle potok słów, popatrzyła na komisarza i powiedziała:

– Dziękuję.

– Za co?

– Że mnie pan wysłuchał. Widzi pan, nie zdarza się często, żeby mężczyzna słuchał mnie tak długo.

Montalbanowi zrobiło się jej trochę żal.

Potem zjawił się Gallo.

– Szosa jest wciąż zamknięta, ale przy osuwisku pracują strażacy i ci ze służby drogowej. Jednak to potrwa całe godziny.

Ona wstała.

– Pójdę się przebrać.

Kiedy wyszli, ulewa była jeszcze gorsza. Gallo pojechał w stronę Montereale i na rozwidleniu skręcił w stronę Montelusy. Po ponadpółgodzinnej jeździe znaleźli się w Vigacie.

– Podwieziemy panią do portu.

Kiedy Gallo się zatrzymał, Montalbano zwrócił się do Vanny:

– Niech pani pójdzie zapytać, jaka jest sytuacja. My tu poczekamy.

Wróciła po dziesięciu minutach.

– Powiedzieli mi, że z łodzi ciotki przesłali wiadomość, że płyną powoli, nie potrzebują pomocy i zawią do portu około czwartej po południu.

– Co pani będzie robić w tym czasie?

– A co mam robić? Poczekam.

– Gdzie?

– Nie wiem, nie znam miasta. Pójdę do jakiegoś baru.

– Może pani pojechać z nami do komisariatu. Na pewno będzie tam wygodniej niż w barze.

W komisariacie była poczekalnia. Montalbano usadził tam Vannę, a potem, jako że dzień wcześniej kupił powieść pod tytułem *Samotność liczb pierwszych*, zaniósł ją kobiecie.

– Jak cudownie! Chciałam kupić tę książkę. Słyszałam o niej wiele dobrego.

– Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę się zwrócić do Catarelli w dyżurce.

– Dziękuję. Pan jest naprawdę...

– Jak się nazywa łódź pani ciotki?

– Tak jak ja. „Vanna”.

Zanim wyszedł z pokoju, popatrzył na nią. Przypominała mokrego psa, jej ubrania nie zdążyły się dosuszyć i były całkiem pomięte, czarny kok rozwiązał się i włosy zasłaniały połowę twarzy. Poza tym siedziała w sposób, jaki komisarz zaobserwował u niektórych uchodźców, gotowych zostawić na zawsze krzesło, na którym siedzą, lub też pozostać na nim na zawsze.

Zaszedł do Catarelli.

– Zadzwoń do kapitanatu portu. Powiedz im, żeby skomunikowali się ze mną, jeśli „Vanna” znowu nawiąże łączność.

Catarella popatrzył na komisarza ogłupiały.

– Co jest?

– A jak ma wanna mieć łączność z kapitanatem?

Montalbano poddał się.

– Daj spokój, ja się tym zajmę.

2

Jego gabinet nie nadawał się do użytku, woda spływała z sufitu strumieniami, jakby ktoś otworzył z dziesięć kurków. Jako że Mimì Augello tego dnia miał wolne, komisarz objął w posiadanie jego gabinet.

Około pierwszej, kiedy właśnie wstawał od biurka, bo zrobiła się pora obiadowa, zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, bo tu by był taki, co z kapitanatu telefoni. Tylko że on nie jest kapitanem, ale porucznikiem, a nazywa się on... o, psiakostka, zapomniałem!

– Catarè, nie każdy, kto pracuje w kapitanacie, musi być kapitanem.

– Ach tak? To czemu kapitanat nazywa się na taki sposób?

– Potem ci wyjaśnię. Przełącz.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Tu porucznik Garrufo.

– Dzień dobry. Słucham pana.

– Otrzymaliśmy właśnie wiadomości z „Vanny”. Na dobrą sprawę dopływają już do portu. Jednak ze względu na bardzo złe warunki atmosferyczne przybiją dopiero około siedemnastej, bo muszą się oddalić ponownie od brzegu i wziąć kurs, który...

– Dziękuję.

– Powiedzieli nam jeszcze coś.

– To znaczy?

– Na łączu były duże zakłócenia, nie zrozumieliśmy dobrze. Wygląda na

to, że mają nieboszczyka na pokładzie.

– Kogoś z załogi?

– Nie, nie. Wyłowili go na chwilę przed nawiązaniem z nami łączności. Znajdował się w pontonie, który jakimś cudem nie zatonął.

– Może rozbitek.

– Z tego, co zrozumieliśmy, sprawy mają się inaczej... ale lepiej będzie poczekać, aż przybiją do brzegu, nie sądzi pan?

Jasne, że tak sądził.

Jednak prawie na pewno, dałby za to głowę, chodziło o jakiegoś nieszczęśnika zmarłego z głodu i pragnienia po kilkudziesięciu dniach agonii na pustym morzu i daremnym wypatrywaniu pary z komina statku czy sylwetki jakiegoś kutra rybackiego.

Lepiej nie myśleć o tych rzeczach, bo rybacy opowiadali straszne historie. W sieciach, które zarzucali do morza, znajdowali często zwłoki lub kawałki zwłok, wyrzucane ponownie do wody. Szczątki setek mężczyzn, kobiet, dzieci, nieszczęśników, którzy zdziesiątkowani po nieludzkiej podróży przez pustynię i straszliwe miejsca marzyli o dotarciu do kraju dającego im szansę zarobienia na kawałek chleba.

Aby odbyć tę podróż, wyprzedawali się ze wszystkiego, oddawali ciało i duszę, żeby zapłacić z góry pośrednikom w handlu ludzkim towarem, którzy nie wahali się potem zostawić ich na pewną śmierć i wrzucali do morza na najmniejszy sygnał niebezpieczeństwa.

A tych, którzy przeżyli i zdołali postawić stopę na lądzie, jakież piękne

powitanie czekało na włoskiej ziemi!

Obozy dla uchodźców, tak je nazywano, często gęsto przypominały prawdziwe obozy koncentracyjne.

A mimo to niektóre osobistości na świeczniku, na przykład posłowie, jeszcze nie były zadowolone, chciałyby uśmiercić tych wszystkich ludzi, twierdziły, że marynarze powinni ostrzeliwać ich łodzie, bo to wszystko byli potencjalni przestępcy, przenoszący choroby i niemający żadnej ochoty do pracy.

Dokładnie tak samo traktowano Włochów, którzy emigrowali kiedyś do Ameryki.

Tylko że teraz wszyscy o tym zapomnieli.

Kiedy Montalbano o tym myślał, był przekonany, że po wprowadzeniu prawa Cozzi-Pini i podobnych mu głupot nawet świętemu Józefowi i Matce Boskiej nie pozwolono by dotrzeć do groty.

Poszedł powiadomić o telefonie dziewczynę.

– Proszę posłuchać, dzwoniło z kapitanatu, mówią, że jacht będzie w porcie około siedemnastej.

– No trudno. Mogę tu zostać?

Jednocześnie zrobiła pełen nadziei ruch ręką, jak ktoś, kto prosi o jałmużnę. Przemoczonego psa nie wyrzuca się na dwór z prowizorycznego schronienia.

– Naturalnie.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, co tak go wzruszyło, że pytanie samo wypłynęło mu na usta: – A może chce pani pójść ze mną na obiad?

Vanna zgodziła się od razu. Gallo zawiózł ich samochodem, bo wciąż padało, choć już nie tak rzęsiście jak wcześniej.

Dziewczyna jadła, aż jej się uszy trzęsły. Można było pomyśleć, że pościła od paru dni. Komisarz nie powiedział nic o nieboszczyku, którego „Vanna” zabrała na pokład, nowina zepsułaby jej smak chrupiących smażonych barwen, które zajadała z wielkim upodobaniem.

Kiedy wyszli z knajpki, już nie padało. Popatrzyli na niebo, komisarz uznał, że deszcz nie ustał na chwilę, ale że zaczyna się przejaśniać. Nie miało sensu dzwonić do Galla, żeby po nich przyjechał, poszli na piechotę, chociaż szosa była pełna kałuż i błota.

Gdy tylko znaleźli się w komisariacie, zobaczyli czekającego na nich Galla.

– Zbudowano prowizoryczny most. Trzeba zaraz pojechać i przestawić samochody.

Zabrało im to godzinę, ale potem nareszcie Vanna i Montalbano mogli wrócić do Vigaty, każde swoim samochodem.

– Oj, panie komisarzu! Z kapitanatu dopiero co dzwoniли! Tak mówili, że wanna do brzegu będzie przebijać!

Montalbano popatrzył na zegarek, było wpół do piątej.

– Wie pani, jak dojechać do portu?

– Tak, proszę się nie martwić. Naprawdę dziękuję panu za wszystko, co pan dla mnie zrobił.

Wyciągnęła z worka powieść i podała mu ją.

– Skończyła pani czytać?

– Brakuje mi dziesięciu stron.

– Niech ją pani zatrzyma.

– Dziękuję.

I podała mu rękę. Komisarz ją uścisnął. Dziewczyna stała przez chwilę, patrząc na niego, po czym nagle zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go.

Na zewnątrz nie padało, ale w gabinecie owszem. Woda nadal siąpiła z sufitu, najwyraźniej strych zamienił się w dziurawą cysterne. Montalbano zainstalował się ponownie w gabinecie Augella. Po jakimś czasie zapukano do drzwi. To był Fazio.

– Jutro przyjdą murarze, żeby naprawić dach. Potem są zamówione sprzątaczkki. Kazałem pociąć papiery, które były na pana biurku. Nadają się tylko do wyrzucenia.

– No to je wyrzucić.

– Panie komisarzu, ale co potem zrobimy?

– Z czym?

– Chodzi o dokumenty, na które trzeba było udzielić odpowiedzi, ale teraz nie wiemy już na co.

– Miej to w dupie.

– Ja mogę mieć. Ale co pan powie kwesorowi, kiedy zacznie pytać o niezamknięte sprawy?

Miał rację.

– Słuchaj, zostały jakieś czytelne dokumenty?

– Tak.

– Ile?

– Ze trzydzieści.

– Weź je i włóż pod kran. Zostaw je w wodzie na dwie godziny.

– Panie komisarzu, ależ w ten sposób się zrujniają!

– Właśnie o to chodzi. Gdy będą całe zmoczone, dołóż je do tych już zniszczonych. Ale nie wyrzucaj, potrzebujemy ich na dowód szkód, jakie poczyniła ulewa. Nie możemy stracić takiej świetnej okazji.

– Ale...

– Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. Potem weź krzesło, stań na nie i wylej ze dwadzieścia wiader wody na szafę w archiwum. Tylko jej nie otwieraj.

– Tak żeby wyglądało, że woda przesiąkła z sufitu?

– Otóż to.

– Panie komisarzu, ta szafa jest z żelaza. Nawet kropla nie przeniknie do środka.

Montalbano zrobił rozczarowaną minę.

– Trudno. Dajmy sobie spokój z archiwum.

Fazio patrzył na niego zadziwiony.

– Może mi pan wyjaśnić dlaczego?

– Bo widzisz, zanim oni się zorientują, które dokumenty uległy zniszczeniu, i zdołają je odtworzyć, minie co najmniej miesiąc. Nie wydaje ci

się to zrzędzeniem losu? Miesiąc bez potrzeby podpisywania stosów przedawnionych i bezużytecznych papierzysk?

– Jeśli pan tak uważa... – powiedział Fazio, wychodząc.

– Catarè, połącz mnie z panem Lattesem.

Opowie mu, że tu w komisariacie muszą pływać na łódkach i że wszystkie dokumenty zostały zniszczone. I może jeszcze podzieli się z nim refleksją, czy tak katastrofalna ulewa nie jest przypadkiem oznaką zbliżającego się potopu? Całkiem możliwe, że Lattes, straszny biurokrata i bigot, da się przekonać do tej idei.

– Panie komisarzu, ja bardzo proszę o wybaczenie, ale czy jest możliwe, że ktoś się na nazwisko nazywa Garbuso?

– Nie sędzę.

– Bo telefoni jeden taki z kapitanerii i mówi, że on się tak precyzyjnie nazywa, Garbuso. Może to ktoś z Północy.

– Dlaczego?

– No bo na Północy to oni się dziwacznie nazywają, panie komisarzu.

– Uspokój się, Catarè. Porucznik nazywa się Garrufo.

– O Boże, ale mi ulżyło!

– Czemu cię to martwiło?

– No bo jak to porucznika garbusem nazywać?

– Przełącz go.

– Halo, czy to pan komisarz Montalbano? Mówi Garrufo.

– Słucham pana.

– Mamy problem. Martwy człowiek.

Powiada się, że śmierć jest wyzwoleniem. Tylko dla zmarłego, rozumie się, bo dla tych, którzy pozostają żywi, prawie zawsze oznacza to okropne zawracanie dupy.

– Proszę to lepiej wyjaśnić.

– Jest tu na miejscu doktor Raccuglia i to on stanowczo poradził nam, żeby poprosić pana o przyjazd i rzucenie okiem.

Raccuglia był lekarzem portowym, człowiekiem poważnym i szanowanym. Poza tym komisarz go lubił. Wobec tego należało rzeczywiście rzucić okiem, jak to ujął porucznik.

– Dobrze, już jadę.

Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, zobaczył, że niebo całkiem się przejaśniło, tylko połyskliwe kałuże wzdłuż drogi przypominały o niedawnej ulewie. Słońce chyliło się już ku zachodowi, ale wciąż było gorąco. Żyjemy teraz jakby na tropikalnej wyspie, pomyślał komisarz, w ciągu jednego dnia przechodzimy od deszczu do słońca. Tylko że na prawdziwych tropikalnych wyspach, o ile wierzyć amerykańskim filmom, cały dzień piją, jedzą i mają wszystko gdzieś, podczas gdy tutaj jemy to, co nam przepisze lekarz, pijemy tyle, ile nam pozwoli wątroba, i w kółko ktoś nam zawraca dupę. To zasadnicza różnica.

Tak zwana łódź była dużym i eleganckim jachtem, przycumowanym do

środkowego nabrzeża. Pływała – jakżeby inaczej – pod banderą panamską. U stóp schodków czekali na niego porucznik marynarki, którym okazał się Garrufo, oraz doktor Raccuglia.

W niewielkiej odległości stał marynarz z kapitanatu, który pilnował pontonu wyciągniętego na brzeg.

Na pokładzie jachtu nie było nikogo. Najwyraźniej właścicielka i załoga musieli zejść pod pokład.

– O co chodzi, panie doktorze?

– Musiałem pana tu sprowadzić, zanim przyjedzie karetka, która odwiezie zmarłego do Montelusy na sekcję. Chciałem, aby pan go najpierw zobaczył.

– Dlaczego?

– Bo zwłoki mają...

– Panie doktorze, może niejasno się wyraziłem. Dlaczego sądzi pan, że ta sprawa wchodzi w zakres moich kompetencji? Nie został znaleziony na wodach...

Przerwał mu porucznik Garrufo.

– Ponton z ciałem został przechwycony praktycznie u ujścia portu, nie na otwartym morzu.

– Ach! – westchnął Montalbano.

Chciał umyć ręce od sprawy, ale mu się nie udało. Jednak mógł jeszcze spróbować oddalić od siebie kielich goryczy, do diabła z kliszami językowymi!

– Ale być może ponton, zniesiony prądem bardzo mocnym, z uwagi na

warunki atmosferyczne...

Garrufo uśmiechnął się na tę ostatnią, żalosalną wymówkę.

– Panie komisarzu, rozumiem doskonale, że to nieprzyjemna sprawa, ale nie ma wątpliwości, że ponton dopiero co wypłynął z portu, właśnie ze względu na ten prąd, czy wyrażam się jasno?

I położył akcent na słowo „ten”. Montalbano się poddał.

– No to zobaczmy – powiedział. – Gdzie on jest?

– Proszę za mną – rzekł porucznik. – Wskażę drogę.

Na mostku nie było żywej duszy. Zeszli do kokpitu. Zwłoki położono na stojącym pośrodku stole, przykrytym podartą ceratą.

Montalbano inaczej go sobie wyobrażał. Tymczasem zobaczył przed sobą nagie ciało rosnącego, muskularnego czterdziestolatka. Jeśli nie liczyć głowy, przednia część ciała nie nosiła żadnych śladów ran czy blizn. Za to twarz była zmasakrowana, zmieniona w nierozpoznawalną masę kości i mięsa.

– Rozebraliście go czy był...

– Powiedziano mi, że w pontonie był już w takim stanie, nagi – powiedział Garrufo.

– Także na plecach...

– Nie ma żadnych śladów ran.

W powietrzu unosił się słodkawy odór. To nie był świeży nieboszczyk. Komisarz już miał zadać pytanie, kiedy przez drzwi weszła kobieta w uwalanym smarem kombinezonie, która czyściła sobie ręce i tak już brudną

szmatą.

– Jak długo będziecie mi go jeszcze tu trzymać? – spytała niegrzecznie.

Otworzyła drzwi do jednej z dwóch kabin wychodzących na kokpit, weszła do środka i zamknęła je za sobą.

Zaraz potem zjawił się niezwykle chudy pięćdziesięciolatek o twarzy spalonej słońcem, z bródką w szpic, ubrany w nieskazitelnie białe spodnie bez kantu, w niebieską marynarkę ze srebrnymi guzikami i rodzaj wojskowego beretu.

– Dzień dobry. Kapitan Sperli – przedstawił się komisarzowi.

Z innymi najwyraźniej już się zapoznał. Sądząc z akcentu, pochodził z Genui.

– Wasz maszynista jest kobietą?

Kapitan się roześmiał.

– Nie, to jest właścicielka. Ponieważ silnik pomocniczy źle działał, i to nas tak spowolniło, chciała go sama sprawdzić.

– Zna się na tym? – spytał Montalbano.

– Zna się – odpowiedział kapitan.

Potem, zniżając głos:

– Lepiej od samego maszynisty.

W tym momencie z mostka dało się słyszeć wołanie.

– Jest tam kto!

– Ja pójdę – ofiarował się kapitan.

Po chwili zjawili się dwaj mężczyźni w białych fartuchach, którzy wzięli ceratową płachtę z nieboszczykiem i zabrali go na nabrzeże.

– Pana zdaniem, doktorze, od jak dawna... – zaczął Montalbano.

Przerwało mu ponowne pojawienie się kapitana. Za nim szedł marynarz w swetrze z czarnej wełny z napisem „Vanna”. W ręce niósł butelkę spirytusu i szmatkę. Wyczyścił powierzchnię stołu i zarzucił na blat biały obrus, wyciągnięty z szafki.

– Proszę siadać. Napiją się panowie czegoś? – spytał kapitan.

Nikt nie odmówił.

– Pana zdaniem, doktorze, od jak dawna... – zaczął znowu pytanie komisarz, skosztowawszy nieznanego mu gatunku whisky, która była lepsza niż wszystkie, jakie pił wcześniej w życiu.

Drzwi kabiny się otworzyły i stanęła w nich ta sama kobieta, którą widzieli wcześniej. Przebrała się i miała na sobie dżinsy i bluzkę. Nie nosiła żadnej biżuterii. Była wysoka, smagła, atrakcyjna, elegancka. Musiała zbliżyć się do pięćdziesiątki, ale miała ciało czterdziestolatki. Podeszła do szafki, wyciągnęła z niej szklankę i podała bez słowa kapitanowi. On nalał do niej whisky prawie po brzeg. Kobieta, dalej stojąc, podniosła szklankę do ust i jednym haustem wypiła połowę. Potem osuszyła sobie usta wierzchem dłoni i powiedziała do kapitana: – Sperli, jutro rano stąd odpływamy. Niech pan się zatroszczy o...

– Chwileczkę – wtrącił się Montalbano.

Kobieta popatrzyła na niego, jak gdyby dopiero teraz zauważyła jego obecność. I zamiast mu odpowiedzieć, zwróciła się do kapitana: – Co to za

jeden?

– To komisarz Montalbano.

– Komisarz czego?

– Policji – powiedział nieco zażenowany kapitan.

Wtedy kobieta, zmierzyszy Montalbana spojrzeniem od stóp do głów, raczyła się do niego odezwać: – Co miał pan na myśli?

– Że wykluczam, aby mogła pani wypłynąć z portu jutro rano.

– Ach tak? A to dlaczego?

– Bo musimy przeprowadzić dochodzenie w sprawie zmarłego. Będziecie musieli stawić się przed prokuratorem i...

– A co, nie mówiłam? – kobieta zwróciła się surowo do kapitana.

– Już dobrze, zostawmy to – odpowiedział.

– Może pani i mnie zdradzić, co pani wcześniej powiedziała – zauważył Montalbano.

– Poradziłam mu po prostu, żeby zostawić w spokoju ten ponton, nie wyławiać ciała, bo będziemy mieli z tego tylko kłopoty. Ale on...

– Jestem człowiekiem morza – usprawiedliwił się kapitan.

– Widzi pani... – zaczął porucznik.

– Nie mam potrzeby nic widzieć – przerwała zachmurzona kobieta.

A potem, postawiwszy pustą szklankę na stole:

– Panie komisarzu, pana zdaniem, jak długo będziemy musieli tu zostać?

– W najlepszym razie co najmniej tydzień.

Chwyciła się rękami za głowę.

– Przecież ja tu oszaleję! Co będę robić przez tydzień w takiej dziurze?

Mimo niegrzecznych słów i zachowania komisarz nie potrafił nabrać antypatii do tej kobiety.

– Może pani zwiedzić świątynie Montelusy – zasugerował trochę poważnie, a trochę żartem.

– A potem?

– Także muzeum.

– A potem?

– No nie wiem, obejrzyć pobliskie miejscowości, Fiacca na przykład słynie z pizzy nazywanej *tabisca*, która...

– Będę potrzebowała samochodu.

– Jest przecież ten, który ma pani siostrzenica?

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Jaka siostrzenica?

3

„Może ma ich więcej” – pomyślał komisarz.

– Pani siostrzenica Vanna.

Kobieta popatrzyła na niego, jak gdyby mówił do niej po chińsku.

– Vanna?

– Tak, trzydziestolatka, w okularach, z czarnymi włosami, mieszka w Palermo i nazywa się... zaraz, już sobie przypomniałem, Digiulio.

– Ach tak. Wyjechała – ucieła kobieta.

Montalbano zauważył, że zanim odpowiedziała, wymieniła szybkie spojrzenie z kapitanem. Zrozumiał, że teraz nie ma sensu dociekać, o co w tym wszystkim chodzi.

– Może pani wynająć samochód, nawet z szoferem – zasugerował doktor Raccuglia.

– Pomyślę o tym – stwierdziła kobieta. – Przepraszam.

I wycofała się do swojej kabiny.

– Niezły charakterek – zauważył porucznik.

Kapitan Sperli podniósł oczy ku niebu, jakby dla pokazania, ile udręk musi znosić, i rozłożył ramiona.

– Zdaje się, że chciał mnie pan o coś spytać – powiedział do komisarza lekarz.

– To bez znaczenia – odpowiedział Montalbano.

Miał inne sprawy na głowie.

Kiedy znaleźli się znowu na mostku, komisarz zauważył, że obok jachtu zacumowana była wielka łódź motorowa, prawie identyczna jak te, które widział w jednym z filmów o agencie 007. I oczywiście pływała pod banderą panamską.

– Teraz przyплыnęła? – spytał porucznika.

– Nie, ta jest w porcie od pięciu dni. Robili próbę silników. Zauważyli, że coś jest nie tak, i wezwali technika z Amsterdamu.

Na burcie komisarz odczytał nazwę łodzi: „As Kier”. Doktor Raccuglia pożegnał się i poszedł w stronę swojego samochodu.

– Chciałbym pana o coś zapytać – powiedział porucznik.

– Słucham.

– Dlaczego tak bardzo interesował się pan „Vanną”, zanim jeszcze powiadomili nas o znalezieniu pontonu z martwym mężczyzną?

Inteligentne pytanie, godne policjanta, które na chwilę wprawiło komisarza w zakłopotanie. Zdecydował się odpowiedzieć półprawdą.

– Ta siostrzenica, o której wspomniałem, a właścicielka jachtu powiedziała, że już odjechała, zwróciła się do komisariatu, bo...

– Rozumiem – powiedział Garrufo.

– Myślę, że odezwę się do pana niebawem – powiedział Montalbano do Garrufa.

– Jestem do pana dyspozycji.

Uścisnęli sobie ręce.

Pojechał za samochodem porucznika w pewnej odległości, poczekał, aż zaparkuje i wejdzie do kapitanatu, odczekał z pięć minut, po czym zrobił to samo.

– Czego pan sobie życzy? – spytał strażnik.

– Potrzebna mi informacja o rekrutacji.

– Pierwsze drzwi na prawo.

Przy okienku siedział stary sierżant, który trzymał w rękach „Tydzień z Rebusami”.

– Dzień dobry. Komisarz Montalbano – powiedział, pokazując legitymację.

– Słucham pana.

– Czy był pan na służbie dzisiaj rano?

– Tak.

– Pamięta pan może trzydziestolatkę w okularach, która przyszła zapytać o jacht „Vanna”, mający...

– Chwileczkę – przerwał sierżant. – Pamiętam doskonale tę kobietę, ale nie pytała o jacht.

– Na pewno?

– Panie komisarzu, jest pan czwartą osobą, która weszła od rana do tego biura. Byli tu trzej mężczyźni, łącznie z panem, i jedna kobieta. Jak mógłbym się pomylić?

– To o co pytała?

– Zapytała, czy jest tu w kapitanacie marynarz, który nazywa się, proszę poczekać, zaraz panu powiem, bo pytałem także straży nadbrzeżnej... o, już wiem, nazywa się Angelo Spitaleri i jest jej kuzynem.

– I był taki?

– Nie.

Nie było wątpliwości, że ta kobieta, kto tam wie, jak brzmiało jej prawdziwe nazwisko, zwyczajnie nabiła go w butelkę.

Wydała mu się biednym przemoczonym psem! Zrobiło mu się jej żal!

Dlaczego uraczyła go tym stekiem kłamstw? Musiała mieć w tym jakiś cel, ale jaki?

Mimo że było już późno, wrócił do komisariatu. Gallo jeszcze tam był.

– Słuchaj, pamiętasz może numer tablicy rejestracyjnej tej kobiety, która spędziła z nami dzień?

– Nie popatrzyłem, panie komisarzu. Pamiętam tylko, że to była niebieska panda.

– Czyli nie ma sposobu, żeby ją zidentyfikować?

– Nie sądzę.

Kazał przysłać do siebie Catarellę.

– Ta kobieta dzisiaj rano...

- Ta, co wysiadywała na poczekalni?
- Tak. Przyszła do ciebie? Pytała o coś?
- Jeden raz ona przyszła, panie komisarzu.
- Czego chciała?
- Wiedzieć, gdzie się znajduje toaleta.
- Poszła do niej?
- Tak, panie komisarzu. A nawet ja ją tam prowadziłem.
- Zrobiła coś dziwnego?

Catarella zaczerwienił się.

- Nie wiem.
- Jak to nie wiesz? Albo tak, albo nie!
- Panie komisarzu, ale jak ja wiedzieć mam, co pani robiła w toalecie. Łańcuszek słyszałem, jak ciągnie, ale...
- Nie mówię o tym, co robiła w toalecie! Kiedy z nią szedłeś, nie zwróciło nic twojej uwagi?
- Na to pamięci nie mam.
- Dobrze, możesz iść.
- Chyba że pan komisarz o hałasie myśli.
- Jakim hałasie?
- Ponieważ ona wzmiankowana trzymała w ręce rodzaj worka z płótna, tenże worek w czasie wchodzenia jej wzmiankowanej o framugę drzwi uderzył, produkując wzmiankowany hałas.

Montalbano z trudem powstrzymał się, by nie runąć na Catarellę z pięściami.

– I co to był za hałas?

– Jakiś metaliczny i ciężki. Tak więc ja sobie pytanie zadałem, co to może być za rzecz, która go robi. Metalowy pręt? Albo końska podkowa? Albo figurynka brązowa? Albo...

Komisarz przerwał mu tę litanie.

– Mogła to być jakaś broń?

– Sztylet?

– Albo rewolwer, pistolet.

Catarella pomyślał chwilę.

– Możliwe.

– Dobrze, przynieś mi książkę telefoniczną Palermo.

To było coś, co musiał zrobić tylko po to, żeby mieć czyste sumienie. Był przekonany, że nic nie znajdzie, tymczasem w spisie figurowała Vanna Digiulio.

Wykręcił numer i odpowiedział mu głos kobiety, jednak inny niż ten, jaki miała spotkana rano kobieta.

– Moje nazwisko Panzica, szukam Vanny.

– Vanny? Vanny Digiulio?

Czemu była tak zdumiona?

– Otóż to.

- Przecież nie żyje od lat!
- Przykro mi, nie wiedziałem!
- Przepraszam, a kim pan jest?
- Fabio Panzica, notariusz. Chodzi o sprawę spadku.

Słowo „spadek” prawie zawsze było przynętą, na którą ludzie łapali się chciwiej niż ławica wygłodniałych ryb. I rzeczywiście: – Może byłoby lepiej, gdyby udzielił mi pan dokładniejszych informacji – powiedziała kobieta.

- Bardzo chętnie. Przepraszam, a kim pani jest?
- Matilde Mauro, byłam jej najlepszą przyjaciółką, zostawiła mi w spadku mieszkanie.

I naturalnie teraz w pani Matilde zbudziła się nadzieja na dodatek do spadku.

- Czy mogę wiedzieć, jak zmarła Vanna?
- To było w czasie misji. Jej helikopter został zestrzelony. Ona wyszła z katastrofy bez obrażeń, ale została pojmana i ponieważ uznano ją za szpiega, była torturowana i na koniec zabita.

Montalbano oniemiał.

- Ale kiedy?! Kto?!
- W Iraku. Dwa miesiące przed An-Nassiriją.
- Dlaczego nic o tym nie było wiadomo?
- Bo widzi pan, to była tajna misja. Nie mogę powiedzieć nic więcej.

A on nawet nie chciał nic więcej wiedzieć. Sprawa była interesująca, ale jeśli chodziło o niego, tracił tylko czas.

– Bardzo pani dziękuję, a... przypadkiem zna pani jakąś inną Vannę Digiulio?

– Nie, przykro mi.

O zjedzeniu na werandzie nie mogło być mowy, co prawda nie padało od wielu godzin, wciąż jednak panowała za duża wilgoć. Nakrył stół w kuchni, ale nie miał wielkiego apetytu. Nie dawało mu spokoju, że ta kobieta zrobiła z niego kompletnego kretyna.

Wstał, wziął długopis i kartkę papieru, po czym napisał list do samego siebie:

Drogi Montalbano,

pomijając rolę emerytowanego kretyna, którą rzekoma (bo jest oczywiste, że to fałszywe imię) Vanna Digiulio dała ci odegrać, muszę ci zwrócić uwagę na następujące fakty: 1) Spotkanie z Vanną było całkowicie przypadkowe. Ale gdy tylko zrozumiała, że mężczyzną, który się nią zajął, jesteś ty, czyli znany komisarz policji, potrafiła szybko i niezwykle zręcznie wykorzystać sytuację. Co z tego wynika? Że Vanna jest obdarzona szybkim refleksem i umiejętnością dopasowywania się do nieoczekiwanych sytuacji, tak żeby obrócić je na swoją korzyść. Zatem pokorne zachowanie skrzywdzonego psa, które tak cię wzruszyło, było tylko rolą, i to znakomicie zagraną, mającą na celu nabicie w butelkę oficera (zauważ, że to się rymuje z „frajera”) policji, takiego jak ty.

2) Nie ulega wątpliwości, że Vanna wiedziała o przypląnięciu „Vanny”.

3) Nie ulega wątpliwości, że Vanna nie jest siostrzenicą właścicielki

jachtu.

4) *Nie ulega też wątpliwości, że w jakiś sposób, z niewiadomego powodu, jest ona znana zarówno właścicielce, jak i kapitanowi Sperli (spojrzenie, jakie wymienili, było bardzo wymowne).*

5) *Nie ulega wątpliwości, że Vanna nigdy nie weszła na pokład „Vanny”.*

6) *Nie ulega wątpliwości, że twierdząc, że Vanna wyjechała, i ucinając w ten sposób konwersację, właścicielka nie chciała wzbudzić w tobie podejrzeń, drogi komisarzu.*

7) *Nie ulega wątpliwości, że nie zdobywszy się na wątpliwości, znalazłeś się w gównie po szyję.*

Wobec tego może lepiej, żeby cię naszły jakieś wątpliwości.

Jeśli dobrze się zastanowić, kiedy piliście kawę, Vanna opowiedziała ci kilka rzeczy na temat rzekomej ciotki, chociaż nie miała zamiaru się z nimi zdradzać. Mimo to wyrwały się jej.

Kilka przykładów:

1. *Arturo, mąż ciotki, był bardzo bogaty.*

2. *To on kupił „Vannę” i zostawił ją żonie w spadku.*

3. *Zawsze był na morzu (tak samo jak wdowa).*

4. *Nikt nie wiedział, skąd ma pieniądze. Innymi słowy, tym ostatnim zdaniem Vanna otworzyła drzwi na wszystkie możliwe hipotezy, także te najgorsze.*

Dlaczego chciała ci je zasugerować? Mogła się od tego powstrzymać, ale tego nie zrobiła.

Pomyśl o tym. Serdeczne uściski.

Ponieważ było za wcześnie, aby pójść spać, usiadł na fotelu i włączył telewizor. Na „Reteliberze” jego przyjaciel, dziennikarz Nicolò Zito, przeprowadzał wywiad z brodatym pięćdziesięcioletnim, którym był kapitan Zurlo, pierwszy pilot portowy.

Naturalnie rozmawiali o temacie dnia, to znaczy o odnalezieniu przez „Vannę” pontonu z nieboszczykiem. Zito zadawał, jak zwykle, inteligentne pytania.

– Panie kapitanie, w jakiej odległości od wejścia do portu załoga „Vanny” natknęła się na ponton?

– Nieco ponad milę włoską.

– Dlaczego nazywa ją pan włoską? Czy wszystkie mile nie są takie same?

– Teoretycznie mila morska jako jedna sześćdziesiąta południka powinna odpowiadać tysiącu ośmiuset pięćdziesięciu dwóm metrom. W rzeczywistości jednak we Włoszech równa się tysiącu ośmiuset pięćdziesięciu jeden metrom i osiemdziesięciu pięciu centymetrom, podczas gdy w Angli tysiącu ośmiuset pięćdziesięciu trzem metrom i osiemnastu centymetrom, w Stanach Zjednoczonych...

– Skąd te różnice?

– Żeby nam utrudnić życie.

– Rozumiem doskonale. Zatem możemy powiedzieć, że ponton ze zwłokami został odkryty bardzo blisko portu?

– Tak jest.

– Może nam pan powiedzieć, dlaczego „Vanna”, po wyłowieniu pontonu i zwłok, opóźniła wejście do portu o wiele godzin? Czy to z powodu burzy?

Pilot uśmiechnął się.

– To nie była burza. Technicznie rzecz biorąc, coś dużo słabszego.

– Ach tak? Więc co to było?

– Techniczna nazwa to silny sztorm. Oznacza prędkość wiatru dziewięć w skali Beauforta...

– To znaczy?

– Szybkość wiatru zbliża się do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, a wysokość fal może osiągać sześć metrów. „Vannie” groziło zderzenie ze wschodnim pirsem. Silnik pomocniczy nie działał dobrze, dlatego musieli wypłynąć ponownie na pełne morze i ustawić się w lepszej pozycji.

– Jak to się stało, że ponton się nie przewrócił?

– Przypadek, a może utrzymały go w równowadze przeciwstawne prądy.

– Teraz przejdę do najważniejszego pytania, odwołując się do pańskiego długiego doświadczenia. Czy pana zdaniem ponton wypływał z portu unoszony prądem, czy też prąd niośł go właśnie w stronę portu?

Montalbano nadstawił ucha.

– Trudno o tym zawyrokować z pewnością. Widzi pan, jest jeden stały prąd wychodzący, jednak z uwagi na warunki atmosferyczne ten prąd był niejako zneutralizowany przez silniejsze prądy południowo-wschodnie.

– A jakie jest pana zdanie?

– Nie czułbym się uprawniony podpisać tej opinii jako biegły, ale wydaje

mi się, że ponton unoszony był przez prąd wychodzący.

– Czyli z wnętrza portu?

– Co pan rozumie przez wnętrze?

– Na przykład centralne nabrzeże.

– Nie, gdyby ponton odpłynął z tego punktu, na pewno zderzyłby się ze wschodnim pirsem.

– A zatem skąd, pana zdaniem?

– Z jakiegoś miejsca bliskiego wejścia do portu.

– Dziękuję panu.

Poszedł się położyć z jakąś myślą krążącą mu po głowie, co nie przeszkodziło mu się dobrze wyspać.

Kiedy przyjechał do Vigaty, była prawie dziewiąta, i zamiast udać się do komisariatu, zatrzymał się przed kapitanatem.

– Czego pan sobie życzy? – zapytał jak zwykle strażnik.

– Chciałbym porozmawiać z porucznikiem Garrufem.

– Proszę zapytać w informacji.

Zdawało się, że sierżant od poprzedniego dnia nie ruszył się z miejsca. Siedział w identycznej pozycji, w rękach trzymał „Tydzień z Rebusami”. Może nie chodził spać, tylko po prostu wieczorem jakiś marynarz zakładał mu na głowę ceratę, gasił światło i zamykał drzwi.

Następnego dnia rano sprzątaczkę zdejmowały ceratę, odkurzały go i sierżant był gotów do służby.

– Porucznik Garrufo?

– Nie ma go.

– Czy ktoś go zastępuje?

– Oczywiście. Porucznik Belladonna.

– Chciałbym...

– Zaraz. Jeśli dobrze pamiętam, pan jest komisarzem Montalbanem.

Sierżant wykręcił numer, powiedział coś do słuchawki, odwiesił.

– Porucznik na pana czeka. Pierwsze piętro, drugie drzwi na prawo.

Drzwi były otwarte i Montalbano instynktownie zerknął do środka. Pomyślał, że pomylił pokój i zapukał do następnych drzwi.

– Proszę.

Otworzył drzwi i wszedł. Oficer siedzący za biurkiem wstał i Montalbano zrozumiał, że znowu się pomylił, ten tutaj miał stopień kapitana.

– Szukałem porucznika Belladonny.

– Jedne drzwi wcześniej.

To znaczy, że się nie pomylił. Porucznik Belladonna był kobietą.

– Czy można? Jestem komisarzem...

– Proszę, niech pan wejdzie – odpowiedziała, wstając, i wyszła mu naprzeciw.

Porucznik nie tylko spełniała zapowiedź swojego nazwiska – piękna kobieta – ale wręcz ją przewyższała. Była nie tylko piękna, ale przepiękna. Montalbanowi na chwilę zabrakło tchu. Była od niego wyższa z dziesięć

centymetrów, czarnowłosa, z wielkimi świetlistymi oczami, czerwonymi ustami niepotrzebującymi szminki, a przede wszystkim promieniowała pogodą i uprzejmością.

– Jestem do pana dyspozycji.

„Dobrze by było!” – pomyślał komisarz.

– Nie wiem, czy jest pani wprowadzona w sprawę odnalezienia przez jacht ciała, które...

– Wiem wszystko.

– Chciałbym się dowiedzieć pewnej rzeczy. Czy jednostka, która zawija do naszego portu, musi uprzedzić o swoim przybyciu?

– Oczywiście.

– Także o godzinie wpłynięcia do portu?

– O tym przede wszystkim.

– Dlaczego?

– Jest wiele powodów. Statki manewrujące w wewnętrznym basenie, zajęte miejsca do cumowania, dyspozycyjność pilotów...

– Rozumiem. Jeśli to dla pani nie jest zbyt duży kłopot, czy mógłbym się dowiedzieć, z jakim wyprzedzeniem „Vanna” zawiadomiła was, że zawinie do tego portu?

– Mogę to panu powiedzieć. Proszę za mną.

Idąc za nią, Montalbano dał się oczarować falistemu ruchowi spódnicy towarzyszącemu jej krokom. Przeszli obok dystrybutora kawy.

– Napijemy się kawy?

– Chętnie.

Montalbano pozwolił, aby uruchomiła dystrybutor, on nie umiał się obchodzić z takimi rzeczami.

Mylił się w naciskaniu guzików i zamiast kawy z maszyny wyskakiwały kanapki, lody albo cukierki. Kawa była dobra.

– Proszę tu na mnie poczekać.

Porucznik otworzyła drzwi, na których widniał napis: „Osobom postronnym wstęp wzbroniony”, i weszła. Wróciła po pięciu minutach.

– Proszę zobaczyć, zawinięcie nie było planowane. Około szóstej rano nawiązali łączność, poinformowali, że musieli wziąć kurs na port z powodu bardzo złych warunków atmosferycznych.

Było to potwierdzenie myśli, która przyszła mu do głowy, kiedy wieczorem położył się do łóżka. Skąd rzekoma Vanna wiedziała, że jacht ma przypłynąć rano? Musiała otrzymać o tym informację wczesnym rankiem. Ale czy otrzymała ją z kapitanatu, czy bezpośrednio z jachtu? Podziękował i pożegnał się.

– Zejdę z panem. Wypalę papierosa na zewnątrz.

Papierosa wypalili razem. Ona powiedziała, że ma na imię Laura. A ponieważ od razu zawiązała się między nimi nić sympatii, zaraz potem wypalili drugiego papierosa i rozmowa stała się bardziej osobista. Kiedy się rozstali, było jasne, że chętnie wypaliliby razem jeszcze z dziesięć papierosów.

4

Wysiadając z samochodu, zobaczył dwóch robotników, którzy naprawiali dach. Przyjrzał im się uważnie i poczuł się zaniepokojony.

– Przyślij mi Fazio – powiedział Catarelli.

Jego gabinet był już wysprzątny, tylko na suficie widniały jeszcze liczne plamy wilgoci. Kiedy się osuszą, trzeba będzie przemalować go na biało. Komisarz stwierdził z satysfakcją, że na biurku nie ma ani jednego dokumentu do podpisania.

– Dzień dobry, panie komisarzu.

– Słuchaj, Fazio, jakie zabezpieczenie mają ci robotnicy? Nie chciałbym, aby nasz komisariat przyczynił się do wzrostu liczby morderstw w miejscu pracy.

Od lat nazywał wypadki przy pracy morderstwami, bo był święcie przekonany, że dziewięćdziesiąt procent śmiertelnych wypadków było zawinione przez pracodawców.

– Niech pan się nie martwi, panie komisarzu, pracują z zabezpieczeniem. Może pan nie zauważył.

– To i lepiej. Fazio, potrzebuję, żebyś zrobił dla mnie jedną z tych rzeczy, w których jesteś mistrzem.

– Słucham.

– Pod jakimś pretekstem, no nie wiem, na przykład, że musisz przygotować kompletną listę wezwań do prokuratury, pójdź na „Vannę” i zbierz wszystkie dane osobowe i inne właścicielki, kapitana i czterech

członków załogi.

Fazio przybrał pytający wyraz twarzy.

– Przepraszam, ale co mają wspólnego te dane z odnalezieniem zwłok?

Uzasadnione pytanie, wynikające z tego, że Fazio nie znał nowin dotyczących rzekomej Vanny.

– Czysta ciekawość.

Fazio popatrzył na komisarza z jeszcze większym powątpiewaniem.

– A co pan rozumie przez dane osobowe i inne? – zapytał po pauzie.

– Jaka atmosfera panuje na jachcie, jakie są między nimi stosunki... Wiesz, ludzie, którzy tak długo współżyją tuż obok siebie na ograniczonej powierzchni, rano, wieczorem i w nocy, często zaczynają się w końcu nienawidzić, nie mogą się już znieść... wystarczy jedno słowo i całe to nagromadzone napięcie znajduje ujście.

Wyjaśnienie najwyraźniej nie zadowoliło Fazia, który nie odważył się jednak zadawać dalszych pytań.

Późnym rankiem Montalbano postanowił zadzwonić do lekarza sądowego.

Może było jeszcze za wcześnie, ale spróbować nic go nie kosztowało.

– Mówi Montalbano. Chciałbym rozmawiać z doktorem Pasquanem.

– Doktor jest zajęty – odpowiedział portier.

– Mogę pana prosić o przysługę?

– Jeśli to w mojej mocy.

– Mógłby pan zapytać asystenta, kiedy doktor ma zamiar wykonać sekcję zwłok znalezionych wczoraj na morzu?

– Chwileczkę.

Wrócił, a Montalbano zdążył powtórzyć sobie tabliczkę mnożenia przez siedem i przez osiem. Był to dobry sposób na zabicie czasu.

– Właśnie ją wykonuje.

– Panie komisarzu, bardzo mi przykro – powiedział Enzo, rozkładając ramiona, gdy tylko ujrzał, jak Montalbano wchodzi do restauracji.

– Dlaczego ci przykro?

– Nie mam świeżych ryb. Wczorajsza pogoda...

– Co mi możesz dać?

– Na przystawkę kaponatę zrobioną przez moją żonę, na pierwsze spaghetti *alla norma*, na drugie bakłazany po parmeńsku, że paluszki lizać.

Miał rację. Tylko że zamiast lizać paluszki czy wąsy, komisarz zamówił drugą porcję bakłazanów.

Gdy tylko wyszedł, zrozumiał, że potrzebny mu jest długi medytacyjno-trawienny spacer do latarni, bo najadł się jak rzadko. Wybrał jednak okrężną trasę, żeby przejść przed „Vanną” i zacumowanym obok „Asem Kier”.

Na mostkach obu jachtów nie było nikogo, być może także załogi poszły coś zjeść.

Dotarł do końca mola i usiadł jak zwykle na płaskim gładzie. Miał stamtąd

doskonały widok na jacht i łódź motorową.

Podczas gdy palił papierosa, zobaczył, że w pobliżu „Asa Kier” kołysze się na wodzie drewniana skrzynka, z tych używanych do przechowywania ryb. Wtedy przypomniał sobie słowa pilota Zurla i zaczął obserwować ruch skrzynki unoszonej prądem.

Włożył rękę do kieszeni, policzył papierosy, które miał ze sobą. Było ich z dziesięć, to powinno wystarczyć.

Po godzinie skrzynka zaklinowała się między falochronami wzmacniającymi molo. Kapitan Zurlo miał rację, prąd wychodzący, zaczynający się przy nabrzeżu, znosił wszystkie dryfujące przedmioty na wschodnie molo, na którym znajdował się teraz komisarz.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Zszedł pomiędzy skały i ślizgając się, przeklinając, zdołał dotrzeć do skrzynki. Wziął ją ze sobą, po czym wrócił do płaskiego kamienia i stamtąd rzucił znowu do morza.

Tym razem wystarczyło pół godziny, żeby się przekonać, że skrzynka kieruje się w stronę ujścia portu.

Wsiadł do samochodu i pojechał do Montelusy, żeby porozmawiać z doktorem Pasquanem.

– Pan doktor jest u siebie w gabinecie – powiedział mu portier.

Komisarz podszedł do drzwi i zapukał. Żadnej odpowiedzi. Zapukał znowu. Nic. Wtedy nacisnął klamkę i wszedł.

Pasquano siedział za biurkiem i coś pisał. Nawet nie podniósł oczu, żeby

zobaczyć, kto wszedł, powiedział tylko: – Założę się o własne jaja, że właśnie wszedł tutaj cokolwiek niewychowany komisarz Montalbano.

– Pańskie jaja są na razie bezpieczne, panie doktorze. Zgadł pan.

– Bezpieczne tylko na chwilę, bo z pewnością mi pan na nie nadeptnie.

– Znowu pan odgadł.

– Gdybym tylko miał tyle samo szczęścia w zgadywaniu przy pokerze!

– Jak poszło wczoraj w klubie?

– Niech mi pan o tym nie wspomina! Dostałem trójkę na rękę, zmieniłem dwie karty i... zresztą dajmy spokój. Czego pan chce?

– Wie pan doskonale.

– Przekroczył czterdziestkę, atletyczna budowa, wypielęgnowane ciało, biała skóra, żadnych blizn po przebytych operacjach, zęby, które nie widziały dentysty, serce i płuca w idealnym stanie, nie nosił okularów ani szkieł kontaktowych. Wystarczy?

– Tak, jeśli mówimy, jaki był za życia. A jako nieboszczyk?

– Powiedzmy, że kiedy go odnaleziono, był nieboszczykiem od co najmniej trzech dni.

– Zabito go, masakrując mu twarz?

– Nie.

– Rany po broni palnej albo tnącej?

– Nie.

– Uduszenie?

– Nie.

– Panie doktorze, może zagramy w zimno, gorąco? Jak to mawiają w quizach, poproszę o odpowiedź!

– Otrucie, mój drogi.

– Czym?

– Zwyczajną trutką na myszy.

Montalbano wyglądał na tak zszokowanego, że Pasquano to zauważył.

– Zdziwiło to pana?

– Tak, trucizna nie jest już...

– Nie jest już w modzie, pana zdaniem.

– No cóż...

– Ja bardzo bym ją polecał kandydatom na morderców. Strzał z pistoletu robi hałas i mogliby go usłyszeć sąsiedzi, cios nożem oznacza zabrudzenie krwią wszystkiego, podłogi, ubrań... tymczasem trucizna... nie uważa pan?

– A twarz?

– To już dzieło *post mortem*.

– Bez wątpienia po to, aby utrudnić identyfikację.

– Stwierdzam z przyjemnością, że pomimo zaawansowanego wieku pozostało panu jeszcze trochę rozumu.

Montalbano nie dał się sprowokować.

– A opuszki palców?

– Nietknięte, tak jak całe ciało.

- To znaczy, że jego odcisków nie ma w kartotekach policyjnych.
- Konkluzja nienaganna, zgodna z regułami logiki, moje gratulacje. A teraz, jeśli skończył mi pan zawracać dupę...
- Ostatnie pytanie. Był żonaty?
- Mnie pan pyta? Wiem tylko, że na palcach nie było śladów po pierścionkach. Ale to nic nie znaczy.
- Jeszcze jedna rzecz. Może mi pan powiedzieć, czy...
- O nie, mój drogi! Powiedział pan, że pytanie o stan cywilny było ostatnim. Niechże pan raz w życiu dotrzyma słowa!

Skoro już był w Montelusie, poszedł do kwestury porozmawiać z kimś z sądówki. Wiedział, że jej szef, Vanni Arquà, do którego żywił wielką antypatię, jest na urlopie, i zastanie jego zastępcę, Cusumana.

- Co mi opowiesz?
- Zaczynając od czego?
- Od pontonu.
- Mały ponton na wiosła...
- Były wiosła? Nie widziałem ich.
- Nie. Albo się zgubiły na morzu, albo ponton był holowany. Idę dalej. Produkcja angielska, dużo się ich spotyka. Żadnych odcisków palców, używano rękawiczek. Ciało zostało tam włożone niedługo przed wyłowieniem go z morza.
- Dziękuję.

– Jest jeszcze jedna rzecz, dotycząca pontonu. Nie miał śladów wcześniejszego użycia.

– To znaczy?

– Naszym zdaniem rozpakowano go i nadmuchano specjalnie z tej okazji. Po wewnętrznej stronie w kilku miejscach były jeszcze przyklejone fragmenty celofanu, w którym sprzedaje go producent.

– Coś na temat nieboszczyka?

– Nie. Był całkiem nagi. Ale...

– Tak?

– Pamiętaj, że to tylko moja prywatna opinia.

– I tak chcę ją usłyszeć.

– Kapitan przed wyłowieniem ciała zrobił serię zdjęć, które nam przekazał. Chcesz je zobaczyć?

– Nie, powiedz mi tylko, co z nich wywnioskowałeś.

– W pontonie biel ciała odcinała się szczególnie wyraźnie. To na pewno nie był człowiek morza.

– Oj, panie komisarzu! Fazio tak mi powiedział, żebym panu mówił, że jak pan przyjdzie, to ja mam to mu mówić!

– No to mu powiedz.

Fazio zjawił się po dwóch minutach, z miną kogoś, kto ma ważne informacje. Staął na baczność przed komisarzem.

– Panie komisarzu, musimy zawrzeć układ.

– To znaczy?

– Że pan się nie będzie denerwował i obrzucał mnie obelgami, jeśli od czasu do czasu będę musiał zerknąć do notatek.

– Starczy, że nie będziesz mi podawał danych w rodzaju imię ojca i matki...

– Dobrze.

Fazio usiadł na krześle przed biurkiem.

– Od czego mam zacząć?

– Od właścicielki.

– To kobieta o charakterze, który...

– Znam ją, idź dalej.

– Ma na imię Livia...

Montalbano, nie wiedzieć czemu, podskoczył na krześle. Fazio popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Panie komisarzu, pańska narzeczona nie ma wyłączności na to imię. Livia Acciai, z Livorno, właśnie skończyła pięćdziesiąt dwa lata, ale nie widać tego po niej. Jeśli wierzyć temu, co mówi, w młodości była modelką, natomiast jeśli dać wiarę temu, co twierdzi Maurilio Alvarez, raczej kurwą.

– A ten Alvarez to kto?

– Maszynista, potem do niego wrócimy. W wieku trzydziestu pięciu lat Livia poznała w Forte dei Marmi inżyniera Artura Giovanniniego, bogatego mężczyznę, który się w niej zakochał i ożenił się z nią. Małżeństwo trwało tylko dziesięć lat, do śmierci inżyniera.

- Zmarł ze starości?
 - Panie komisarzu, byli rówieśnikami. W czasie sztormu wypadł z łodzi i...
 - Nie nazywaj jej łodzią.
 - To jak?
 - Jachtem.
 - Wpadł do morza i nie zdołali nawet odnaleźć ciała.
 - Kto ci opowiedział tę historię?
 - Ona, wdowa.
 - Maurilio się z nią zgadza?
 - Z Alvarezem nie mówiliśmy o nieszczęśliwym wypadku. W każdym razie ona odziedziczyła jacht i pływa po morzach, tak jak to wcześniej robiła z mężem.
 - A z czego żył?
 - Inżynier? Ze spadku.
 - A wdowa?
 - Ze spadku po spadku.
 - Przekonuje cię to?
 - Wcale. To wszystko na temat właścicielki. Kapitan, który nazywa się Nicola Sperli, genueńczyk, pięćdziesiąt pięć lat, w czasach inżyniera był pierwszym oficerem, ówczesny kapitan nazywał się...
- Fazio wyciągnął z kieszeni kartkę, popatrzył na nią.
- ...Filippo Giannitrapani. Potem Sperli przejął po nim dowodzenie.

- Giannitrapani odszedł?
- Nie, kiedy pani Acciai została właścicielką, od razu go zwolniła.
- Dlaczego?
- Zdaniem kapitana Sperlì, nie mogli się zgodzić, bo kapitan Giannitrapani miał jeszcze gorszy charakter niż ona.
- A co Maurilio mówi na ten temat?
- Maurilio mówi, że Sperlì i właścicielka byli kochankami jeszcze przed śmiercią jej męża.
- To znaczy, że jego zaginięcie na morzu... – zaczął Montalbano.
- Nie, panie komisarzu. Jeśli wrzucili go do morza, to nie z tego powodu.
- Co masz na myśli?
- Podobno pani Livia po dwóch latach małżeństwa zaczęła się zabawiać po kolei z członkami załogi i...
- Jak to po kolei?
- Maurilio twierdzi, że wybierała sobie marynarza na tydzień, potem przechodziła do następnego. Po skończonej kolejce zaczynała od nowa. Dopiero potem zeszła się z kapitanem Sperlì. A inżynier wiedział o tych igraszkach, ale nic nie mówił, miał to w dupie. Do tego stopnia, że czasami szedł spać do pustej kabiny.
- To wszystko opowiedział ci Maurilio?
- Tak.
- Pani Livia i z nim się zabawiała?
- Tak.

– To może Maurilio obgaduje właścicielkę, bo chciał ją mieć na wyłączność?

– No cóż. W każdym razie jestem przekonany, że Maurilio jest na nią cięty, bo mu zawraca dupę, schodzi do maszynowni i zaczyna wydziwiać, że się lepiej zna na silnikach od niego, wytyka mu najmniejsze potknięcie.

– A reszta załogi?

– Maurilio, który jest Hiszpanem, tak jak Sperli pływa na „Vannie”, od kiedy inżynier ją kupił. Pozostali trzej marynarze zostali zatrudnieni po tym, jak Sperli zwolnił resztę załogi, która za bardzo przywodziła mu na myśl eksperymenty właścicielki.

– Czekał, daj mi zrozumieć. Zwolnił wszystkich, tylko nie Maurilia?

– Tak. Bo Maurilio jest chroniony.

– Przez co?

– Przez testament inżyniera, w którym był zapis, że Maurilio może zostać na statku tak długo, jak sam zechce.

– Jak Maurilio wyjaśnia tę klauzulę?

– Nijak. Mówi, że był przywiązany do inżyniera.

– Co nie przeszkadzało mu figlować z jego żoną.

Fazio rozłożył ramiona.

– No dobrze, a ci trzej pozostali?

Fazio musiał znowu popatrzeć na kartkę.

– Ahmed Chaikri, Maghrebczyk, dwadzieścia osiem lat, Stefano Ricca z Viareggio, trzydzieści dwa lata, i Mario Digiulio, palermianin, lat...

Digiulio! To samo nazwisko, które podała mu Vanna! Czy tylko zbieg okoliczności? Lepiej to było sprawdzić.

– Stop! Teraz jest już za późno, ale jutro rano zgarnij tego Digiulia i przywieź mi go tutaj.

Fazio popatrzył na niego zdziwiony.

– Co takiego zrobił?

– Nic nie zrobił, chcę go lepiej poznać. Znajdź jakąś wymówkę, ale o dziewiątej chcę go mieć w komisariacie.

Już miał wyjść, żeby wrócić do domu do Marinelli, kiedy zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, bo tu by była jedna pani, która się nazywa, jak pan mówi, że się nazywa Giovannino, i z panem osobiście we własnej osobie rozmawiać pragnie.

– Wpuść ją.

To była Livia Giovannini, właścicielka jachtu. Weszła z uśmiechem na twarzy. Miała na sobie eleganckie wieczorowe ubranie.

– Panie komisarzu, proszę wybaczyć najście.

– Ależ proszę, niech pani siada.

– Wczoraj byłam trochę oszołomiona i zapomniałam zadać panu jedno pytanie. Mogę je zadać teraz?

Zachowywała się grzeczniej niż Chińczycy. Było jasne, że coś się za tym kryje.

– Naturalnie!

– Skąd pan wiedział, że mam siostrzenicę?

Zapewne roztrząsała ten problem na próżno przez cały dzień, spytała o radę kapitana Sperli i w końcu zdecydowała się przyjść i zapytać o to wprost. A to znaczyło, że sprawa z niby-siostrzenicą jest ważna. Tylko dlaczego?

– Wczoraj rano padał ulewny deszcz i na szosie do Vigaty zrobiło się osuwisko – zaczął Montalbano.

I opowiedział całą historię.

– Powiedziała panu coś o mnie?

– Powiedziała mi tylko, jak miał na imię pani mąż, ale już nie jego nazwisko. Aha, przypominam sobie, wspomniała także, że jest pani bardzo bogata i lubi żeglować po morzu. To wszystko.

Wyglądało na to, że pani Livii ulżyło.

– Oj, to dobrze!

– Dlaczego?

– Bo czasami biedaczce trochę miesza się w głowie i zaczyna wtedy opowiadać niestworzone historie... dlatego martwiłam się, że może...

– Rozumiem. Proszę mi wierzyć, nie mówiła mi nic dziwnego.

– Dziękuję – odrzekła, podnosząc się, z olśniewającym uśmiechem.

– Proszę – powiedział Montalbano, uśmiechając się równie szeroko.

5

Wrócił do Marinelli i otwierając drzwi wejściowe, usłyszał dzwoniący telefon, ale kiedy podniósł słuchawkę, było za późno, po drugiej stronie nikt nie odpowiadał. Popatrzył na zegarek, ósma trzydzieści pięć.

Ulżył sobie, rzucając kilka przekleństw pod adresem właścicielki jachtu, która opóźniła jego powrót do domu.

Dał Laurze numer telefonu do Marinelli i umówili się, że ona zadzwoni do niego o ósmej trzydzieści. Dlatego nie wziął jej numeru. Co miał teraz zrobić? Zadzwonić do kapitanatu? Czy poczekać chwilę, w nadziei, że zadzwoni jeszcze raz? Postanowił poczekać.

Przebrał się, poszedł otworzyć piecyk. Gosposia Adelina przygotowała mu porcję zapiekanego makaronu, którą najadłyby się cztery osoby. W lodówce, na wypadek gdyby miał ochotę zjeść coś jeszcze, czekał talerz *nervetti* w sosie winegret.

Telefon znowu się odezwał. To była Laura.

- Dzwoniłam przed chwilą, ale...
- Przepraszam, zasiedziałem się w pracy i...
- Gdzie się zobaczymy?
- Proszę posłuchać, w Marinelli jest bar...
- Nie mam ochoty.
- Na co?
- Żeby się tam umawiać. Nie lubię barów.

– Wobec tego może...

– Wyjaśni mi pan dokładnie, jak trafić do pańskiego domu? – przerwała mu w pół słowa.

W sumie to było najprostsze rozwiązanie, a ona była praktyczną kobietą. Wyjaśnił jej, jak dojechać.

– No to zróbmy tak. Przyjadę do pana, wypijemy aperitif i potem zdecydujemy, dokąd pójść na kolację.

– Tak jest.

Laura zjawiała się po półgodzinie. Zdjęła mundur, miała na sobie spódnicę do kolan, białą bluzkę i rodzaj grubej kamizelki. Włosy rozpuściła na ramiona. Przepiękna, promieniująca energią i sympatią.

– Jak tu pięknie!

Montalbano otworzył drzwi balkonowe na werandę, ona wyszła na zewnątrz i rozglądała się oczarowana.

– Czego się pani napije?

– Trochę białego wina, jeśli pan ma.

Komisarz zawsze trzymał zapasową butelkę w lodówce. Wziął ją i włożył na jej miejsce inną.

– Możemy tu usiąść?

– Oczywiście.

Wypili wino, siedząc obok siebie na ławce. Było jednak zbyt chłodno i kiedy skończyli, musieli wrócić do środka.

– Dokąd mnie pan zabierze?

– Mamy dwie możliwości: albo wybierzemy się do restauracji blisko Montereale, ale wtedy musimy pojechać samochodem, albo zostaniemy tutaj.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem i Montalbano źle to zrozumiał.

– Nie zna mnie pani dobrze, ale zapewniam...

Laura roześmiała się perliście.

– Ależ nie, oczywiście, że nie podejrzewam pana o...

Komisarz poczuł ukłucie melancholii. Uważała go więc za starca, któremu obce są cielesne żądze? Na szczęście Laura wyjaśniła: – ...ale muszę przyznać, że jestem strasznie głodna, nie miałam dziś czasu zjeść obiadu.

– Niech pani pójdzie ze mną.

Zaprowadził ją do kuchni, otworzył piecyk, wyciągnął brytfankę z makaronem. Ona powąchała, westchnęła, zamknęła na chwilę oczy.

– Co pani na to powie? Czy to nie jest dobra propozycja?

– Zostańmy tutaj.

Pogłębili znajomość. Opowiedziała mu, że wybrała karierę wojskową, bo jej ojciec był admirałem, teraz już bliskim emerytury, że studiowała w akademii w Livorno, że odbyła służbę na „Vespuccim”, że jej wuj ma na imię Gianni i także jest oficerem na krążowniku. Miała trzydzieści trzy lata, była w Vigacie dopiero od trzech miesięcy i nie zdążyła jeszcze nawiązać nowych znajomości. Od przybycia do Vigaty to był pierwszy raz, kiedy jadła kolację z mężczyzną.

Montalbano natomiast opowiadał długo o Livii. Laura zjadła tymczasem wszystkie *nervetti*. Apetyt jej dopisywał.

– Czy chcesz... przepraszam, czy chce pani... – zaczął Montalbano.

– Masz coś przeciwko mówieniu mi na ty?

– Bynajmniej. Chcesz kawy, whisky?

– Masz jeszcze trochę białego wina?

– Zdołaliście zidentyfikować tego nieboszczyka? – zapytała w pewnej chwili Laura.

– Jeszcze nie. Podejrzewam, że to będzie wymagało długich poszukiwań.

– Powiedziano mi, że zabito go, masakrując mu twarz.

– Nie, to zrobiono potem. Został otruty.

– A zatem... – zaczęła ona.

I urwała.

– No nie, nic, miałam taki pomysł... ale to śmieszne, żebym ci o nim mówiła. Zasięgnęłam języka, wiesz? Powiedziano mi, że w swojej pracy jesteś najlepszy, wyjątkowy.

Montalbano zarumienił się. Ona znowu wybuchnęła tym swoim perlistym śmiechem.

– Co za widok! Istnieją jeszcze mężczyźni zdolni się rumienić!

– Daj spokój. Powiedz lepiej, jaki miałaś pomysł.

– Przyszło mi na myśl, że może to był napad rabunkowy, który źle się

skończył. Ten mężczyzna idzie na spacer wzdłuż mola, napastnik uderza go kamieniem i posyła na tamten świat. Potem wsadza go do pontonu, jest ich tam dużo i... Sprawdziliście, do kogo należy ponton?

Jakimś cudem Montalbano zdołał się nie zarumienić znowu. Nie pomyślał o tym, a przecież to pierwsza rzecz, która powinna mu przyjść do głowy. Starzał się, co do tego nie było wątpliwości.

– Sądówka uważa, że ponton nie był używany przed wrzuceniem do niego ciała.

Laura wydeła usta.

– No nie wiem, ja bym jednak sprawdziła i tak.

Lepiej zmienić temat, zanim okaże się, że nie jest taki nadzwyczajny, jak ona myśli.

– Słuchaj, może umiałabyś mi odpowiedzieć na takie pytanie. Czy wielu jest bogatych ludzi, którzy spędzają cały rok na morzu, włączając się od portu do portu i nie robiąc nic innego?

– Chodzi ci o Livię Giovannini?

– Znasz ją?

– „Vanna” zacumowała w porcie trzy dni po moim przeniesieniu do Vigaty. Weszłam na pokład, bo musiałam załatwić jakieś formalności. W ten sposób się poznałyśmy. Wtedy płynęli z Tangeru, ale wyruszyli wiele miesięcy wcześniej z Alexanderbaai.

Montalbano zdziwił się.

– Gdzie to jest?

- W Afryce Południowej.
- A teraz skąd przyплыnęła?
- Z Retimno i...
- Gdzie to jest?
- Na Krecie. Płynęła do Oranu, ale z powodu złej pogody musiała zmienić plany.

Komisarz był zdumiony.

- Zaskakuje cię to?
- No cóż, tak. Nie mówię, że „Vanna” jest małą jednostką, ale...
- Wierz mi, to jeden z najlepszych jachtów na świecie. Przede wszystkim mąż pani Livii całkowicie zmienił wyposażenie łodzi oraz silniki.
- Sperli powiedział, że silnik pomocniczy nie działa dobrze.
- Co za pomysł! Myślę, że żagle służą im tylko do ozdoby. To prawdziwy dwudziestosześcimetrowy smok, pierwotnie miał dwadzieścia cztery miejsca sypialne. Także kabiny zostały powiększone i teraz zostało tylko pół tuzina miejsc do spania, za to zyskali dużo przestrzeni i dodatkowy salonik.
- Łódź motorowa też jest niczego sobie.
- „As Kier”? To osiemnastometrowy jacht Baglietto, z dwoma potężnymi silnikami GM, dziewięćmioma miejscami do spania. Może płynąć, dokąd chce.
- Widzę, że znasz się na tym.
- To takie moje prywatne hobby.
- A wracając do tematu, pytałem, czy jest wielu bogaczy, którzy...

– ...spędzają cały czas na morzu? Nie wydaje mi się.

– To jak to sobie tłumaczysz?

– Nie mam pojęcia. Może jakaś pasja, którą miał mąż i zaraził nią żonę.

Montalbano zastanawiał się chwilę. Potem powiedział:

– W jaki sposób można by sprawdzić, do ilu portów „Vanna” zawinęła w ostatnim roku?

– Wszystko będzie zapisane w dzienniku pokładowym kapitana.

– A co zrobić, żeby zajrzeć do tego dziennika?

– Tylko prokurator może wydać taki nakaz. Ale musiałby znaleźć jakąś sprytną wymówkę. Możesz mi wyjaśnić, dlaczego tak bardzo interesuje cię „Vanna”? W sumie natknęła się na ponton tylko przypadkiem.

– Nie potrafię ci powiedzieć dlaczego, ale... intryguje mnie... sam nie wiem... coś mi tu nie pasuje.

Nie mógł jej powiedzieć, że podejrzenia rozbudziło w nim spotkanie z kobietą, która twierdziła, że nazywa się Vanna, tak samo jak jacht.

Laura pojechała do domu po północy, z obietnicą, że następnego dnia zadzwonią do siebie.

On jeszcze się nie położył, rozmyślając o zamordowanym mężczyźnie.

Jeżeli, jak twierdził doktor Pasquano, zmasakrowano mu twarz, aby utrudnić identyfikację, musiała to być osoba, którą ktoś byłby w stanie rozpoznać. Na pierwszy rzut oka takie rozumowanie wydawało się oczywistością na poziomie myślenia Catarelli.

Bądź co bądź był to jakiś punkt wyjścia.

Nieszczęśnik zamordowany w taki sposób nie jest w naszych czasach wiadomością na pierwszą stronę, jak mawiają dziennikarze. Prasa krajowa może mu poświęcić pięć wierszy, lokalna może pół kolumny. Telewizja krajowa w ogóle by o nim nie wspomniała, natomiast lokalna tak.

Dlatego ktoś, kto byłby w stanie rozpoznać zmarłego, jeśli jego twarz nie została zmasakrowana, musiał znajdować się w okolicach Vigaty. To znaczy, że ewentualna identyfikacja doprowadziłaby prosto do mordercy. Dlaczego?

Z bardzo prostego powodu: mężczyzna został otruty. Żeby kogoś otruć, trzeba mu dodać truciznę do jedzenia albo do picia, nie ma innego sposobu.

Czyli zmarły siłą rzeczy musiał znać mordercę.

Możliwe, że poszli wypić razem aperitif albo zjeść kolację, tak jak on z Laurą, i podczas gdy nieszczęśnik popatrzył w inną stronę...

Laura... Boże, jaka ta dziewczyna była piękna! Ale co go naszło? Co mu przychodziło do głowy? W jego wieku nie powinien... Ale jakie oczy! Sposób, w jaki na niego patrzyła! Nie był w stanie dłużej się skupić i zrozumiał, że pora iść do łóżka.

– Jest Fazio? – zapytał zaraz po wejściu do komisariatu.

– Tak, panie komisarzu. A z nim razem jeszcze jedna osoba się znajduje.

– Powiedz mu, żeby do mnie przyszedł, ale sam.

Fazio zjawił się, gdy tylko komisarz zdążył usiąść.

– Jaki jest Digiulio?

– A jaki ma być? Palermianin, który...

– Chcę wiedzieć, jak zareagował, kiedy mu powiedziałeś, że ma przyjść do komisariatu. Zdenerwował się?

– Nie. Jest całkiem spokojny. Powiedział nawet, że się tego spodziewał.

– Spodziewał się?!

– Tak powiedział.

– Przyślij go tutaj.

– Mogę być obecny?

– Nie.

Fazio wyszedł obrażony.

Mario Digiulio był czterdziestolatkiem o nijakiej twarzy, z tych, których się nigdy nie pamięta.

Miał na sobie czarny golf i brudne dżinsy. Był zupełnie inny, niż się Montalbano spodziewał. Jak zapowiedział Fazio, wyglądał na zupełnie spokojnego. Niespodziewanie, zanim jeszcze komisarz poprosił go, aby usiadł, on sam przemówił pierwszy.

– Wnieśli oskarżenie, co?

Montalbano zrobił nieokreślony ruch ręką, który mógł oznaczać wszystko i nic.

– Te chuje!

Zamilkł.

– Te chuje pierdolone!

Upewniwszy się o wysokim mniemaniu Digiulia co do osób, które wniosły przeciwko niemu oskarżenie, komisarz postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o sprawie.

– Proszę mi opowiedzieć swoją wersję zdarzeń.

– W Retimno poszliśmy z Zizi napić się czegoś w knajpce i byli tam dwaj Grecy, którzy...

– ...was sprowokowali.

– Otóż to. Zizi zareagował na zaczepkę, ja go wsparłem. Zaczęła się bijatyka...

– Zdemolowaliście lokal.

– Zdemolowaliśmy? Ależ nic podobnego! Zizi połamał dwa czy trzy krzesła i...

Zizi. Gdzie komisarz słyszał już o tym Zizi? Nie mógł sobie przypomnieć.

– Przepraszam, czy Zizi to był ktoś z Retimno?

Digiulio popatrzył na niego zdumiony.

– Nie, to członek naszej załogi.

– Nie mamy informacji o takim...

– Ach, przepraszam, my go tak przezywamy, to Maghrebczyk, Ahmed Chaikri.

Komisarza olśniło.

– Czy był służącym poprzedniego właściciela?

Digiulio zupełnie już zgłupiał.

– Służącym poprzedniego... ależ skąd! Przede wszystkim Zizi zaokrętował się dopiero trzy miesiące temu.

– Może mi pan powtórzyć nazwiska pozostałych członków załogi?

– Oni nie brali udziału w bijatyce.

– Proszę mi i tak powiedzieć.

– Maurilio Alvarez, maszynista, oraz Stefano Ricca, który jest...

Montalbano przestał słuchać. Ricca! Teraz sobie wszystko przypomniał. Vanna powiedziała mu, że Ricca był bankierem, wspólnikiem wuja Artura. Ona nazywała się Vanna, tak jak jacht, podczas gdy Digiulio, Zizi i Ricca byli członkami załogi.

Ależ spryciara z tej kobiety! Co za kunsztowna siatka kłamstw, prawdziwe arcydzieło!

Czy to znaczy, że te bajki, które mu opowiedziała Vanna, były czymś więcej niż tylko zrobieniem go w konia, miały jakiś ukryty cel?

Tymczasem jednak musiał pozbyć się marynarza.

– Proszę posłuchać, czy ma pan może siostrę o imieniu Vanna?

– Ja? Nie, mam brata. Nazywa się Antonio.

– Dobrze, może pan odejść.

Tamten rozdziawił usta.

– A oskarżenie?

– Jakie?

- Wysunięte przez właściciela lokalu.
- Nie otrzymaliśmy go.
- To dlaczego mnie pan tu sprowadził?
- Z powodu innego oskarżenia.
- Jest jeszcze inne?
- Tak, niejaka Vanna Digiulio zaskarżyła swojego brata, Maria. Skoro jednak twierdzi pan, że nie ma siostry...
- Nie tylko twierdzę, naprawdę nie mam.
- Wobec tego chodzi jedynie o przypadkową zbieżność nazwisk.

Był pewien, że to nie Digiulio zawiadomił Vannę o zmianie trasy jachtu. Trzeba było koniecznie porozmawiać z innymi członkami załogi. Wezwał Fazia, który stawiał się wciąż jeszcze obrażony z powodu wykluczenia go z rozmowy z Digiuliem.

- Siadaj.

Montalbano przyglądał mu się przez chwilę. Miał mu opowiedzieć historię Vanny czy nie? Teraz kiedy całe zdarzenie przedstawiało się w nowym świetle, nie lepiej było mieć w Faziu sojusznika?

- Pamiętasz ten dzień, kiedy ulewa spowodowała osuwisko na szosie?
- Tak jest.
- Pamiętasz, że zabraliśmy do komisariatu bidulkę, która nazywała się Vanna Digiulio?
- Tak jest.

– Wiesz, co ci powiem? Nie nazywała się Vanna Digiulio i nie była wcale bidulką, tylko kurwą nie z tej ziemi, która nabiła mnie w butelkę.

Fazio zamrugał oczami.

– Naprawdę?

I Montalbano opowiedział mu wszystko od początku.

– A pan co o tym myśli? – spytał na koniec Fazio.

– Wyrobiłem sobie na ten temat konkretną opinię według kilku faktów. Kiedy przedstawiłem się tej kobiecie, dla wygody nazywajmy ją dalej Vanną, jako komisarz Montalbano, zaczęła kichać i nie mogła przestać.

Fazio się pogubił.

– Przepraszam, a co to ma do rzeczy?

– Ano ma. Założę się o własne jaja, że to były udawane kichnięcia. Robiła to, żeby zyskać na czasie i zdecydować, czy ma mi powiedzieć to, co chciała. I zaraz potem nakierowała mnie pośrednio na trop jachtu.

– Z jakiego powodu?

– Mogę tylko zgadywać. Zrobiła to na wszelki wypadek.

– Proszę to dokładniej wyjaśnić.

– Gdyby coś jej się stało, zostawiła mi wskazówki, kogo powinienem wziąć pod lupę.

– Ale przecież ci z jachtu nawet nie zobaczyli Vanny!

– To prawda. Jednak moim zdaniem zdarzyło się coś nieprzewidzianego.

– To znaczy?

– Jacht wziął na pokład ciało wyłowione z morza. Co oznaczało obecność policji, pracowników kapitanatu, lekarza sądowego, sądówki... za dużo ludzi. Vanna woli zniknąć. Przekonuje cię?

– Tak. Wciąż jednak nie wiemy, jakie miała zamiary.

– Dlatego ważne jest, abyśmy odkryli, kto się z nią kontaktuje. Ktoś z kapitanatu? Nie sądzę, by to było możliwe. Jestem pewien, że to nie Digiulio. Tutaj potrzebne mi są twoje umiejętności.

– To znaczy?

– W stosunku do pozostałych członków załogi nie możemy zastosować tej samej taktyki co do Digiulia. Trzeba znaleźć sposób nawiązania znajomości z Maghrebczykiem, jak on się nazywa...

– Chaikri.

– Tak, ale dla przyjaciół Zizi. Spróbuj się czegoś wywiedzieć, wlać w niego trochę alkoholu... Schodzą na ląd?

– A jakże. Cały dzień włóczą się po miasteczku.

– Jednym słowem, zaprzyjaźnij się z nim jakoś.

W tej samej chwili pojawił się Mimì Augello, elegancki i uśmiechnięty.

– Gdzie byłeś?

– Jak to? Catarella ci nie powiedział? Odwiozłem Bebę z dzieciakiem do jej rodziców. Nie widzisz, jaki jestem wypoczęty? Dzisiaj w nocy wreszcie się wyspałem.

Montalbano wpatrywał się w niego, nic nie mówiąc.

– O co chodzi? – spytał Augello.

– Przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Też mi nowość! Dotyczy mnie w jakiś sposób?

– Pewno. Czułbyś się na siłach pozalecać do pięćdziesięciolatki, która wygląda na dziesięć lat młodszą?

Mimì odpowiedział bez chwili wahania:

– Mogę spróbować.

6

Poszedł zjeść u Enza, z poczuciem zadowolenia, bo wydawało mu się, że jest na właściwej drodze do odkrycia, co stało za dziwnym zachowaniem rzekomej Vanny. Był teraz prawie pewien, że postępowała w określony sposób, realizując plan, który powstał w jej głowie, gdy tylko dowiedziała się, że on jest komisarzem Montalbanem.

Dlatego też nie chodziło o głupstwo, ale o jakąś poważną sprawę.

W każdym razie, nie rozumiejąc jeszcze, jakie były jej motywy, czuł wyraźnie, że zachowuje się tak, jak ona chce.

Co do nieboszczyka w pontonie znajdowali się w punkcie wyjścia i nie mieli żadnych poszlak.

Niemożność identyfikacji stawiała dochodzenie w martwym punkcie. Ten, kto zmasakrował zmarłemu twarz, wiedział, co robi.

Z drugiej strony, jeśli chodziło o przyjeźdnego, nie miało sensu przetrząsać wszystkich hoteli i zajazdów w Vigacie, Montelusie i okolicach. Po pierwsze, zabrałoby to za dużo czasu, po drugie, jak rozpoznać kogoś, kto nie ma twarzy ani dokumentów?

A jeśli to był ktoś miejscowy, dlaczego nie zgłoszono żadnego zaginięcia?

W restauracji się pocieszył; ryby wróciły do menu i komisarz, żeby powetować sobie przymusowy rybny post poprzedniego dnia, objadł się nimi bez umiaru. Pochłonął porcję smażonych barwen i kałamarnic, którymi najadłoby się pół komisariatu.

W rezultacie spacer po molu aż do latarni stał się koniecznością. Także

tym razem komisarz poszedł określoną drogą, przechodząc obok wciąż zacumowanych obok siebie „Vanny” i „Asa Kier”.

Minął je już, kiedy usłyszał za swoimi plecami głosy i śmiechy. Nie przestając iść, popatrzył za siebie.

Livia Giovannini, właścicielka „Vanny”, i kapitan Sperli schodzili właśnie z „Asa Kier” na brzeg, podczas gdy z pokładu machał im na pożegnanie olbrzymi mężczyzna, prawdziwy kolos, mający co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, potężne bary i rude włosy. Jacht motorowy był wielki, ale kiedy ten człowiek schodził pod pokład, na pewno musiał się pochylać. Potem pani Livia i kapitan zaczęli wchodzić po schodkach na „Vannę”.

Montalbano usiadł na płaskim kamieniu, zapalił papierosa i zaczął się zastanawiać nad tym, co właśnie zobaczył.

Dlaczego właścicielka i kapitan „Vanny” udali się na pokład „Asa Kier”?

Może była to zwykła grzecznościowa wizyta sąsiedzka? Czy było to w zwyczaju między ludźmi morza? Biorąc pod uwagę porę, można było przypuszczać, że ci z „Vanny” zostali zaproszeni na obiad.

A może znali się już wcześniej? Byli starymi przyjaciółmi? Łączyły ich interesy?

Trzeba było zaraz coś zrobić, to znaczy dowiedzieć się więcej o „Asie Kier”.

W ten sposób jednak śledztwo, zamiast się zawęzić, zaczynało zataczać coraz szersze kręgi i dotyczyć większej liczby osób. A to najgorsze, co może się zdarzyć w czasie dochodzenia.

W każdym razie jedynym sposobem na zdobycie informacji o „Asie Kier” było spytać Laurę. A musiał też jak najszybciej spytać ją jeszcze o coś innego.

Laura! Boże, jaka ona była...

I znowu zatopił się w myślach o dziewczynie. Nie podobało się mu, że gdy tylko sobie o niej przypomniał, nie był w stanie skupić się na niczym innym. W jego głowie był tylko obraz Laury, tego, jak chodzi, jak się śmieje... w głębi duszy trochę się tego wstydził. Nie wydawało mu się to właściwe dla mężczyzny w jego wieku. Nic jednak nie mógł na to poradzić.

Gdy wsiadł do samochodu, zamiast do komisariatu pojechał do Montelusy. Zatrzymał się przed zakładem medycyny sądowej i wszedł do środka.

– Czy jest doktor Pasquano?

– Być to jest.

Co przetłumaczone znaczyło: tak, ale przeszkadzanie mu w tej chwili nie byłoby dobrym pomysłem.

– Proszę posłuchać, ja tylko potrzebowałbym spisać dane z raportu sporządzonego przez doktora po sekcji zmasakrowanego mężczyzny.

– Mogę go panu przynieść, ale nie wolno go wynosić na zewnątrz.

– Muszę tylko zrobić sobie z niego kilka notatek, w pana obecności. Może mi pan oddać tę przysługę?

– Tak, ale proszę nie mówić tego doktorowi.

Pół godziny później zaparkował przed budynkiem lokalnej telewizji „Retelibera”.

– Zastałem Zita?

– Jest w swoim biurze.

Objęli się z dziennikarzem na powitanie, byli starymi przyjaciółmi i szczerze się cieszyli z każdego spotkania.

Montalbano przekazał Zitowi dane, które wypisał z raportu. Wzrost, waga, kolor włosów, rozpiętość ramion, długość nóg, uzębienie... Zito przyrzekł mu, że w dwóch dziennikach telewizyjnych, które prowadził, o ósmej i o północy, poda komunikat na ten temat. Tych, którzy na niego odpowiedzą, zachęci, aby skontaktowali się z komisariatem.

W gabinecie Montalbano zastał Fazia, który czekał na niego z miną zbitego psa.

– Co się dzieje?

– Panie komisarzu, mamy przegwizdane.

– I to ma być nowina? Czemu się dziwisz? Ja jestem przekonany, że miałem przegwizdane od dnia, w którym się urodziłem. Jeden pech więcej, jeden mniej, co za różnica. O co chodzi?

– O Chaikriego.

– Opowiedz wszystko po kolei.

– Przypadkiem, kiedy szedłem coś zjeść, przed knajpką Giacomina zobaczyłem Digiulia, Riccę i Alvareza, którzy akurat tam wchodzili. Wobec

tego po chwili wszedłem i ja i siadłem przy stoliku blisko nich. Usłyszałem, że rozmawiają o Zizi, i nastawiłem uszu. Chce pan wiedzieć, co powiedzieli?

– Jeśli to zła wiadomość, to nie chcę. Ale powiedz i tak.

– Wczoraj wieczorem Zizi został aresztowany.

Montalbano zaklął.

– Przez kogo?

– Przez karabinierów.

– Z jakiego powodu?

– Podobno wczoraj wieczorem, wracając na jacht, Zizi zobaczył samochód karabinierów zaparkowany w pobliżu portu. Zizi, który sporo wypił, podszedł do samochodu, rozpiął spodnie i na niego nasikał.

– Zwariował? W środku byli karabinierzy?

– Tak jest.

– I co się stało?

– Ano to, że Zizi uderzył jednego z dwóch karabinierów, którzy go aresztowali.

Montalbano znowu zaczął kląć.

– Co zrobimy? – spytał Fazio.

– Co chcesz zrobić? Nie mogę przecież zadzwonić do karabinierów, żeby go wypuścili, bo jest mi potrzebny. Słuchaj, spróbuj zaznajomić się z Riccą, to jedyne, co nam pozostało.

Z Laurą umówił się poprzedniego wieczoru, że zadzwoni do niego do biura około siódmej, ale dochodziła już prawie ósma, a ona się nie odezwała.

Ponieważ tym razem wziął od niej numer komórki, po dłuższej chwili wahania zadzwonił.

– Tu Montalbano.

– Poznałam cię po głosie.

Powiedziała to bez śladu entuzjazmu.

– Zapomniałaś, że...

– Nie zapomniałam.

Kurde, ależ była wymowna!

– Za dużo pracy?

– Nie.

– Wobec tego, dlaczego...

– Postanowiłam do ciebie nie dzwonić.

– Ach.

Zapadło milczenie.

I od razu Montalbano się przestraszył, że przerwało połączenie. Było to idiotyczne, ale nic nie mógł na to poradzić, wpadał w panikę jak mały chłopczyk opuszczony na statku kosmicznym w pustce galaktyki.

– Halo! Halo! – zaczął krzyczeć.

– Nie wrzeszcz tak. Jestem tutaj.

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego...

- Nie chcę tego robić przez telefon.
- Spróbuj.
- Powiedziałam nie.
- No to spotkajmy się, proszę! Muszę cię także zapytać o coś na temat „Vanny”.

Kolejna pauza.

Ale tym razem przynajmniej Montalbano słyszał jej oddech.

- Chcesz, żebyśmy poszli na kolację? – spytała.
- Tak.
- Ale nie u ciebie w domu.
- Dobrze. Ty wybierz.
- Pojedźmy do tej restauracji w Montereale, o której mi mówiłeś.
- Dobrze. Zróbmy tak, przyjedź do komisariatu, weźmiemy mój samochód i...
- Nie. Wyjaśnij mi, jak tam dojechać, zobaczymy się na miejscu. Ale za jakąś godzinę, muszę się przebrać.

Co ugryzło Laurę? Dlaczego tak zmienił jej się humor? Nie rozumiał tego.

Jakieś dziesięć minut później zadzwonił telefon.

- Oj, panie komisarzu, panie komisarzu, panie komisarzu!

Zły znak. Kiedy Catarella zaczynał lamenty, oznaczało to, że po drugiej stronie słuchawki był kwestor.

- Kwestor chce ze mną rozmawiać?
- Tak, panie komisarzu! Jakąś najpilniejszą sprawę ma!
- Powiedz mu, że nie ma mnie w biurze.

Jeszcze kwestor wezwałby go do Montelusy i zmusił do odwołania spotkania z Laurą.

- O Matko Boska, panie komisarzu – zaszlochał Catarella.
- Co ci się dzieje?
- Mi się dzieje, że jak mam mówić oszustwo panu kwestorowi, to mi się widzi, że się zgrzeszam śmiertelnie!
- To idź się potem wyspowiadać.

Po trzech kwadransach już zbierał się do wyjścia, kiedy zjawił się Fazio.

- Panie komisarzu, ponieważ mam bliskiego przyjaciela, który jest karabinierem, pozwoliłem sobie...
- Co zrobiłeś?
- Zapytałem, co mają zamiar zrobić z Chaikrim.
- I jak usprawiedliwiłeś swoje zainteresowanie?
- Powiedziałem, że to mój przyjaciel, że kiedy za dużo wypije, traci głowę, i bardzo przepraszam za jego zachowanie.
- Co ci odpowiedział?
- Że wypuścili go dzisiaj o piątej po południu. Oskarżyli go o agresję i stawianie oporu. Co mam zrobić? Pójść go poszukać w knajpie u Giacomina?
- Idź tam zaraz i daj sobie spokój z Riccą.

Wstał już z krzesła, gdy zadzwonił telefon na bezpośredniej linii. Odpowiedzieć czy nie? Oto jest pytanie. Ostrożność podpowiadała, że lepiej nie odpowiadać, ale ponieważ dał Laurze właśnie ten numer, pomyślał, że może zmieniła zdanie, i podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Co za szczęście, że pana zastałem! Zapewne właśnie pan wrócił do komisariatu?

– W tej chwili.

To był ten kretyn Lattes, szef gabinetu kwestora, zwany „mleko z miodkiem”, święcie przekonany, że Montalbano ma żonę i dzieci.

– Mój drogi, pan kwestor musiał wyjść i przekazał mi zadanie odnalezienia pana.

– Słucham.

– Widzi pan, musimy bardzo pilnie zrobić spis dokumentów zniszczonych w czasie tej powodzi, która nawiedziła komisariat kilka dni temu.

– Rozumiem.

– Ma pan godzinkę albo półtorej?

– Kiedy?

– Teraz. Możemy to zrobić także przez telefon. Wystarczy, żeby miał pan przed sobą spis zniszczonych dokumentów. Zrobimy taką prowizoryczną inwentaryzację, która posłuży nam...

Poczuł się zgubiony. Miał odwołać kolację z Laurą?

Nie, nie ulegnie zemście biurokracji.

Co robić? Jak wybrnąć z kłopotu?

Być może mogła go wybawić tylko przekonująca scena teatralna. Wystartował mocnym akcentem, jak wielki aktor tragiczny.

– Nie! Nie! Boże mój! Ja nieszczęsny! Niestety nie mam czasu! – zawołał zrozpaczonym głosem.

Lattes od razu złapał się na przynętę.

– Boże drogi, co się stało?

– Właśnie dostałem telefon od swojej małżonki!

– I co?

– Dzwoniła ze szpitala! Nieszczęście!

– Ale co się stało?

– Najmłodsze z moich dzieciątek, Gianfrancesco, jest bardzo chore i muszę koniecznie...

Lattes nawet się nie zawahał.

– Ależ na miłość boską, panie komisarzu! Niech pan pędzi do szpitala! Będę się modlił za pańskiego... jak pan mówił, że ma na imię?

Montalbano już nie pamiętał. Strzelił na oślep.

– Gianantonio.

– Nie mówił pan wcześniej Gianfrancesco?

– No właśnie, widzi pan? Zmysły już tracę! Gianantonio to najstarszy, i ma się dobrze, dziękować Bogu!

– Niech pan idzie i nie traci czasu! Oby wszystko dobrze się ułożyło! I niech mi pan jutro da znać, jak się sprawy mają, bardzo proszę!

Ruszył pędem do Montereale.

I po niecałych dwóch kilometrach samochód stanął na szosie. W zbiorniku nie było już ani kropli benzyny. Montalbano pamiętał, że dwieście metrów dalej jest stacja benzynowa.

Wysiadł, wziął kanister, puścił się biegiem do stacji, napełnił kanister benzyną, zapłacił, wrócił do samochodu, ruszył, zatrzymał się na stacji, aby zatankować do pełna, ruszył dalej. To wszystko przy wtórze nieustających przekleństw.

Kiedy dotarł do restauracji, spocony i zdyszany, Laura siedziała już przy stoliku i czekała na niego, nachmurzona.

– Gdybyś się spóźnił jeszcze o pięć minut, tobym sobie poszła – powiedziała głosem jak lodowy soplek.

Po wszystkich perypetiach, jakie musiał pokonać, aby stawić się na czas, jej słowa wywołały w nim nieoczekiwaną reakcję. Nie był w stanie się opanować i wyrwało mu się zdanie, o które nigdy by się nie posądził:

– Wobec tego ja sobie pójdę.

Odwrócił się plecami, wyszedł z restauracji i wrócił samochodem do Marinelli.

Jedyne, o czym marzył, to wejść pod prysznic i zostać tam najdłużej, jak się da, żeby ulotnił się z niego zły humor.

Dwadzieścia minut później, gdy się wycierał, zastanawiając się już spokojnie nad tym, co zrobił, doszedł do wniosku, że zachował się jak kretyn.

Bo przecież bezwzględnie potrzebował Laury, żeby posunąć do przodu dochodzenie. Mimì Augello mógł zapoznać się z Livią Giovannini tylko za pośrednictwem Laury.

Postanowił, że następnego ranka zadzwoni do dziewczyny, żeby ją przeprosić.

Nie miał jakoś apetytu, była szansa, że go nabierze, jeśli posiedzi na werandzie, oddychając świeżym powietrzem. Kiedy wracał z restauracji, zauważył, że inaczej niż poprzedniego wieczoru, jest duszno i bezwietrznie. Postanowił zostać w samych slipkach. Włączył światło na werandzie, wziął papierosy i zapalniczkę, po czym otworzył drzwi balkonowe.

I zamarł.

Nie z zimna, bo było wciąż gorąco, ale dlatego, że zobaczył tuż przed sobą Laurę, milczącą, ze spuszczoneymi oczami.

Najwyraźniej zapukała, on nie usłyszał, bo brał prysznic, i wtedy ona, wiedząc, że jest w domu, obeszła budynek dookoła, żeby wejść od strony morza.

– Przepraszam – powiedziała Laura.

I popatrzyła na niego, a wtedy jej mina zmieniła się nagle z poważnej na rozweseloną.

W tej samej sekundzie Montalbano ujrzał swoje odbicie w jej oczach i zrozumiał, że wciąż jest w slipkach.

– Aaach! – jęknął.

I pobiegł w stronę łazienki, niczym aktor w komedii slapstickowej.

Był tak wstrząśnięty, tak ogłupiały, że następna komiczna scena zdarzyła się w łazience, kiedy naciągając na siebie spodnie, poślizgnął się na mokrej posadzce i rąbnął tyłkiem o podłogę.

Wreszcie jakoś się opanował, wstał i poszedł na werandę.

Laura siedziała na ławce i paliła papierosa.

– Zdaje się, że się pokłóciliśmy – powiedziała.

– No tak. Przepraszam, ale widzisz...

– Dajmy spokój ze wzajemnym przeproszaniem. Jestem ci winna wyjaśnienie.

– Nie musisz.

– Chcę to zrobić, bo uważam, że to konieczne. Zostało ci jeszcze trochę białego wina?

– Pewnie.

Wstał i poszedł po nie. Wrócił z nienapoczętą butelką i kieliszkami. Laura wypila swój do dna, zanim zaczęła znowu mówić.

– Nie miałam zamiaru do ciebie dzwonić i przyrzekłam sobie, że jeśli ty zadzwonisz, powiem ci, że nie jestem w stanie się z tobą spotkać.

– Dlaczego?

– Pozwól mi mówić.

On jednak nalegał.

– Posłuchaj, jeśli obraziłaś się na mnie z jakiegoś powodu, którego jeszcze...

– Nie obraziłam się, przeciwnie.

Co znaczyło to „przeciwnie”? Lepiej już było się nie odzywać i pozwolić jej mówić.

– Nie chciałam się z tobą zobaczyć, bo bałam się, że się ośmieszę. Poza tym, to nie byłoby sprawiedliwe.

Montalbano zupełnie zgłupiał.

I bał się, że cokolwiek powie, będzie niewłaściwe. Nic z tego wszystkiego nie rozumiał.

– W rezultacie powiedziałam sobie, że ponowne spotkanie z tobą byłoby błędem. Pierwszy raz w życiu coś takiego mi się przydarza. To upokarzające, przygnębiające, bo jestem zupełnie bierna, nie mogę nic zrobić, moja wola się nie liczy. I rzeczywiście, jak do mnie zadzwoniłeś, nie umiałam... pomóż mi.

Przerwała, napełniła sobie znowu kieliszek i wypła do połowy. Kiedy podnosiła go do ust, Montalbano ujrzał, że jej oczy błyszczą od nieprzelanych łez.

7

Pomóż mi. Ale w czym? I dlaczego płakała? Jak miał jej pomóc, skoro nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi?

A potem nagle Montalbano zrozumiał. I w pierwszej chwili nie chciał uwierzyć w to, co rozumiał.

Czy to możliwe, że jej przydarzyła się ta sama rzecz, która przydarzyła się jemu?

Czy to możliwe, że oboje trafił piorun miłości od pierwszego wejrzenia?

Zezłościł się za myślenie frazesami, ale nie przychodziło mu do głowy nic oryginalniejszego.

Poczuł, że miękną mu nogi, a serce ma zarazem przepełnione lwią odwagą i zajęczym strachem, był szczęśliwy, ale i przerażony.

„Ty mi pomóż” – chciał jej powiedzieć.

Jednak podczas gdy bezgłośnie prosił ją o pomoc, ogarnęło go pragnienie, aby ją objąć i przytulić do siebie mocno.

Wtedy zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić, jeśli był mężczyzną, za jakiego się uważał. Sprawilo mu to jednak fizyczny ból, mocny niczym ostrze zagłębiające się w pierś.

– Skoro jednak się spotkaliśmy – powiedział obojętnie, jak gdyby nie rozumiał jej słów i kryjącego się za nimi cierpienia – skorzystam, żeby poprosić cię o przysługę, jeśli tylko możesz mi ją oddać.

– Powiedz, o co chodzi.

Wydało mu się, że jest zarazem rozczarowana i zadowolona.

– Mój zastępca, Mimì Augello, jest nie tylko doskonałym policjantem, ale także bardzo przystojnym mężczyzną, który podoba się kobietom.

– I co z tego? – spytała Laura, cokolwiek zdziwiona tym wstępem.

– Pomyślałem, że mogłoby się okazać przydatne zapoznanie go z właścicielką jachtu.

– Zrozumiałam. Sądzisz, że jeśli się zaprzyjaźnią, twój zastępca będzie w stanie wyciągnąć od niej jakieś informacje?

– Otóż to.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego tak cię opętał ten jacht? Dowiedziałam się, że byli wiele razy kontrolowani przez Straż Finansową i nigdy nie wykryto żadnych nieprawidłowości.

– To może nic nie znaczyć.

– Wyjaśnij to.

– Nie umiem, uwierz mi. Chodzi o przeczucie, wrażenie...

Cholera! Miał odegrać rolę psa myśliwskiego, który zwęszył trop, a nie opowiadać jej całą historię Vanny!

– I twoje przeczucia zawsze się sprawdzają? – spytała ironicznie.

– Twoim zdaniem chodzi więc po prostu o bogatą wdowę, której jedyną rozrywką jest pływanie po morzach i odwiedzanie od czasu do czasu łóżka kapitana?

– Czemu nie? Co w tym takiego dziwnego?

– Dobrze. Nie mówmy o tym więcej.

– Przepraszam, ale to, że mam odmienne zdanie od twojego, nie znaczy, że nie chcę ci pomóc. Powiedz, jak mogę się przydać.

– Powinnaś znaleźć jakiś sposób, żeby zapoznać Augella z Livią Giovannini.

Milczała przez chwilę.

– Jeśli nie czujesz się na siłach... – zaczął Montalbano.

– Czuję się, czuję. Ale przede wszystkim, czy jesteś pewien, że ci z jachtu nie wiedzą, kim on jest?

– Całkowicie.

– Wobec tego problem polega na tym, jak doprowadzić do spotkania. To nie takie proste. Musiałabym wziąć go ze sobą na jacht, ale najpierw znaleźć wymówkę, dlaczego tam przyszedłam.

– Pomyślałem, że mogłabyś go przedstawić jako kogoś odpowiedzialnego za coś, kto z tego powodu musi wejść na pokład.

Laura zaczęła się śmiać.

– To się dopiero nazywa konkretna sugestia!

– Przepraszam, ale...

– Zostaw to mnie, na pewno coś wymyślę.

I wzięła znowu kieliszek. Montalbano ją powstrzymał.

– Nie wydaje ci się, że to za dużo na pusty żołądek? Chcesz coś zjeść?

– Tak – odpowiedziała.

I zaraz potem.

– Nie. Idę sobie.

Wstała.

– No co ty – powiedział Montalbano.

Siadła. Znowu wstała.

– Idę!

– Nie wygłupiaj się.

Usiadła.

Przypominała lalkę sterowaną za pomocą sznurków.

Montalbano poszedł do kuchni i otworzył piecyk. W formie do pieczenia były cztery olbrzymie barweny w rosole, będącym specjalnością Adeliny.

Włączył piecyk na wysoką temperaturę, żeby barweny były szybko gotowe.

Potem otworzył lodówkę, wsadził do niej kolejną butelkę wina i wyciągnął talerz z oliwkami, serem i solonymi sardynkami. Wyjął z szuflady obrus, serwetki oraz sztucce i położył na stole, żeby potem zanieść je na werandę i nakryć do kolacji.

Postanowił sprawdzić, czy barweny się nie przypalają, otworzył piecyk i wziął formę. Kiedy tak stał pochylony, poczuł na sobie ciężar Laury przytulającej się do jego pleców i splatającej bez słów ręce na jego piersi.

Znieruchomiał, sparaliżowany, wciąż w tej samej pochylonej pozycji, czując, jak krew krąży mu coraz szybciej w żyłach, a serce bije głośno niby młot pneumatyczny.

Nie czuł nawet potwornego żaru formy do pieczenia, parzącej mu palce.

– Przepraszam – powiedziała.

I zaraz potem jej ciało oderwało się, a ręce rozplotły powoli, zsuwając się wzdłuż jego boków w powolnej pieszczocie.

Usłyszał, że wychodzi z kuchni.

Montalbano, oszołomiony, zakłopotany, ogłupiały, postawił formę na stole, włożył poparzone palce pod zimną wodę z kranu, potem wziął obrus i sztućce, żeby nakryć stół.

W drzwiach się zatrzymał.

Od werandy dzieliło go pięć czy sześć kroków. Być może czekało tam na niego szczęście.

Był jednak przerażony, tych pięć małych kroczków urosło w jego oczach do transatlantyckiego rejsu, miało go zaprowadzić daleko od życia, jakie wiódł do tej chwili, zmienić je całkowicie. Czy w jego wieku to było jeszcze możliwe?

Nie, nie miał czasu na pytania. Precz z wątpliwościami, z sumieniem, z rozumem.

Zamknął oczy, jak przed skokiem w przepaść, i ruszył.

Na werandzie Laury nie było.

W tej samej chwili usłyszał hałas ruszającego samochodu.

Odeszła tą samą drogą, którą przyszła.

Montalbano osunął się na ławkę.

Miał gardło tak ściśnięte, że prawie nie był w stanie oddychać.

Zdołał zdrzemnąć się około czwartej nad ranem, bo wcześniej przewracał się w łóżku bezsenne, wstawał i kładł się znowu. Przypomniawszy sobie powiedzenie, że nie ma to jak własne łóżko. Dla niego jednak tej nocy łóżko było czystą torturą, serce pękało mu od smutku i użalania się nad sobą. Co się wypuści, to się straci, mówiło inne sycylijskie przysłowie. W jego przypadku stracił to na zawsze. Przypomniawszy mu się wiersz Umberta Saby. Zwykle poezja pomagała mu przetrwać najtrudniejsze chwile, ale tym razem tylko dołała oliwy do ognia. Poeta porównywał się do psa biegnącego za cieniem motyla, i on też będzie się musiał zadowolić cieniem dziewczyny, w której się zakochał. Znał bowiem: *Niepocieszony smutek/ który był mądrością/ człowieka.* Ale czy słuszne i uczciwe było zachować mądrość w obliczu bogactwa miłości?

Ledwie godzinę po tym, jak zasnął, obudził się znowu. Przez krótką chwilę zdawało mu się, że scena przed piecykiem między nim a Laurą tylko mu się przyśniła, jednak ból poparzonych palców przekonał go, że to wszystko było prawdą.

Laura okazała się mądrzejsza od niego.

Mądrzejsza czy tylko bardziej przestraszona?

Jednak ucieczka przed rzeczywistością nie mogła jej unicestwić. Wręcz przeciwnie, stawała się jeszcze bardziej realna, gdyż byli jej teraz w pełni świadomi.

I jak mieli się spotkać na oczach innych ludzi, nie zdradzając się ze swoimi uczuciami?

Unikać na wszelkie sposoby ponownego z nią spotkania? To było możliwe, ale za cenę zaniechania śledztwa. A to z kolei zbyt wysoka cena,

nie czuł się na siłach jej zapłacić.

Była może dziewiąta rano, Montalbano siedział w gabinecie już od pół godziny, kiedy zadzwonił telefon.

Komisarz był w okropnym humorze i nie miał ochoty nic robić. Kontemplował plamy wilgoci na suficie, próbując odnaleźć w nich podobieństwo do kształtów zwierzęcych albo ludzkich twarzy, ale tego ranka wyobraźnia mu nie dopisywała i plamy były tylko plamami.

– Oj, panie komisarzu, bo tu byłby taki mężczyzna, co on się nazywa pan Fiorentino.

Jakim cudem Catarella wreszcie zdołał powtórzyć prawidłowo nazwisko?

– Powiedział ci, czego chce?

– Tak jest. Z panem osobiście we własnej osobie on mówić pragnie.

– Przełącz go.

– Nie mogę go przełączyć, jako że on...

– Jest na miejscu.

– Tak jest.

– No to go wpuść.

Minęło pięć minut i nikt się nie zjawił. Komisarz zadzwonił do Catarelli.

– No to gdzie ten Fiorentino?

– Wpuściłem go.

– Ale tu go nie ma!

– I być nie może, panie komisarzu, bo jak pan mi zarządził, ja go do poczekalni wpuściłem.

– Przyślij go do mnie!

– Natychmiastowo, panie komisarzu.

Zjawił się niski pięćdziesięciolatek, elegancko ubrany i w okularach.

– Pan Fiorentino? Proszę, niech pan siada.

Tamten wyglądał na zdziwionego.

– Ja się nazywam Toscano.

W przekręcaniu nazwisk Catarella prześcigał samego siebie.

– Przepraszam. Proszę usiąść i wszystko mi opowiedzieć.

– Jestem właścicielem hotelu „Bellavista”.

Montalbano znał ten hotel, był to nowy budynek zaraz za miastem, przy szosie do Montereale.

– Kilka dni temu zjawił się klient, powiedział, że zatrzyma się na jedną noc, poszedł do swojego pokoju, potem poprosił o wezwanie taksówki, odjechał i więcej się nie pojawił.

– Pan go zarejestrował?

– Nie, ja się zjawiam w hotelu raz dziennie. Moim głównym zajęciem jest handel meblami. Wczoraj późnym wieczorem, kiedy szedłem już do łóżka, zadzwonił do mnie nocny portier, który obejrzał właśnie w „Reteliberze” apel o zgłaszanie się z informacjami o niezidentyfikowanym nieboszczyku. Jego zdaniem opis odpowiadał wyglądowi naszego klienta. Dlatego też przyjechałem to zgłosić.

– Bardzo panu dziękuję. Zatem w rejestrze hotelowym będą dane tego człowieka?

– Oczywiście.

– Pojedzie pan ze mną?

– Naturalnie. Specjalnie zatrzymałem na miejscu nocnego portiera.

Dokument, który klient zostawił portierowi i nie zdążył już odebrać, okazał się bardzo pomocny. Był to paszport Unii Europejskiej, wystawiony przez Republikę Francuską i odnowiony dwa lata wcześniej, z którego wynikało, że jego właściciel nazywał się Émile Lannec i urodził się w Rouen 3 września 1965 roku. Na małej fotografii widniała nijaka twarz jasnowłosego czterdziestolatka o szerokich barach. Montalbanowi wydało się, że gdzieś już słyszał to nazwisko. Ale gdzie? Przy jakiej okazji? Wyteżył pamięć, lecz nic nie przyszło mu do głowy.

Osobliwość paszportu polegała na tym, że wszystkie jego strony wypełnione były pieczętkami i wizami krajów afrykańskich i azjatyckich. Ileż ten człowiek się najeździł przez dwa lata, ani chwili nie był w stanie usiedzieć na miejscu!

Émile Lannec. Nie mógł się wyzbyć wrażenia, że zna to nazwisko. I niespodziewanie skojarzył je z morzem. Lannec musiał mieć coś wspólnego z morzem.

Czy to możliwe, że spotkał go, kiedy pojechał z Livią do Saint-Tropez i cały czas szlag go trafiał, że skończył w tak banalnym turystycznym miejscu?

– Zabieram dokument ze sobą – powiedział, wkładając go do kieszeni.

Bardzo pomocny okazał się natomiast Gaetano Scimè, doświadczony czterdziestoletni portier hotelowy.

- To pan zarejestrował klienta?
- Tak jest.
- W jakich godzinach pan pracuje?
- Od dziesiątej wieczorem do siódmej rano.
- O której przyjechał ten mężczyzna?
- Około dziewiątej trzydzieści rano.
- To dlaczego był pan jeszcze w pracy?

Scimè rozłożył ramiona.

– Przypadkiem. Mój kolega z dziennej zmiany, jesteśmy zaprzyjaźnieni, musiał odwieźć żonę do szpitala i poprosił mnie, żebym go zastąpił do dwunastej. Czasami oddajemy sobie takie przysługi.

- Jak wyglądał klient?
- Dokładnie tak, jak opisali go w telewizji. Mogłem mu się dobrze przyjrzeć, kiedy wszedł do holu, żeby...
- Idźmy po kolei, dobrze? Kiedy zobaczył go pan po raz pierwszy, jakie zrobił na panu wrażenie?

Portier miał niepewną minę.

- W jakim sensie, przepraszam?
- Był nerwowy, zmartwiony?
- Nie wydaje mi się.

– Jak dotarł do hotelu?

– Chyba taksówką.

– Jak to chyba?

– Stąd nie widać podjazdu i nie mogłem zobaczyć taksówki. Jednak kiedy mężczyzna wszedł do holu, trzymał w ręce portfel, jak gdyby dopiero co zapłacił za kurs. I zaraz potem usłyszałem odjeżdżające auto.

– Pana zdaniem, skąd przyjechał?

Portier odpowiedział bez wahania.

– Z Punta Raisi. Z lotniska.

I uprzedził pytanie komisarza.

– O siódmej ląduje samolot z Rzymu. I faktycznie jakieś pół godziny po Francuzie zjawili się trzej klienci z Rzymu. Widocznie on wyszedł z lotniska wcześniej od nich.

– Skąd pan to może wiedzieć?

– Widzi pan, on miał ze sobą tylko podręczny neseser, a tamci klienci także walizki, więc musieli poczekać na ich odbiór.

– Proszę mówić dalej.

– Klient poszedł na godzinę do pokoju, potem zszedł na dół.

– Telefonował do kogoś?

– Nie przez centralę hotelową.

– Przepraszam, czy z pokoju można dzwonić bezpośrednio, a nie przez centralę?

– Oczywiście, ale w takim wypadku rachunek za pokój zostałby obciążony opłatą za telefon.

– Miał ze sobą komórkę?

– Nie umiem powiedzieć.

– Proszę dalej.

– No więc zszedł i poprosił o wezwanie taksówki. Ponieważ hotel znajduje się trochę na uboczu, samochód przyjechał dopiero po dwudziestu minutach.

– Co robił, czekając na taksówkę?

– Usiadł i zaczął przeglądać gazetę. Był...

Portier przerwał.

– Nie, nic, przepraszam.

– Nic podobnego. Proszę skończyć zdanie.

– Kiedy zszedł, zdawało mi się, że zmienił mu się humor.

– Na jaki?

– No... wydawał się wesoły. Podśpiewywał.

– Jak gdyby właśnie otrzymał dobrą nowinę?

– Coś w tym rodzaju.

– Powinien pan pracować w policji.

– Dziękuję.

– Mówił po włosku?

– Dało się go zrozumieć. Potem przyjechała taksówka i wsiadł.

– Od tego czasu nie dał znaku życia?

- Nawet nie dzwonił.
- Miał rezerwację?
- Nie.
- Pana zdaniem, skąd mógł znać ten hotel?
- Dużo się reklamujemy – wtrącił dyrektor. – Nawet za granicą.
- Ktoś do niego telefonował w tych dniach?
- Nie.
- Wyklucza pan, że był już kiedyś wcześniej gościem hotelu?
- Ja go na pewno nigdy nie widziałem.
- Zna pan taksówkarza, który po niego przyjechał?
- Jasne! Pippino Madonia, numer czternaście w korporacji.
- Gdzie jest neseser tego człowieka?
- Wciąż w jego pokoju – powiedział dyrektor.
- Dajcie mi klucz.
- Mam panu towarzyszyć? – spytał dyrektor.
- Nie, dziękuję.

Émile Lannec i morze.

Pokój znajdował się na trzecim piętrze i panował w nim idealny porządek. Tak samo w łazience. Pokój miał balkon, z którego widać było morze, a z lewej strony także połowę portu. W pomieszczeniu było tak czysto, jak gdyby nigdy nikt tam nie mieszkał. Neseser, tylko trochę większy od teczki,

stał zamknięty na podstawce do walizek. Montalbano otworzył go.

W środku była koszula, para slipek i skarpetek, w drugiej przegródce brudne ubrania, które mężczyzna z siebie zdjął.

Tym, czego Montalbano nie spodziewał się znaleźć, była wielka lornetka. Wziął ją, przyjrzał się jej uważnie, po czym wyszedł na balkon i skierował ją na łódź wiosłową, będącą małym punkcikiem w oddali. Nastawił ostrość.

Lornetka musiała mieć bardzo duże powiększenie, bo punkcik stał się twarzą jednego z dwóch rybaków znajdujących się w łodzi.

Wtedy Montalbano skierował lornetkę na port.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, co widzi, dopiero potem zorientował się, że patrzy na mostek „Vanny”, a konkretnie na kokpit, z którego schodziło się pod pokład.

Wrócił do pokoju i wytrząsnął zawartość nesesera na łóżko. Nie znalazł nic, żadnej kartki papieru, dokumentu, biletu. Wrzucił lornetkę do środka, zamknął neseser, wziął go ze sobą, po czym zszedł do holu i oddał dyrektorowi.

– Proszę go przechować w depozycie.

8

W korporacji, gdy tylko się przedstawił, skierowali go do biura pana Incardony, sekretarza. Był to facet z kocią bródką i miną kwaśną jak cytryna.

– Muszę pilnie porozmawiać z jednym z członków korporacji, Madonią, który jeździ taksówką numer czternaście.

– Pippino to porządny człowiek – odpowiedział Incardona, od razu nadęty.

– Nie podaję tego w wątpliwość, ale...

– Nie może pan tego mnie powiedzieć?

– Nie.

– O tej porze na pewno pracuje i nie wydaje mi się właściwe mu przeszkadzać.

– A mnie się wydaje – powiedział Montalbano, który zaczął się już wkurzać. – Skończymy tę zabawę czy pójdziemy porozmawiać do komisariatu?

– Proszę mówić.

– Macie z nim połączenie?

– Oczywiście!

– Proszę się poinformować, gdzie teraz jest.

Komisarz powiedział to takim tonem, że tamten już się nie odezwał, wstał tylko i wyszedł z pokoju. Wrócił po chwili.

– Teraz jest na parkingu w pobliżu baru „Vigàta”.

- Proszę mu powiedzieć, żeby tam na mnie poczekał.
- A jeśli tymczasem zjawi się klient?
- Ma się uważać za zajętego. Ja mu zapłacę za przejazd.

Na parkingu stały cztery taksówki. Gdy tylko Montalbano się zjawił, czterej taksówkarze, którzy ze sobą gawędzili, odwrócili się i popatrzyli na niego z ciekawością. Najwyraźniej numer 14 podzielił się z nimi nowiną.

- Który to Madonia? – spytał komisarz, wychylając się z okienka.
- To ja – odpowiedział pięćdziesięciolatek z łysą pałą.

Montalbano spokojnie zaparkował samochód na jednym z pustych stanowisk przeznaczonych dla taksówek.

- Tutaj nie może pan parkować – zauważył jeden z taksówkarzy.
- Co pan powie! – odpowiedział komisarz, udając zdziwienie.

Otworzył przednie drzwiczki taksówki numer 14, wsiadł na fotel obok kierowcy. Zdumiony taksówkarz także wsiadł do środka, na swoje miejsce.

- Niech pan włączy silnik i jedźmy.
- Dokąd?
- Powiem po drodze.

Gdy oddalili się od parkingu, Montalbano zaczął mówić.

- Pamięta pan, że kilka dni temu dzwoniono do pana z hotelu „Bellavista”, żeby przyjechać po klienta?
- Drogi panie komisarzu, po mnie dzwonią każdego dnia!

– To był atletyczny czterdziestolatek, przystojny facet, który...

Komisarz przypomniał sobie, że ma w kieszeni paszport Lanneca. Wyciągnął go i pokazał taksówkarzowi.

– Francuz! – zawołał Madonia, gdy tylko ujrzał fotografię.

– Pamięta go pan?

– Pewnie!

– Dlaczego?

– Bo nie wiedział, dokąd chce jechać. Przynajmniej tak mi się zdawało.

– Niech pan to wyjaśni.

– Najpierw kazał się zawieźć na cmentarz. Wysiadł, wrócił po jakichś dziesięciu minutach. Potem chciał pojechać do wejścia do portu, znowu wysiadł na dziesięć minut, wrócił i wszedł do taksówki. Na koniec pojechał do restauracji „Złota Rybka”, wysiadł i zapłacił.

– Widział pan, czy wszedł do restauracji?

– Nie, zostawiłem go na chodniku, kiedy rozglądał się dookoła.

– Która to była godzina?

– Jakoś przed pierwszą.

– Dobrze. Proszę powtórzyć dokładnie tę samą trasę, którą wtedy pan przejechał, i zostawić mnie przed „Złotą Rybką”. A raczej nie, wróćmy na parking, wezmę swój samochód i pojedę za panem.

Zapłacił za kurs, zaparkował swój samochód, wrócił do miejsca, w którym taksówkarz zostawił Lanneca. Był przekonany, że wszystkie te manewry

Francuza w taksówce miały konkretny cel, to znaczy nie pokazać, dokąd naprawdę chce się udać. Na progu restauracji stał kelner i patrzył zachęcająco na komisarza. Dał się skusić.

Wszedł, lokal był zupełnie pusty, może było jeszcze za wcześnie. Usiadł przy pierwszym lepszym stoliku i otworzył menu.

Karta obiecywała smaczne potrawy, ale napisać to jedna rzecz, a ugotować druga.

Kelner podszedł do stolika.

– Wybrał już pan?

– Tak. Ale najpierw muszę o coś spytać.

Wyciągnął z kieszeni paszport, podał go mężczyźnie. Kelner przyglądał się długo fotografii. Potem spytał: – Co chce pan wiedzieć?

– Czy kilka dni temu ten mężczyzna jadł u was obiad.

– Nie, nie wszedł. Ale widziałem go.

– Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Z twarzy kelnera zniknął uśmiech.

– Przepraszam, kim pan jest?

– Montalbano. Komisarz...

– O Boże, to prawda! Teraz pana rozpoznaję!

– To proszę mówić.

– Stałem sobie w drzwiach, tak jak przed chwilą, kiedy przyjechała taksówka i wysiadł ten pan. Taksówka odjechała, a on stał dalej na chodniku. Wyglądało, jak gdyby nie wiedział, dokąd iść. Wtedy podszedłem do niego i

spytałem, czy mogę mu w czymś pomóc. I wie pan, co mi odpowiedział?

– Nie.

– Otóż to. Powiedział, że nie. Po chwili ruszył się, skręcił w prawo i zniknął za rogiem. To tyle. Co panu podać?

Przekłeta chwila, w której postanowił zjeść w tej podłej restauracji! Była wściekle droga, w kuchni musiał pracować albo narkoman na haju, albo sadystyczny przestępca o morderczych instynktach. Wszystkie potrawy przegotowane, przypalone, mdłe albo przesolone, kucharzowi nie udało się utrafić nawet z jedną.

Para nieszczęśników, która przysłała do restauracji zaraz po komisarzu, źle się poczuła już po pierwszym daniu, ona pobiegła do toalety przepłukać usta, on wypił całą butelkę wina, żeby pozbyć się paskudnego smaku z podniebienia.

Po wyjściu z restauracji komisarz skręcił w prawo, tak jak Lannec, poszedł prosto przed siebie, po czym, przechodząc przez przecznicę, ujrzał w oddali północne wejście do portu.

Skierował się w tamtą stronę. Gdy tylko przeszedł przez bramę, zobaczył przed sobą „Vannę” i „Asa Kier”.

Lannec i morze.

Francuz, teraz komisarz był o tym święcie przekonany, przyszedł do portu, aby się z kimś spotkać. Nie wiedział, że idzie spojrzeć w twarz śmierci. Odbył podróż, żeby zdążyć na ostatnie spotkanie swojego życia.

Zjedzony posiłek podszedł nagle komisarzowi do gardła, w kwaśnym i

palącym odruchu wymiotnym. Mógł zrobić tylko jedno. Ruszył do sterty drewnianych skrzynek, schował się za nią, wsadził dwa palce do gardła i zwymiotował. Po wyjściu z portu wrócił tą samą drogą do samochodu i pojechał do restauracji Enza. Poszedł do toalety, przepłukał usta i usiadł przy stoliku.

– Co mam panu przynieść? – spytał Enzo.

– Co masz najlepszego.

– Oj, panie komisarzu, panie komisarzu! Pan Latte telefonił razy cztery, zawsze on szukając pana komisarza we własnej osobie!

To zawracanie dupy z inwentaryzacją zniszczonych dokumentów.

– Jeszcze nie wróciłem. Jest Augello?

– Na miejscu on nie znajduje się.

– A Fazio?

– Tak, jest.

– Przyślij mi go.

Pierwszą rzeczą, jaka przyciągnęła uwagę komisarza, było podbite oko Fazia.

– Co się stało?

– Dostałem pięścią.

– Od kogo?

– Wczoraj późnym wieczorem, od naszego przyjaciela Zizi.

– Siadaj i opowiedz wszystko.

– Panie komisarzu, wczoraj wieczorem, po dziewiątej, zacząłem się koło knajpy Giacomina, czekając, aż zjawią się ci z „Vanny”. Przyszli dopiero po jedenastej.

– Kto?

– Cała załoga. Alvarez, Ricca, Digiulio i Zizi. Ja wszedłem pół godziny później. Gadali, śmiali się, jedli i pili. Najwięcej ze wszystkich pił Zizi. W pewnej chwili wstał i podszedł do mojego stołu. Wtedy Digiulio spróbował go powstrzymać, ale on mu powiedział, żeby się zamknął. Stał przede mną na rozkraczonych nogach i powiedział: – Czego tu szukasz, pierdolony gliko?

– Mówi dobrze po włosku. To jeden z tych typów, co zawsze szukają zaczepki.

– A ty?

– Co miałem robić, panie komisarzu? Nie mogłem udawać, że nic się nie stało, usłyszeli to wszyscy, którzy byli w knajpie. Nie mogłem tego puścić płazem. Ledwie zdążyłem się podnieść, kiedy tamten wymierzył mi taki cios, że zatoczyłem się na ścianę. Tym razem Ricca próbował go powstrzymać i też zarobił pięścią. Ten Zizi to prawdziwy byk, skorzystałem jednak z chwili, gdy był zajęty swoim kompanem, i wymierzyłem mu kopniaka w jaja. Padł na podłogę, zwijając się z bólu, i wtedy założyłem mu kajdanki.

– I co z nim zrobiłeś?

– Zabrałem go do komisariatu i zamknąłem w celi.

– Gdzie jest teraz?

– Wciąż w celi.

– Co tam robi?

– Śpi.

– Zostaw go w spokoju. Kiedy się zbudzi, przyprowadź go do mnie. Chcę ci coś pokazać.

Wyjął paszport i podał Faziowi, który go przekartkował.

– Kto to jest ten Lannec?

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent nasz nieboszczyk w pontonie.

I opowiedział Faziowi wszystko, od wizyty złożonej doktorowi Pasquanowi, do rozmowy z Zitem i koszmarnym obiedzie w „Złotej Rybce”.

Fazio pozwolił sobie na rzadki u niego przebłysk humoru.

– Panie komisarzu, może ten nieszczęśnik poszedł coś zjeść do „Złotej Rybki”, a oni temu zaprzeczają, bo to oni go otruli?

– Słuchaj, pamiętasz może, czy mieliśmy już do czynienia z tym Lannekiem?

– Nie, dlaczego pan pyta?

– Bo wydaje mi się, że znam skądś to nazwisko.

– Mógł go pan gdzieś poznać, ale jestem pewien, że to nie było tutaj.

– Oj, panie komisarzu, panie komisarzu! O Jezu, panie komisarzu! Oj, Boże, jaka rzecz! Tchu mi brakuje!

Catarella zapukał po swojemu, praktycznie wyważając drzwi z futryny, a teraz stał przed komisarzem, zachowując się, jakby ugryzła go tarantula.

- Uspokój się! Co się stało?
- Porucznik Sferlazza jest!
- Przy telefonie?
- Nie, tutaj on jest! Osobiście we własnej osobie!
- Czego chce?
- Rozmawiać z panem. Ale niech pan się wyostrożni, panie komisarzu.

Oczy otwarte ma!

- Dlaczego?
- Bo on nie jest w mundur ubrany, tylko się nosi w cywilnym.
- I co to niby, twoim zdaniem, ma znaczyć?
- Karabinier bez munduru w robocie, będziesz, bracie, w okropnym kłopotcie! Tak wszyscy mówią!
- Nie martw się, wpuść go tutaj.

Porucznik i Montalbano znali się od dawna. I mimo iż nie okazywali tego otwarcie, czuli do siebie wzajemną sympatię. Uścisnęli sobie ręce, Montalbano poprosił gościa, żeby usiadł.

- Proszę wybaczyć najście – zaczął porucznik.
- Ależ żaden kłopot! Powiedz mi wszystko.
- Dowiedziałem się, że niejaki Chaikri, który jest członkiem załogi jachtu „Vanna”, napadł na twojego człowieka i został aresztowany. Czy to prawda?
- Tak. Z drugiej strony zdaje mi się, że wy także go aresztowaliście, kiedy nasikał wam do samochodu.

Zrobił pauzę.

– A potem od razu go wypuściliście.

Porucznik wyglądał na trochę zakłopotanego.

– O to właśnie chodzi. Podczas gdy był w areszcie, odebrałem telefon z komendy regionu. Chodziło właśnie o tego Chaikriego.

– Czego chcieli?

– Chcieli wiedzieć, czy go aresztowaliśmy.

Montalbano zdumiał się.

– A skąd się o tym dowiedzieli w Palermo?

– Ba.

– Nie wydaje mi się, żeby taki incydent mógł interesować komendę regionalną.

– No właśnie.

– Mów dalej.

– Potwierdziłem to, i oni powiedzieli, żeby zatrzymać go w jednostce, bo następnego dnia przyjedzie ktoś z Palermo, żeby go przesłuchać.

– Z powodu aktu wandalizmu?

– No cóż, ja też się zdziwiłem, ale wykonałem rozkaz.

– I ten człowiek się zjawiał?

– Nie. Zadzwonili do mnie jeszcze raz, żeby powiedzieć, że osobie, która miała prowadzić przesłuchanie, coś przeszkodziło. I zalecili, żebym zachował się wobec Chaikriego zgodnie z prawem. W związku z tym został oskarżony

o akt wandalizmu i wypuszczony na wolność.

– To dlaczego dzisiaj przyszedłeś do nas?

– Bo ta osoba się zjawiała, jest u nas i chce rozmawiać z Chaikrim.

– Poczekaj, sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałem. Chcesz, żebym przekazał ci Maghrebczyka?

– Tak.

– Nie ma mowy.

Porucznik zmieszał się jeszcze bardziej.

– Ta osoba, która przyjechała...

– Kto to?

– Nie wiem. Podobno ktoś z antyterrorystycznej. Ta osoba, która przyjechała, kiedy dowiedziała się o dokonanym przez was zatrzymaniu, domyśliła się, że możesz odmówić wydania aresztowanego.

– To nie było trudne. I co chciałaby zrobić?

– Jeśli odmówisz, zadzwoni do kwestora.

– I sądzisz, że kwestor...

– Nie sądzę, że będzie mógł odmówić.

Wtedy Montalbanowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

– Moglibyśmy zawrzeć układ.

– Powiedz.

– Ja go wam pożyczę do wieczora. Jutro rano mi go oddacie.

– Zgoda – odpowiedział porucznik Sferlazza.

Montalbano podniósł słuchawkę i powiedział Faziowi, żeby do niego przyszedł.

Fazio przywitał się z porucznikiem, ale nie okazał żadnego zdziwienia.

Bez wątpienia Catarella, widząc, że do obozu Agramanta przybył wróg, ostrzegł wszystkich w komisariacie.

– Przekaż natychmiast Chaikriego porucznikowi.

Fazio zbladł.

– Tak jest – powiedział służbiście.

Jednak po pięciu minutach zjawił się znowu przed komisarzem, z twarzą jak chmura gradowa.

– Może mi pan wyjaśnić, dlaczego...

– Nie – powiedział sucho Montalbano.

Fazio obrócił się na pięcie i wyszedł.

– Catarella, czy wrócił komisarz Augello?

– Jeszcze na miejscu on nie znajduje się.

– Ale dzisiaj rano był w pracy?

– Tak, panie komisarzu.

– O której?

– Kiedy pan się rozmawiał z panem Fiorentinem.

– A potem?

– Przełączyłem do niego rozmowę i on, to znaczy ówże komisarz Augello,

po czasie nie tak bardzo długim wyszedł był.

– Pamiętasz może, kto dzwonił?

– Imię ja sobie byłem zapomniałem, ale chodziło o damskiego porucznika z kapitanatu.

Słuchawka wypadła komisarzowi z ręki.

Laura! Skontaktowała się z Mimì Augellem, nic nie mówiąc Montalbanowi.

Pominęła go! Jak gdyby nie istniał, jak gdyby nic między nimi nie zaszło! Był wściekły, rozgoryczony, rozczarowany, zasmucony. Dlaczego zachowała się w taki sposób? Nie chciała już mieć z nim do czynienia? Nagle drzwi jakby eksplodowały, otworzyły się gwałtownie, uderzając o mur i krusząc połowę tynku.

– Bardzo się upraszam o wybaczenie, ale ze sprawy nagłości mi się ręka poślizgnęła.

– Czego chcesz? – spytał Montalbano, dochodząc do siebie po szoku.

– Uważywszy, że słuchawka pana komisarza znajduje się poza swoim miejscem i pan komisarz Augello zadzwonił, i nie mogłem go przełączyć, bo się pana słuchawka znajduje poza swoim miejscem i konsekwentnie pana telefon daje zajęty sygnał, bo się słuchawka poza swoim...

– Powiedział, że oddzwoni?

– Tak. Za pięć minut.

Montalbano odłożył słuchawkę na miejsce.

– Salvo?

Nie odpowiedział od razu. Najpierw musiał policzyć do tysiąca, żeby się trochę uspokoić i nie zmieszać Mimì z błotem.

– Salvo?

– Słucham, Mimì.

– Dzisiaj rano zadzwoniła, w twoim imieniu...

– Wiem wszystko.

To nieprawda, figę z makiem wiedział. Ale nie chciał, żeby Mimì się domyślił, że Laura się z nim nie porozumiała.

– Dziewczyna, oprócz tego, że jest, kim jest...

– Co to znaczy?

– Jezu, Salvo, nie widziałeś, co to za cud piękności?

– Tak uważasz?

Przyjął obojętny, wręcz trochę znudzony ton.

– Nie powiesz mi, że...

– Tak, bez wątpienia jest ładna. Ale mówić o cudach piękności to już przesada. W każdym razie przejdź do rzeczy.

– Do rzeczy to ja bym z nią chciał przejść. Właściwie, myślę, że...

I zaśmiał się znacząco, kretyn! Komisarz nie mógł mu pozwolić mówić dalej, bo zaczęłyby go obrzucać obelgami.

– Powiedz, co wymyśliła.

– Ponieważ „Vanna” wczoraj zatankowała, zdaniem Laury, mógłbym

stawić się z nią na pokładzie, żeby przeprowadzić kontrolę paliwa.

– Nie rozumiem.

– Poszedłbym tam jako przedstawiciel firmy importowej. Rzekomo napotkaliśmy jakieś nieregularności, osady, które mogłyby przeszkodzić w sprawnym działaniu silników. Taka jest wymówka.

– A jeśli dadzą ci porozmawiać tylko z maszynistą?

– Laura to wyklucza. Jest pewna, że kiedy właścicielka usłyszy, że sprawa dotyczy silników, będzie chciała wiedzieć, o co chodzi.

– Ale co ty wiesz o paliwach?

– Do dzisiejszego ranka nie wiedziałem nic, ale przy obiedzie Laura wyjaśniła mi kilka rzeczy. Po obiedzie poszliśmy porozmawiać z jednym takim, który jest specjalistą, a dzisiaj wieczorem Laura przyjdzie do mnie do domu i...

Montalbano nie zdołał się opanować. Cisnął słuchawkę na aparat, po czym wstał i zaczął krążyć wokół biurka, klnąc jak szewc.

Laura w domu Mimì! Sami we dwoje, bez nikogo innego!

I w dodatku powiedział Laurze, że Mimì umie się podobać kobietom. To z pewnością wystarczyło, aby rozbudzić jej ciekawość, wystawić pokusę, aby...

Nie, lepiej nie myśleć o konsekwencjach, bo może oszaleć!

Przeklęta niech będzie chwila, w której przyszło mu do głowy, żeby poznać Livię Giovannini z Mimì!

I właściwie czemu tak rozpaczał? Sam tego chciał! Sam to sprowokował, jak najgorszy kretyn! Własnoręcznie podał Laurę Mimì na srebrnym

półmisku!

9

Dotarł do Marinelli po dzikiej awanturze z kierowcą, który wyprzedzając go, prawie się o niego otarł, tak że o mało nie zepchał go na pobocze. Rozwścieczony komisarz puścił się za nim w pogoń, dopędził go, wyprzedził i zablokował mu drogę, stając w poprzek szosy.

Wyskoczył z samochodu ze zjeżonymi włosami i wzrokiem szaleńca, po czym wrzeszcząc jak opętany, rzucił się w stronę nieprzyjaciela.

Tamten jednak, gdy tylko ujrzał komisarza pędzącego w jego stronę, natychmiast wrzucił wsteczny bieg, a potem ruszył z piskiem opon, mijając Montalbana, który usiłował zatrzymać go ręką i o mały włos upadłby na szosę.

To prawda, że zachował się jak klasyczny włoski kierowca, i kiedy to sobie uświadomił, ogarnął go wstyd. Usprawiedliwił się przed sobą, że przynajmniej wyładował w ten sposób złość.

Kiedy otwierał drzwi, usłyszał telefon.

Poszedł odebrać, przekonany, że to ktoś z komisariatu.

– Halo?

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam panu w domu – odezwał się świętoszkowaty głos – ale nie mając od pana nowin...

Kto to był? Nie mógł skojarzyć głosu, który wydawał mu się zarazem znajomy i nieznamy...

– Przepraszam, ale o jakie nowiny panu chodzi?

– O dziecku, ma się rozumieć.

– Chyba pomylił pan numer! Tu nie przedszkole.

– Czy nie rozmawiam z komisarzem Montalbanem?

– Tak.

– Chciałem wiedzieć, jak się czuje pana synek, najmłodszy... jak on ma na imię?

O kurwa! To ten pierdolony Lattes, któremu opowiedział kłamstwo o chorym dziecku! Jakie to imię wymyślił? Jedyne wyjście było trzymać się ogólników.

– Jest pewna poprawa. Dziękuję. I proszę mi wybaczyć, że nie rozpoznałem pana od razu, ale w tych ciężkich chwilach jestem tak zmartwiony i nieprzytomny...

– Rozumiem doskonale, panie komisarzu. I proszę przyjąć moje najlepsze życzenia dla dziecka. Miejmy nadzieję, że opieka Matki Boskiej... i proszę mnie informować na bieżąco, będę bardzo wdzięczny.

– Ależ oczywiście.

– A co do tej inwentaryzacji dokumentów...

Przerwał połączenie. Akurat teraz nie czuł się na siłach rozmawiać o biurokratycznych praktykach.

Nie zdążył zdjąć marynarki, gdy telefon powtórnie zadzwonił. To z pewnością był znowu Lattes, który pomyślał, że przerwało się połączenie.

Wobec tego postanowił odegrać scenę tragiczną, aby temu kretynowi przynajmniej na jakiś czas przeszła ochota zawracać mu dupę.

Podniósł słuchawkę i zawołał załamany głosem.

– Jak to?! Podczas gdy mój syn, moje dziecko, walczy o życie na szpitalnym łóżku, pan chce ze mną rozmawiać o dokumentach? Nie ma pan serca?!

Po drugiej stronie linii zapadła kompletna cisza. Może zbyt surowo potraktował tego biedaka Lattesę. Lepiej trochę załagodzić sytuację.

– Proszę wybaczyć, że podniosłem głos, ale musi pan zrozumieć mój stan ducha. Moje biedne dzieciątko...

– Co to za historia? – przerwał mu kobiecy głos, który od razu rozpoznał.

Livia!

Odniosł wrażenie, że cały świat zwała mu się na głowę.

Odwiesił słuchawkę. Czuł się zgubiony. Wyczerpany.

Livia nigdy w życiu nie uwierzy, że ta historia o dziecku to kompletna bzdura, wyssana z palca.

Nie, dopóki nie dojdzie do siebie, nie jest w stanie z nią rozmawiać. Schylił się i wyrwał wtyczkę z gniazdka.

Rozebrał się w tym samym miejscu, rzucając na ziemię ubrania, i pognął pod prysznic.

Musiał natychmiast odświeżyć ciało i umysł.

Po wyjściu spod prysznicę włączył telefon do gniazdka. Teraz już był gotów porozmawiać z Livią, nie wpadając w zły humor. Powie jej prawdę, wyjaśni wszystko jasno i zwięźle. Przekona ją. Wykręci numer.

– Livio, posłuchaj. Przysięgam ci, nie mam żadnego dziecka.

– O tym jestem przekonana – odpowiedziała Livia.

Nie oczekiwał takich słów. Ulżyło mu. Wobec tego wszystko pójdzie łatwo.

– Skąd możesz być tak pewna?

– Nie dałbyś rady ukrywać tego przede mną tak długo. Z kim sądziłeś, że rozmawiasz?

– Z Lattesem. Widzisz, już ci mówiłem, że on wbił sobie do głowy, że jestem żonaty i mam co najmniej dwójkę dzieci. Nie udało mi się go przekonać, że to nieprawda. Ponieważ prześladowe mnie nudną biurokratyczną pierdołą, wymyśliłem historyjkę o tym, że jeden z moich synów jest poważnie chory. To wszystko.

– To wszystko? – powtórzyła lodowatym głosem Livia.

– Tak.

– I nie wstydzisz się?

– O Boże, czego?

– Że wymyśliłeś ciężką chorobę dziecka, żeby...

– Ależ co ty mówisz? Sama powiedziałaś przed chwilą, że to dziecko nie istnieje!

– To nie ma znaczenia. Dla Lattesa istnieje.

– Szaleju się najadłaś?

– Nie, mój drogi. Uważam za oburzające, że znalazłeś jako wymówkę chore dziecko, aby wykręcić się od nudnych obowiązków służbowych.

– Livio, spróbuj być rozsądna. To dziecko to czysty wymysł.

– Ale świadczy o tym, jaką masz mentalność!

– To znaczy?

– To znaczy, że mogłeś wymyślić sto innych wymówek, ale nie tę! Mnie, chociaż nie jestem matką, nigdy nie przyszłoby do głowy.

Może Livia miała trochę racji. A właściwie zdecydowanie miała rację. Nie należy nigdy żartować na temat chorych dzieci, choćby były tworem wyobraźni. Nie chciał jednak przyznać się do błędu.

– Ciekawe, że to właśnie ty udzielasz lekcji moralności!

– Dlaczego? Co takiego zrobiłam?

– Nie przyjechałaś na mój pogrzeb!

Livia zaniemówiła.

– Co... co ty mówisz? Oszalałeś?

– Nie oszalałem! Śniło mi się, że umarłem, ale tobie nie chciało się ruszyć z Boccadasse.

– Przecież to był sen!

– No i co z tego? Dziecko też jest tworem wyobraźni!

– O nie! Jest zasadnicza różnica! Ty byłeś martwy i pokój twojej duszy, podczas gdy biednemu dziecku każesz cierpieć i...

– Już dobrze, dajmy spokój. Wiesz, co zrobię? Jutro zadzwonię do Lattesy i wszystko wyjaśnię.

– Rób, jak uważasz, ale zamknij tę historię z chorym dzieckiem. A jeśli ci na tym zależy, przepraszam, że nie przyjechałam na twój pogrzeb.

Następnym razem na pewno to zrobię.

W końcu oboje się zaśmiali.

– Jak się masz? – spytał Montalbano.

– Dobrze. A ty?

– Prowadzę dochodzenie, które... nawiasem mówiąc, czy znasz niejakiego Émile'a Lanneca?

– Co to ma być? Następny żart?

– Znasz go czy nie?

– Oczywiście, że tak. Razem go poznaliśmy.

– Gdzie?

– W Marinelli.

Absolutnie nie mógł sobie tego przypomnieć.

– Naprawdę? A kto to taki?

– Chodzi o... – zaczęła.

Urwała. Zaśmiała się.

– Chodzi dokładnie o kogoś takiego jak twój syn.

– Livio, daj spokój...

Ale ona odwiesiła słuchawkę. Zadzwoił, nie odpowiedziała.

Taką karę wymierzyła mu Livia za sprawę nieistniejącego dziecka. Do licha, ta kobieta nigdy nie darowała mu najmniejszego przewinienia!

Nie miał apetytu i nie zajrzał nawet do piecyka ani do lodówki. Wziął za to

butelkę whisky, szklanę, papierosy i poszedł usiąść na werandzie.

Émile Lannec.

Wrócił do środka, odnalazł paszport Francuza i siadł znowu na dworze.

Z wiz wynikało, że Lannec był trzy razy w Afryce Południowej, dwa razy w Namibii, której komisarz nawet nie umiał zlokalizować na mapie, cztery razy w Botswanie, tak samo mu nieznanej, a także odwiedził Maroko, Algierię, Tunezję, Libię, Egipt, Liban, Syrię.

Z wyjątkiem Izraela był we wszystkich krajach afrykańskich Morza Śródziemnego.

I nagle słowo Afryka Południowa przywiodło mu na myśl, że „Vanna” też tam zawinęła. Laura mu o tym powiedziała. Poczuł, jak ścisnęło mu się serce.

Laura!

Teraz była sama z Mimì. Pewnie skończyli już kolację i mógł się założyć, że Mimì skorzystał z okazji! Jakie tam rozmowy o paliwie! Augello był gorszy od Don Giovanniego! Możliwe, że już się z nią obejmował...

By odpędzić od siebie te obrazy, wychylił szklaneczkę jednym haustem.

Najlepszym sposobem było skupić się, niczym hinduski mędrzec, na problemie Lanneca.

Zdołał to zrobić nie bez trudu.

Czy mogło istnieć jakieś powiązanie między Lannekiem a „Vanną”? Jednak kiedy „Vanna” zawinęła do portu, Lannec nie żył już od jakiegoś czasu. A poza tym zjawienie się „Vanny” nie było przewidziane. A zatem? Z kim miał się spotkać? I czy to możliwe, żeby Montalbano nie pamiętał, że już go spotkał, i to właśnie w Marinelli?

Co mu powiedziała Livia?

Że Lannec to dokładnie ktoś taki jak syn, którego komisarz sobie wymyślił.

Chwileczkę, Montalbà, zatrzymaj się. Ciepło, gorąco.

Livia powiedziała mu pośrednio, że Lannec nie istnieje i jest tylko tworem wyobraźni.

Komisarza olśniło. Postać wymyślona! Bohater powieści!

Podniósł się gwałtownie i podszedł do regału. Musiało chodzić o książkę, którą czytał razem z Livią.

Niemal niezależnie od woli komisarza prawe ramię podniosło się i chwyciło niebieską okładkę *Les Pitard*, arcydzieła Georges'a Simenona. Książka podobała mu się tak bardzo, że przeczytał ją jeszcze dwa razy sam. Otworzył ją.

I oto on, bohater powieści, Émile Lannec z Rouen, właściciel i kapitan starego parowca o nazwie „Piorun z Nieba”.

Przekartkował książkę, której fabułę teraz sobie przypomniął. Opowiadała piękną historię, która nie miała nic wspólnego z prowadzonym przez komisarza śledztwem.

Nie mogło chodzić o zbieg okoliczności? Może zmarły rzeczywiście nazywał się tak jak bohater Simenona? Nie, jakie było prawdopodobieństwo takiej zbieżności? Jeden na milion?

A może to był żart Francuza, który wybrał sobie to imię, wiedząc, że nikt go nie rozpozna?

Warto było jednak zrobić jedną rzecz: sprawdzić autentyczność paszportu.

Ale czy to możliwe, żeby nikt z tych wszystkich urzędników, którzy wbijali do niego wizy, nie zauważył, że dokument jest fałszywy? No cóż, to możliwe.

Montalbano wrócił na werandę i nalał sobie jeszcze whisky.

Czy zmarły nazywał się Lannec czy Parbon, czy Lapointe, jakie to miało znaczenie dla śledztwa?

Nie, mylił się. Miało znaczenie, i to duże. Możliwe, że francuscy koledzy zdołają odkryć, kto sfalszował paszport, i ustalą prawdziwą tożsamość Lanneca. I możliwe, że chodziło o osobę im znaną i że...

Po dojściu do tego punktu Montalbano nie był już w stanie rozumować dalej. Czuł się okropnie pijany. Mówiąc dokładniej, był pijany. Wstał, zakręciło mu się w głowie, wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi balkonowe. Rzucił się na łóżko i zasnął głęboko.

I w pewnej chwili, już nad ranem, coś mu się przyśniło.

Znajdował się na tarasie nieznanego domu. Była noc, w ręce trzymał lornetkę skierowaną w stronę oświetlonego okna sypialni Mimì Augella.

Ledwie skończył nastawiać ostrość, kiedy widoczność zasłoniła mu całkowicie jakaś ciemna chmura.

Co to mogło być? Przyglądając się uważnie, odkrywał, że to wielki ptak, mewa, usadził się na antenie telewizyjnej i zasłonił mu widok.

Podczas gdy tracił już nadzieję, ptak odlatywał i znowu mógł popatrzeć w okno.

Nie widać było przez nie łóżka, ale na ścianie poruszały się dwa cienie,

mężczyzny i kobiety, splecione w miłosnym uścisku... Mimì i Laura!

Zbudził się gwałtownie.

Co ciekawe, zamiast złościć się z powodu miłosnych igraszek dwóch cieni, zaczął się zastanawiać nad innym szczegółem snu.

Tym ptakiem, który zasłonił mu widoczność.

Co to mogło znaczyć? Bo skoro tam był, to z pewnością miał jakieś znaczenie.

Komisarz wstał, otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na werandę.

Dzień zapowiadał się jak najlepiej, ani jednej chmurki, żadnego powiewu wiatru. Łódź rybaka zaprzyjaźnionego z Montalbanem kołysała się już na falach i na chwilę zasłonił ją kuter motorowy, wracający do portu. Potem, gdy kuter ją minął, pojawiła się znowu.

I właśnie wtedy komisarz zrozumiał nagle znaczenie snu.

Przypomniał sobie, jak patrzył na port przez lornetkę Lanneca.

Co zobaczył?

Pokład „Vanny”, z którego schodziło się do kokpitu. Ale gdyby nie było tam „Vanny”, co by zobaczył? Jacht motorowy, „Asa Kier”.

W dzień, w którym Lannec przyjechał do Vigaty, „Vanny” jeszcze w porcie nie było.

Czy mogło być tak, że przybył, aby spotkać się z kimś z „Asa Kier”? I że zamiast telefonować, co zawsze było ryzykowne, właśnie przez lornetkę otrzymał wskazówki co do godziny i miejsca spotkania?

Gdy tylko wybiło wpół do siódmej, Montalbano poszukał w książce

telefonicznej numeru hotelu „Bellavista” i zadzwonił.

– Czy to pan Scimè?

– Tak. Kto mówi?

– Montalbano.

– Dzień dobry, panie komisarzu, w czym mogę pomóc?

– Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale poprzednim razem zapomniałem zapytać o jedną rzecz.

– Słucham.

– Czy Lannec po przyjeździe poprosił pana o coś?

Portier nie odpowiedział od razu.

– Nie pamięta pan, czy nie...

– Widzi pan, minęło trochę czasu i... a tak, już wiem. Poprosił o pokój z widokiem na morze...

– Dokładnie tak się wyraził?

– Niech się zastanowię... chciał pokój, z którego widać port.

Bingo!

A zatem, podsumowując. Informuję Lanneca, że kiedy przyjedzie do Vigaty, ma się udać, uzbrojony w dobrą lornetkę, do hotelu „Bellavista” i wynająć pokój z widokiem na port. Na pokładzie „Asa Kier”, znając mniej więcej godzinę przybycia Francuza, stawiają kogoś na straży, także zaopatrzonego w lornetkę czy coś w tym rodzaju.

Gdy tylko Lannec pojawia się na balkonie, ci z „Asa Kier” nawiązują z nim kontakt.

W jaki sposób? Biorąc pod uwagę, jaką moc ma jego lornetka, mogliby mu po prostu wypisać instrukcje na tablicy na pokładzie!

Wyznaczają mu spotkanie przed restauracją „Złota Rybka”. Lannec jedzie najpierw taksówką w kilka innych miejsc, aby zmylić tropy, po czym przybywa na ustalone miejsce. Potem zaczyna iść, skręciwszy w prawo.

W tym punkcie rekonstrukcji wydarzeń komisarz doszedł do wniosku, że za rogiem musiał czekać samochód, żeby zawieźć Lanneca na jacht.

Czemu jechać samochodem, zamiast iść na piechotę, skoro to tak blisko?

Zapewne dlatego, że przejeżdżając obok Straży Finansowej przy północnym wejściu do portu, w samochodzie łatwiej było się ukryć, chowając twarz za gazetą albo udając, że się śpi...

Francuz wchodzi na pokład. Rozmawiają o tym, o czym mają porozmawiać, ale prawdopodobnie nie dochodzą do porozumienia. Wobec tego postanawiają go uciszyć.

A może los Lanneca był przesądzony już przed jego wyjazdem, podróż posłużyła tylko temu, by dostał się w ręce swoich katów. Oni zapraszają go na obiad i podają mu truciznę.

Ale dlaczego używać trutki na szczury?

Oczywiście, nie mogą go zastrzelić, hałas mógłby przyciągnąć czyjąś uwagę, jakiegoś rybaka czy marynarza znajdującego się akurat na nabrzeżu.

Nie byłoby logiczniej dźgnąć go nożem?

Nie, cios nożem zostawiłby wszędzie ślady krwi, które mogłyby zostać

odkryte w razie śledztwa.

Udusić go? Taki kolos jak ten, którego komisarz widział na pokładzie „Asa Kier”, mógłby to zrobić jedną ręką.

Wybór trucizny był dziwny. Trzeba się było nad nim lepiej zastanowić.

W każdym razie kiedy już nie żyje, rozbierają go do naga, masakrują mu twarz i gdzieś go ukrywają. Poranek, gdy szaleje sztorm, uznają za dobrą porę, aby pozbyć się trupa.

Włączają silniki, robią kilka rund po porcie, tymczasem nadmuchują fabrycznie nowy ponton, wkładają do niego nieboszczyka, a kiedy podpływają pod latarnię przy wschodnim molu, spuszcza go do wody, przekonani, że prąd zanieśie go na pełne morze.

Mają jednak pecha, „Vanna”, która kieruje się do portu, natyka się na ponton.

Montalbano był zadowolony z przeprowadzonej rekonstrukcji.

Przede wszystkim zaś był zadowolony, że przez ponad godzinę zdołał nie myśleć o Laurze, otwierającej oczy i uśmiechającej się do leżącego obok niej Mimì...

10

Wsiadł do samochodu i pojechał prosto do kwestury w Montelusie, nie wstępując do komisariatu.

Na jego szczęście oddział, do którego chciał pójść, znajdował się po przeciwnej stronie niż biuro kwestora, dzięki temu nie ryzykował, że natknie się na tego pierdolonego Lattesę.

Ale skoro prędzej czy później i tak będą się musieli spotkać, w jaki sposób rozwiązać sprawę raz na zawsze? Przyrzekł Livii, że powie Lattesowi prawdę, to znaczy, że nie jest żonaty ani dzieciaty, chociaż od lat ma narzeczoną. Ale czy nie tłumaczył mu tego przynajmniej pięć razy, a tamten nie przyjmował wyjaśnień do wiadomości i za każdym razem, gdy tylko się spotkali, od nowa pytał o zdrowie rodziny? Wyjaśnianie Lattesowi sytuacji po raz kolejny było stratą czasu.

Może znajdzie się jednak rozwiązanie, pomyślał Montalbano: zjawić się pewnego ranka w żałobie, z nieogoloną twarzą i zakomunikować ze łzami, że żona i dzieci zginęły w wypadku samochodowym. Otóż to, wyglądało, że inaczej nie da się wybrnąć z sytuacji.

Ale czy potem Livia nie zezłości się znowu? Nie oskarży go o wymordowanie rodziny? Warto podejmować takie ryzyko? Nie, trzeba wymyślić coś innego.

Dotarł na miejsce. Wszedł tylnymi drzwiami, wspiął się po dwóch ciągach schodów i zatrzymał przed stolikiem, przy którym siedział znany mu funkcjonariusz.

– Czy jest komisarz Geremicca?

– Tak, jest w swoim gabinecie. Może pan do niego iść.

Zapukał i wszedł.

Attilio Geremicca, niezmiernie chudy pięćdziesięciolatek, palący śmierdzące cygara (Montalbano był przekonany, że przygotowują mu specjalny tytoń zmieszany z kurzym łajnem), przez gigantyczny mikroskop ustawiony na biurku przyglądał się banknotowi o nominale pięćdziesięciu euro.

Podniósł wzrok i na widok Montalbana wyszedł mu naprzeciw, otwierając ramiona.

Uściskali się, szczerze ucieszeni, że się widzą.

Po krótkiej pogawędce Geremicca zapytał Montalbana, czy mu czegoś potrzeba. Komisarz podał mu paszport Lanneca i opowiedział całą historię.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Chciałbym wiedzieć, czy ten paszport jest autentyczny.

Geremicca przyjrzał mu się uważnie, zapalając cygaro.

Montalbano pomyślał, że nie da rady wytrzymać bez oddychania, dlatego udał, że zaczął kichać. W ten sposób podniósł chusteczkę do nosa i już ją tam zostawił.

– Nie jest łatwo stwierdzić coś na pewno – oświadczył Geremicca. – Ale jeśli nie jest autentyczny, to przynajmniej częściowo został sfałszowany przez prawdziwego mistrza. Popatrz, ile granic ten człowiek przekroczył, nie wzbudzając podejrzeń.

– Przychyłałbyś się zatem do opinii, że jest autentyczny?

– Do niczego się nie przychylam. Wiesz, ilu ludzi posługuje się fałszywymi paszportami? Dziesiątki! A ten Lannec...

– Jeśli chodzi o imię, to chciałem ci powiedzieć coś, co może ma znaczenie.

– Tak?

– Odkryłem, że Émile Lannec, urodzony w Rouen, ma to samo imię i to samo miejsce urodzenia, co bohater powieści Simenona. Może to ci się przydać?

– Nie wiem. Słuchaj, mogę zatrzymać paszport na kilka dni?

– Ale nie na długo. Tydzień wystarczy?

– Tak.

– Co chcesz zrobić?

– Porozmawiać z moim francuskim kolegą, który jest specjalistą od tych spraw.

– Wyślesz mu go?

– Nie ma takiej potrzeby.

– Ale w jaki sposób twój kolega zorientuje się, czy papier, pieczętki...

Geremicca uśmiechnął się.

– Paszport to nie banknot! Fałszerze paszportów zwykle pracują na autentycznych dokumentach, ukradzionych komuś lub przemyconych z jakiegoś biura jeszcze w stanie fabrycznym. Dlatego powiedziałem przed chwilą, że wydaje mi się to dziełem prawdziwego mistrza, ale tylko

częściowo. A jeśli mój francuski kolega będzie potrzebował dodatkowych wyjaśnień, zawsze jest internet. Nie martw się, powiedziałem, że wystarczy mi tydzień, i to w najgorszym wypadku.

Pierwszą rzeczą, jaką Montalbano zrobił po przyjeździe do komisariatu, było wezwanie Fazia.

– Karabinierzy oddali Chaikriego?

– Tak, panie komisarzu. Jest tutaj.

Montalbano już miał mu powiedzieć, żeby mu go przyprowadził do biura, kiedy zadzwonił telefon.

– Poczekaj chwilę – powiedział, podnosząc słuchawkę.

– Oj, panie komisarzu. Bo tu by był pan prokurator Gommaseo na telefonie i tenże z panem...

– Dobrze. Przełącz.

– Montalbano?

– Tak, słucham pana.

– Chciałem pana uprzedzić, że wczoraj po południu odwiedziła mnie, ogromnie zirytowana, pani Giovannini, właścicielka „Vanny”... bardzo atrakcyjna... kobieta, kojarzy pan?

– Tak, kojarzę.

– Jestem przekonany, że to domina.

Montalbano nie zrozumiał.

– Jakie domina?

– Dominatrix, mój drogi! Z pewnością w prywatnym życiu używa pejczy, skórzanych spodni, butów na wysokim obcasie, traktuje partnera jak zwierzę, a może nawet zakłada mu uprząż i jeździ na nim...

Komisarzowi zachciało się śmiać, ale zdołał się powstrzymać. Słowa prokuratora sprawiły, że przez moment wyobraził sobie nagiego Mimi, wyciągniętego na podłodze niczym dywanik i stojącą nad nim Livię Giovannini, która nakłada mu uprząż... Ach, te seksualne fantazje Tommasea, który chyba nigdy nie miał okazji zakosztować seksu w realnym życiu. Teraz też, gdy wyobrażał sobie Giovannini jako dominę, pewnie miał wytrzeszczone oczy, trzęsły mu się ręce i śliniły usta.

– W każdym razie, jak już mówiłem, przyszła do mnie wczoraj, twierdząc, że przekraczamy swoje kompetencje i nadużywamy władzy, trzymając jej łódź bez końca w porcie, że oni nie mają nic wspólnego z morderstwem, po prostu wyłowili zwłoki z morza... I rzeczywiście...

– I jakie są pana konkluzje?

– No cóż, chciałem pana uprzedzić, że przychyliam się do udzielenia im zgody na odpłynięcie, kiedy będą chcieli.

– Ja bym nie był...

– Niech pan pamięta, że nie mamy żadnych konkretnych powodów, żeby ich dalej zatrzymywać. I zresztą po co? Jestem przekonany, że ani ona, ani nikt z załogi nie mieli nic wspólnego z przestępstwem. Jeśli pan uważa inaczej, proszę mi to powiedzieć, ale chcę usłyszeć, jakie pan ma ku temu motywy. No więc?

Jako że Tommaseo nic nie wiedział o rzekomej Vannie i o podejrzaniach, jakie wzbudziła co do jachtu, stanowisko prokuratora było jak najbardziej

uzasadnione.

Komisarz jednak nie mógł pozwolić, aby jacht mu się wymknął.

– Może mi pan dać jeszcze dwa dni?

– Niech będzie jeden dzień. Na więcej nie mogę się zgodzić. Ale proszę mi wyjaśnić, skąd to żądanie.

– Mogę zająć do pana pojutrze?

– Będę czekać.

Musiał się zadowolić jednym dniem. Odwiesił słuchawkę i powiedział Faziowi, żeby przyprowadził Chaikriego.

Tylko jeden dzień. Ale jeśli Mimì się postara, może zdoła zatrzymać panią Giovannini na cały tydzień.

Ahmed Chaikri miał dwadzieścia osiem lat i trudno się było domyślić, że to Maghrebczyk, bo wyglądał jak typowy sycylijski marynarz. Robił wrażenie doświadczonego, miał inteligentne spojrzenie i wrodzoną elegancję.

Montalbano od razu poczuł do niego sympatię.

– Zostań tu i siadaj – powiedział komisarz do stojącego z tyłu Fazia. – Pan też może usiąść, panie Chaikri.

– Dziękuję – odpowiedział grzecznie Maghrebczyk.

Montalbano otworzył usta, ale zanim coś powiedział, tamten go uprzedził.

– Przede wszystkim chciałbym szczerze przeprosić obecnego tu oficera za to, że go uderzyłem. Bardzo proszę o wybaczenie. Niestety wino ma na mnie...

Mówił doskonałą włoszczyzną.

– Sycylijskie – przerwał mu Montalbano.

Chaikri popatrzył na niego zdziwiony.

– Nie rozumiem.

– Mówiłem, że to zapewne wino sycylijskie, ale może i greckie wywołują taki skutek.

– Nie, tak naprawdę...

– Proszę posłuchać, panie Chaikri, nie chce mi pan chyba wmówić, że wino z... no nie wiem, Alexanderbaai w Afryce Południowej, żeby wymienić pierwsze miasto, jakie przychodzi mi do głowy, tak łatwo wprawia pana w stan upojenia alkoholowego.

Chaikri patrzył na niego oszołomiony.

– Ale ja nie...

– Przytoczę panu przykład, który to lepiej wyjaśni. Wino pite w Alexanderbaai nie zmusza pana do szukania zaczepki z karabinierami czy lokalną policją. Czy nie tak?

Słowa Montalbana wywarły podwójny efekt.

Fazio od razu nastawił uszu, bo zrozumiał, że komisarz nie mówi ot tak sobie, ale ma swój cel. Natomiast Chaikri najpierw najwyraźniej podskoczył ze zdziwienia, a potem zmusił się do przyjęcia nierozumiejącego wyrazu twarzy.

– Dobrze, może pan odejść – uciął Montalbano.

Tym razem Chaikri naprawdę się zdumiał.

– Nie wysuwa pan przeciwko mnie oskarżenia?

– Nie.

– Przecież sprowokowałem, a potem uderzyłem policjanta...

– Tym razem darujemy panu. Zresztą oskarżyli już pana karabinierzy, prawda?

– Tak.

– I został pan przesłuchany w jednostce, prawda?

– Tak.

Montalbano poczuł wewnętrzne drżenie. Doszedł do punktu, w którym musiał powiedzieć decydujące zdanie, które pozwoli mu zrozumieć, czy pomylił się na całej linii, czy domyślił się prawdy.

– Jeśli ją pan zobaczy, a jestem pewien, że tak, albo że przynajmniej będzie się pan z nią słyszeć, proszę przekazać pozdrowienia ode mnie.

Chaikri zbladł, poruszył się na krześle.

– Kogo powinienem...

– Panią... przepraszam, osobę, która pana, że tak powiem, przesłuchiwała.

Na czole Chaikriego pojawiły się krople potu.

– Nie... nie rozumiem.

– To nie ma znaczenia. Żegnam pana.

A potem, zwróciwszy się do Fazia:

– Wypuść go na wolność.

Naturalnie, gdy tylko Chaikri opuścił komisariat, Fazio rzucił się do gabinetu Montalbana.

– Może mi pan wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi?

– Po odbyciu rozmowy z porucznikiem Sferlazzą doszedłem do wniosku, że to Chaikri informuje rzekomą Vannę o tym, co dzieje się na pokładzie jachtu. To na pewno on uprzedził ją, że musieli zmienić trasę z powodu sztormu i że kierują się do Vigaty.

– Jak to zrobił?

– Czy ja wiem? Może przez komórkę satelitarną. Vanna ruszyła mu na spotkanie. Tylko że ponton z nieboszczykiem pokrzyżował im plany. Wtedy Chaikri dał się aresztować karabinierom, wyjawiał, kim jest, i od razu skontaktowali go z Vanną, która w końcu wczoraj wieczorem mogła z nim porozmawiać.

– A po co wdał się w bójkę także ze mną?

– Bo to inteligentny chłopak. Chciał przekonać swoich kolegów, że sycylijskie wino uderza mu do głowy i kończy się zawsze zwadą z przedstawicielami władzy, czy to z karabinierami, czy nie.

– To kim jest ta Vanna?

– Sferlazza wspominał o antyterrorystce, ale myślę, że mnie nabrał. Z całą pewnością coś jest nie w porządku z tym jachtem i Vanna się tym zajmuje. I wiesz co?

– Tak?

– Moim zdaniem, ci z „Asa Kier” maczali palce w tej historii z nieboszczykiem.

Fazio usiadł.

– Proszę mi wszystko opowiedzieć.

– Co możemy zrobić? – spytał Fazio, gdy wysłuchał całej historii.

– O „Vannie” sporo już wiemy, ale o „Asie Kier” zupełnie nic. Powinniśmy jak najszybciej zebrać jakieś informacje.

– Mogę się tym zająć.

– Dobrze, ale musisz mieć jakiś punkt zaczepienia. Idź do kapitanatu i porozmawiaj z porucznik Belladonną, kobietą. Niech ci powie wszystko, co wiedzą o „Asie Kier”. Ruszaj od razu, im mniej czasu stracimy, tym lepiej.

Nie czuł się na siłach pójść tam osobiście. Nie był w stanie spotkać się z Laurą przede wszystkim dlatego, że z pewnością spędziła noc z Mimì.

– A jeśli mnie zapyta, po co nam te informacje?

– Myślę, że możesz rozmówić się z nią otwarcie. Wyjaśnij, że podejrzewamy, że morderstwo popełniono na pokładzie jachtu.

Było w pół do pierwszej, gdy zadzwonił telefon na bezpośredniej linii. To był Mimì Augello.

– Załatwione.

– W jakim sensie?

– W takim, w jakim chcieliśmy. Laura zaprowadziła mnie na pokład i od razu sobie poszła, ja opowiedziałem bajkę o paliwie i poprosiłem o nalanie mi go do kanistra. Giovannini nie odeszła ode mnie nawet na chwilę. Zresztą

jestem przekonany, że naprawę zna się na silnikach.

– Skąd dzwonicz?

– Z nabrzeża. Zszedłem, żeby włożyć kanister do samochodu, ale muszę wrócić na pokład, bo zostałem uprzejmie zaproszony na obiad. Właścicielka wzięła mnie na celownik i nie chce wypuścić.

– Jak masz zamiar się zachować?

– Na obiedzie będzie także kapitan, ale mam nadzieję, że uda mi się zaprosić ją na kolację dzisiaj wieczorem. Myślę, że się zgodzi, pożera mnie wzrokiem jak wygłodniały tygrys.

– Posłuchaj, Giovannini poszła do Tommasea poskarżyć się, bo jej zdaniem bezprawnie przetrzymujemy jacht w porcie. Tommaseo chciał jej dać od razu pozwolenie na odpłynięcie, ale ubłagałem go o dzień zwłoki. Dlatego mamy mało czasu, rozumiesz?

– Doskonale.

Dzień był piękny, niebo błękitne, jak gdyby ktoś w nocy pomalował je świeżą farbą, ale Montalbana, gdy tylko wsiadł do samochodu, aby pojechać na obiad do restauracji u Enza, ogarnęła nagle głęboka melancholia, która sprawiła, że cały świat wydał mu się szary jak w chmurny zimowy dzień.

Także apetyt, który i tak mu jakoś nie dopisywał, całkiem mu przeszedł. Nie, nie miało sensu jechać do restauracji, lepiej wrócić do Marinelli, odłączyć telefon, rozebrać się, położyć do łóżka i przykryć kocem razem z głową, tak aby zapomnieć o całym świecie. Ale jeśli Fazio będzie miał mu do zakomunikowania coś ważnego?

Wysiadł, poszedł do Catarelli.

– Gdyby mnie ktoś szukał, będę w domu. Wrócę do komisariatu koło czwartej.

Wsiadł znowu do samochodu i odjechał.

Naturalnie, mimo iż owinął się prześcieradłami jak mumia, sen nie nadchodził.

Nie było potrzeby pytać o powód tej nagłej melancholii. Znał go dokładnie i miał konkretne imię: Laura. Być może nadeszła chwila, aby zastanowić się nad sprawą racjonalnie, o ile w ogóle był do tego zdolny.

Laura spodobała mu się od pierwszej chwili. Doświadczył wzruszenia, jakiegoś głębokiego poruszenia, które zdarzyło mu się odczuwać tylko w czasach młodości.

To jednak zapewne nie było coś, co przytrafiło się tylko jemu. Prawdopodobnie przydarzało się wielu mężczyznom po pięćdziesiątce. O co chodziło? O desperacką i daremną próbę pocucia się znowu młodym, jak gdyby można było dzięki temu wymazać ciężące na barkach lata.

I właśnie dlatego nie potrafił myśleć jasno, zrozumieć, czy to było uczucie prawdziwe czy pozorne, zrodzone właśnie ze złudzenia, że można odwrócić bieg czasu. Czy nie przydarzyła mu się taka sama historia z ognistą amazonką? Nie miał możliwości wyjaśnienia sobie spraw z Laurą. Pozwolili się ponieść biernie prądowi, który on sam stworzył, kiedy zdarzyło się niespodziewane.

To znaczy, kiedy Laura powiedziała mu, że w niej też zbudziło się uczucie

do niego. I jak zareagował?

Był zarazem przestraszony i szczęśliwy.

Shczęśliwy, bo dziewczyna go kocha, czy też dlatego, że zdołał rozkochać ją w sobie?

A to zasadnicza różnica.

Czy nie przestraszył się konsekwencji, co oznaczało, że intensywność tego uczucia była płytka i zostawiała mu możliwość racjonalnego myślenia?

W miłości rozum albo podaje się do dymisji, albo wycofuje w jakiś daleki kąt. Jeśli może jeszcze istnieć, być obecny, zmuszać do rozważenia negatywnych stron związku, to znaczy, że nie chodzi o prawdziwą miłość.

A może sprawy nie wyglądały dokładnie tak.

Być może przestach zrodził się z bardzo konkretnego uczucia, jakie wzbudziły w nim słowa Laury, że nie zdoła stanąć na wysokości zadania. Że nie ma już dość sił, aby sprostać gwałtowności prawdziwego uczucia.

I ta ostatnia refleksja, być może trafniejsza od wszystkich innych, nasunęła mu podejrzenie.

Kiedy przyszło mu do głowy, żeby posłużyć się Laurą i zapoznać Mimì z właścicielką jachtu, czy nie kierowała nim przypadkiem inna, nieujawniona motywacja?

Odważysz się powiedzieć to otwarcie, Montalbà?

Nie wiedziałeś, że poznając Laurę z Mimì, ryzykujesz, że sprawy przyjmą inny obrót? Nie liczyłeś się z tym? A może spróbuj być ze sobą szczerzy i przyznaj, że doskonale zdawałeś sobie z tego sprawę. Nie żywiłeś po cichu nadziei, że Laura skończy w łóżku Mimì? Nie wepchnąłeś jej praktycznie w

jego objęcia?

Na to ostatnie pytanie nie umiał sobie udzielić odpowiedzi.

Poleżał jeszcze z pół godziny, po czym wstał.

W rezultacie jednak melancholijny nastrój, zamiast mu przejść, jeszcze się pogłębił i przerodził w fatalny humor. Czarny jak zachód słońca, mawiał Vittorio Alfieri.

11

– Oj, panie komisarzu! Bo pan doktor Pasquano telefonił i on pana szukał, bo z panem osobiście we własnej osobie rozmawiać...

– Powiedział, że zadzwoni jeszcze?

– ...pragnął. Nie, panie komisarzu. Inną on mi rzecz powiedział.

– To znaczy?

– Żeby pan komisarz telefonił, bo on jest w instytucji.

– Gdzie jest?

– No, w instytucji medycyny sądowej.

– Catarè, w instytucie! W instytucie medycyny sądowej, a nie sądowej!

– A co to za różnica, ważne, że pan się i tak wyrozumował, o co chodzi.

– Zadzwonź do instytutu i kiedy doktor odbierze, przełącz go.

Telefon zadzwonił po jakichś dziesięciu minutach.

– Panie doktorze, co się stało?

– Dziwi się pan?

– Pewnie. Telefony od pana to taka rzadkość, że chyba powinniśmy się jutro spodziewać trzęsienia ziemi.

– Żarty się pana trzymają! No cóż, ponieważ góra nie przysła do Mahometa, Mahomet przychodzi do góry.

– Panie doktorze, ale w tym konkretnym przypadku góra nie miała żadnego powodu, aby udawać się do Mahometa.

– To prawda. Dlatego też to ja tym razem zmuszony jestem zawracać panu dupę.

– Ależ proszę bardzo, z przyjemnością pozwolę panu na ten mały rewanż, w ten sposób wyrównamy rachunki.

– O nie, mój drogi! Niech pan nie będzie taki sprytny! I tak jest pan moim dłużnikiem! Nie może pan uważać, że jeden mój telefon wyrównuje niezliczone i uporczywe zawracanie dupy, jakie muszę znosić z pana strony...

– No dobrze, już dobrze. Niech mnie pan nie trzyma na rozżarzonych węglach.

– No i widzi pan, że starość nadchodzi? Kiedyś pan nie znosił wyrażen frazeologicznych, a teraz sam ich pan używa. W każdym razie, piszę raport z sekcji nieboszczyka znalezionego w pontonie.

– A właśnie, przy okazji chciałem pana poinformować, kim jest zmarły. Znalazłem jego paszport, w którym jest napisane, że nazywa się Émile Lannec, jest Francuzem, urodził się...

– Wie pan, gównno mnie to obchodzi.

– Co?

– Jak się nazywa, że jest Francuzem... Dla mnie to po prostu zwłoki. Chciałem pana poinformować, że przeprowadziłem drugą sekcję, bo coś mnie nie przekonywało.

– To znaczy?

– Zauważyłem, że chociaż zmasakrowano mu twarz, niektóre blizny... no cóż, przerobił ją sobie.

– Co takiego?!

– Pana okrzyk wyraża zdumienie czy też chce pan wiedzieć, co sobie przerobił?

– Panie doktorze, zrozumiałem doskonale, że przerobił sobie twarz.

– To dobrze. Widzi pan, że mózg jeszcze panu pracuje?

– Jest pan pewien, że poddał się zabiegowi?

– W stu procentach. I nie chodziło o małe korekty, ale o całkowitą przemianę fizjonomii.

– Wobec tego, dlaczego...

– Proszę posłuchać, mnie pana „dlaczego” nie interesują. To nie ja mam panu udzielać odpowiedzi, tylko pan sam ma je znaleźć. Chyba że z powodu zaawansowanego wieku pana szare komórki uległy tak daleko idącej...

– Wie pan, co panu powiem?

– Niech pan sobie oszczędzi. Odgadłem w lot pana intencje i proszę mi wierzyć, odwzajemniam pana życzenia z całego serca.

Po przemyśleniu sprawy nie wydało mu się, aby informacja uzyskana od doktora Pasquana wносиła jakąś zasadniczą różnicę.

Jakie to miało znaczenie, czy twarz Francuza była tą, którą dostał od matki natury, czy też sztuczną, sfabrykowaną przez chirurgię plastyczną?

Ten, kto go zamordował, chciał mieć pewność, że nieboszczyk nie zostanie od razu zidentyfikowany. Dlaczego?

Zastanawiał się już nad tym problemem, ale może warto było do niego wrócić.

Z całą pewnością dlatego, że mordercy, przeszukując ubranie Lanneca po dokonaniu zabójstwa, zorientowali się, że nie ma w kieszeni paszportu. Wobec tego doszli słusznie do wniosku, że musiał go zostawić w hotelu, i w rezultacie, gdyby twarz zmarłego pokazano w telewizji albo w prasie, ci z hotelu łatwo...

Chwileczkę!

Poszukał w książce telefonicznej numeru hotelu „Bellavista” i zadzwonił.

Odpowiedział mu nieznany głos, zapewne portiera z dziennej zmiany.

– Mówi komisarz Montalbano.

– Słucham pana.

– Czy jest pan Toscano?

– Zadzwonił, że dzisiaj nie przyjdzie. Znajdzie go pan w magazynie meblowym.

– Może mi pan podać numer?

Kiedy go otrzymał, zadzwonił.

– Pan Toscano? Tu komisarz Montalbano.

– Dzień dobry, panie komisarzu.

– Chciałem panu zadać pytanie, które jest dla mnie bardzo ważne.

– Jestem do pana dyspozycji.

– Proszę posłuchać uważnie. Czy w noc, kiedy przyjechał Lannec, w hotelu miało miejsce jakieś dziwne zdarzenie?

Toscano milczał chwilę, po czym powiedział:

– No cóż, tak. Teraz, kiedy o tym myślę... Ale chodziło o rzecz, która... która nie...

– Proszę mi powiedzieć.

– Widzi pan, hotel znajduje się nieco na uboczu. Trzy miesiące po inauguracji, pewnej nocy, w pełni sezonu, włamali się do niego złodzieje, którzy obrabowali sejf z pieniędzmi i kosztownościami zostawionymi w depozycie przez klientów.

– Nie było na miejscu nocnego portiera?

– Oczywiście, że był. Ale widzi pan, to była trzecia nad ranem, spokojna godzina, wszyscy goście wrócili już do hotelu i Scimè wyciągnął się na łożku polowym w pokoiku przy recepcji... Widocznie uspił go jakimś narkotykiem, obudził się dwie godziny później z potwornym bólem głowy...

Jakim cudem komisarz nic o tym nie słyszał?

– Zgłosiliście kradzież?

– Oczywiście. Karabinierom.

– I co ustalili?

– Ponieważ poza wyłamanym sejfem nie było żadnych śladów włamania, karabinierzy doszli do wniosku, że złodzieje musieli mieć wspólnika wśród gości hotelu. To on uspił portiera gazem w sprayu i otworzył drzwi wspólnikom. Na szczęście nic więcej nie ukradli. Dobrze, że byliśmy ubezpieczeni!

– A tej drugiej nocy co się stało?

– Widzi pan, po tamtym włamaniu zatrudniliśmy nocnego strażnika, który co pół godziny robi obchód hotelu. Tej nocy, o której mówimy, strażnik

ujrzał samochód stojący ze zgaszonymi światłami na tyłach hotelu. Gdy tylko się zbliżył, samochód szybko odjechał. Ale ponieważ tym razem nic się nie stało, nie uznaliśmy za konieczne... Sądzi pan, że to miało coś wspólnego z morderstwem?

Montalbano nie miał najmniejszego zamiaru powiedzieć mu, że między tymi dwoma faktami istniał bardzo ścisły związek.

– Nie, skądże. Ale, widzi pan, w śledztwie wszystko jest wodą na młyn.

Cholera, Pasquano miał rację! Im bardziej się starzał, tym częściej używał utartych zwrotów.

A zatem, wracając do tematu, ktoś z „Asa Kier” próbował odzyskać paszport Lanneca, ale mu się to nie udało. Jak tylko zobaczyli nocnego strażnika, dali nogę. Niebezpieczeństwo, że zostaną rozpoznani, było zbyt duże.

Gdyby zidentyfikowano ich jako ludzi z jachtu motorowego, śledztwo w sprawie morderstwa na pewno skierowałoby się w ich stronę. Nie chcieli tego ryzykować.

Ich rozumowanie było prawidłowe: paszport stanowił jedyną rzecz, która mogła doprowadzić do zidentyfikowania nieboszczyka. Gdyby udało się wykraść dokument, zmarły być może na zawsze pozostałby nieznany. Ponieważ kradzież się nie powiodła, musieli się zadowolić zmasakrowaniem twarzy ofiary.

Czy to możliwe, że twarz po operacji plastycznej była bardziej znana niż ta prawdziwa?

Montalbano zdecydował, że porucznik Geremicca powinien się jak

najszybciej dowiedzieć o liftingu twarzy, jaki zafundował sobie zmarły.

Podnosił już słuchawkę, kiedy wszedł Fazio.

– Rozmawiałem z porucznikiem.

Montalbana przeszył dreszcz zazdrości.

Fazio zobaczył się z Laurą, stał obok niej, wdychał jej zapach, rozmawiał z nią...

– Czego się dowiedziałeś?

Usłyszał, że ma zachrypnięty głos.

– Przeziębził się pan? – spytał Fazio.

– Nic takiego, mam wysuszone gardło. Opowiedz mi wszystko.

– Po pierwsze, dowiedziałem się, że ten „As Kier” należy do włosko-francuskiej spółki, która...

– To oczywiste, wiadomo, że nie zostanie zarejestrowany jako jacht prywatny, bo trzeba by płacić wyższe podatki. Czym się zajmuje ta spółka?

– Importem i eksportem.

– Czego?

– Wszystkiego po trosze.

– A po co im potrzebny taki smok jak ten jacht motorowy?

– Porucznik wyjaśnił, że ta spółka działa na terenie całego Morza Śródziemnego, od Maroka i Algierii do Syrii, Turcji, Grecji...

Te same miejsca, które odwiedził Francuz.

– Powiedział mi też, że jacht zawija do Vigaty nie pierwszy raz. Zwykle

jednak zostaje tu jeden dzień, najwyżej dwa. Tym razem zostali dłużej, bo musieli czekać, aż przyjedzie specjalista, bo jeden z silników nawala.

– Nie lepiej by im było kupić sobie samolot?

– Co ja mogę panu powiedzieć? Taka ich zachcianka.

– Poprzedniego dnia widziałem na jachcie kolosa, który zegnał się z właścicielką „Vanny” i kapitanem.

– To jest dyrektor spółki, nazywa się Matteo Zigami, ma metr dziewięćdziesiąt jeden wzrostu.

– Ile osób jest na jachcie?

– Pięć. Zigami, jego sekretarz, który nazywa się François Petit, i trzech członków załogi. A spółka nazywa się Smie.

– Co to znaczy?

– Spółka morska importu i eksportu. Zdaniem porucznika Garrufa...

– Nie rozmawiałeś z porucznik Belladonna?

– Nie, proszę pana.

– Nie było jej?

– Nie. Sierżant, który siedzi w portierni kapitanatu, powiedział mi, że porucznik Belladonna spędziła noc... – Jak to? Jak to możliwe, że nawet w kapitanacie wiedzieli o tym, że ona i Mimì... Boże, co za wstyd! – ...w porcie, bo do brzegu przybił statek z setką nielegalnych imigrantów i musiała zostać na służbie do późna.

A zatem nie była w domu Mimì! Nawet nie postawiła tam stopy!

W głowie komisarza nagle rozkołysała się para dzwoneczków, które

zaczęły wybijać radosną melodię. Nie, to nie były tylko dzwonki, ale cała orkiestra smyczkowa. Montalbano widział, jak Fazio otwiera i zamyka usta, ale nie był w stanie usłyszeć słów. Za duży hałas.

Wstał gwałtownie z krzesła.

– Fazio, doskonale się spisałeś!

Fazio pozwolił się objąć, kompletnie ogłupiały, zastanawiając się, czy komisarz niespodziewanie nie postradał zmysłów.

Potem, kiedy Montalbano wreszcie go puścił, odważył się zapytać nieśmiało:

– To co robimy?

– Potem porozmawiamy, potem!

Wychodząc, Fazio usłyszał, że komisarz zaczął podśpiewywać. I w taki też sposób, omal nie podśpiewując, Montalbano poinformował Geremiccę o operacji plastycznej, jakiej poddał się zmarły.

Nagle komisarz poczuł wilczy apetyt.

Popatrzył na zegarek, zrobiło się już wpół do dziewiątej. Skrzypce skończyły grać, dzwonki trochę się przyciszyły.

Wstał, wyszedł z gabinetu, przeszedł koło dyżurki Catarelli krokiem lunatyka. Catarella się przeraził.

– Czy pan się dobrze czuje, panie komisarzu?

– Dobrze, dobrze.

Martwili się o jego zdrowie? Ależ on w tej chwili czuł się znowu jak

młodzieniaszek. Dwudziestolatek. No, nie przesadzajmy, może czterdziestolatek.

Wsiadł do samochodu i pojechał do Marinelli. Gdy tylko wszedł do domu, rzucił się do lodówki. Nic, zupełnie pusta, z wyjątkiem oliwek i małego talerzyka anchois. Pobiegł zajrzeć do piecyka. Również pusty. Dopiero wtedy zobaczył bilecik na stole w kuchni.

Nie czuję się dobrze bo mni boli głowa, to nie mogę gotować i wracam się do domu. przepraszam adelina.

Nie, nie da rady spędzić nocy o pustym żołądku.

Nie zdoła zmrużyć oka. Jedynym wyjściem było wsiąść z powrotem do samochodu i pojechać zjeść u Enza.

– Adelina zastrajkowała? – zapytał Enzo na widok komisarza.

– Źle się czuła i nie mogła nic przygotować. Co mi podasz?

– Co pan sobie zażyczy.

Zaczął od przystawki z owoców morza. Ponieważ smażone ośmiorniczki były wyjątkowo chrupiące, kazał sobie przynieść drugą porcję. Potem uraczył się kopiastym talerzem spaghetti z atramentem z mątwy, a na koniec wziął podwójną porcję barwen i dorad.

Kiedy wyszedł, uznał za niezbędne odbycie nocnej przechadzki do latarni. Nie zatoczył koła, aby przejść obok dwóch jachtów. Molo było puste. Były do niego przycumowane dwa parowce, ale nie paliło się na nich żadne

światło. Szedł powoli, krok za krokiem.

Tego wieczoru czuł się spokojny, pogodzony ze światem. Morze oddychało powoli.

Usiadł na swoim ulubionym płaskim głazie, zapalił papierosa.

I doszedł do smutnego wniosku, że o ile jako policjant może spisywał się całkiem dobrze, o tyle jako mężczyzna był kretynem.

Bo gdy szedł w kierunku latarni, myślał tylko o Laurze i o tym, jak zareagował na wiadomość, że nie mogła pójść do domu Mimì.

Jego zadowolenie rozwiało się w jednej chwili, gdy przyszła mu do głowy zdradziecka myśl: Montalbà, jakie ty właściwie masz wyobrażenie o tej dziewczynie? Byłeś tak przekonany, że ona, ta sama osoba, która wieczór wcześniej nie chciała z tobą zostać, przestraszona rodzącym się w niej uczuciem, następnego dnia rzuci się w ramiona Mimì! I rozpaczalesz z tego powodu!

Jak mogłeś być tego tak pewny? Nie upoważniło cię do takich wniosków uczciwe i lojalne zachowanie Laury wobec ciebie.

A zatem? To twoje przekonanie nie zrodziło się tylko z uprzedzenia wobec Laury, ale wobec natury kobiecej?

Z cichego przekonania, że w sumie kobietom wystarczy byle co, aby je skłonić do powiedzenia „tak”? Czy przypadkiem w duchu nie oceniasz ich podobnie? Co jest kolosalną głupotą, zrodzoną w umyśle kogoś, kto nic nie wie o kobietach? Potrzebny ci dowód? Opowiedz Laurze, że myślałeś, że pójdzie z Mimì do łóżka, i zobaczymy, jak zareaguje. W najlepszym razie da ci po gębie i zażąda przeprosin.

– Lauro, proszę cię o wybaczenie – powiedział głośno.

I przyrzekł samemu sobie, że następnego ranka zadzwoni do niej.

Po wypaleniu kolejnego papierosa wstał i ruszył z powrotem. Kiedy był w połowie mola, usłyszał hałas motorówki wpływającej do portu. Obrócił się, żeby popatrzeć.

Reflektor skutera motorowego Straży Pogranicza skierowany był na łódź, którą miała na holu. Tłoczyło się na niej ze trzydziestu nielegalnych imigrantów, wycieńczonych głodem i zimnem.

Zobaczył, że także na zachodnim pirsie, tam gdzie wysadzano na ogół imigrantów, włączono dwa mocne reflektory. Musieli już tam czekać koledzy z policji, autobus, karetki, samochody i tłum ciekawskich.

Zdarzyło mu się przypadkiem raz trafić w sam środek wyprowadzania na ląd tych biedaków i od tamtej pory postanowił nigdy już nie brać w tym udziału. Na szczęście jego komisariat nie był wciągnięty w tę sprawę, zajmowała się nią bezpośrednio kwestura w Montelusie.

Komisarz był w stanie znieść obraz ich oczu wytrzeszczonych ze strachu po tym wszystkim, co przeszli, i z niepewności przed czekającym ich losem, umiał wytrzymać widok wychudzonych ciał, z trudem trzymających się na nogach, drżących dłoni, niemych łez, postarzałych w jednej chwili twarzy dzieci...

Tym, czego nie mógł znieść, był smród. A może ten smród istniał tylko w jego wyobraźni. Jednak wyimaginowany czy nie, ten odór przeszywał mu serce i sprawiał, że ugięły się pod nim kolana.

Nie chodziło o smród brudu, nie, to było coś zupełnie innego. Od imigrantów dochodził odwieczny, przyjęty z głową pochyloną ku ziemi, niezmienny odór rozpacz, rezygnacji, doświadczonych nieszczęść i przemocy.

Tak, to zapach wyrażał cierpienie znieważonego świata, jak powiedział w jednej ze swoich książek Elio Vittorini.

A jednak tym razem, wbrew własnej woli, Montalbano skierował swoje kroki ku zachodniemu pirsowi.

Kiedy tam dotarł, kuter właśnie zacumował. Komisarz zatrzymał się w pewnym oddaleniu i przysiadł na słupku.

Miał wrażenie, że ogląda film niemy w połowie. Osoby zajmujące się przejęciem imigrantów wiedziały, co mają robić, nie było potrzeby wydawania i otrzymywania poleceń. Słyszał tylko odgłosy: trzaskanie drzwiczek, kroki, sygnał karetek, włączane silniki.

I jak zwykle ekipy telewizyjne filmujące bezużyteczny materiał, bo wystarczyłoby sięgnąć do archiwum i wyciągnąć nagranie sprzed miesiąca, a wszystko wyglądałoby zawsze tak samo i nikt by się nie spostrzegł.

Począł, aż zgasną reflektory i zapadnie ciemność, która wydała mu się jeszcze bardziej nieprzenikniona. Potem wstał, obrócił się plecami do trzech czy czterech cieni, które o czymś rozmawiały, i poszedł w kierunku samochodu.

Nagle usłyszał za sobą wyraźnie odgłos kroków kogoś biegnącego za nim.

Zatrzymał się i odwrócił.

To była Laura.

Nie wiedząc nawet jak, znaleźli się w uścisku.

Ona trzymała twarz wtuloną w jego pierś. Montalbano czuł, że cała drży. Nie byli w stanie wydobyć z siebie słowa.

Potem Laura uwolniła się z jego objęć, odwróciła się i ruszyła biegiem, aż pochłonął ją mrok.

12

Pierwszą rzeczą, jaką komisarz zrobił po powrocie do Marinelli, było odłączenie telefonu. Gdyby zadzwoniła Livia, nie byłby w stanie zamienić z nią słowa, każda sylaba niosłaby piekący wyrzut sumienia i być może wstyd, że zmuszony jest kłamać.

– Co robiłeś dzisiaj?

– To co zawsze.

– Wiem, ale opowiedz mi.

I musiałby zacząć opowiadać kłamstwo, jedno po drugim, brnąć w nie coraz głębiej. I przemilczenia, półsłówka... Nie, w jego wieku już się do tego nie nadawał.

Musiał zastanowić się spokojnie, z jak największą jasnością umysłu, nad cudowną rzeczą, która mu się przydarzyła, i podjąć jasną i stanowczą decyzję. A jeśli zdecydowałby się przeżyć ten cud, tę łaskę losu, która zarazem uszczęśliwiała go i napełniała przerażeniem, jego obowiązkiem było powiedzieć o tym bezzwłocznie Livii, nie przez telefon, ale osobiście.

Na razie jednak nie był w stanie rozumować, był za bardzo podekscytowany i miał mętlik w głowie. Jeśli wcześniej grały mu skrzypce i dzwonki, to po tym, co zdarzyło się na nabrzeżu, muzyka ucichła, słyszał tylko, jak krew płynie mu w żyłach wartko niczym górski strumień. Serce biło mocno i szybko. Musiał jakoś wyładować całą tę energię, która z każdą chwilą stawała się bardziej nieposkromiona.

Rozebrał się, włożył slipki kąpielowe, zszedł na plażę, a gdy dotarł nad

sam brzeg, gdzie piasek był ubity, zaczął biec przed siebie.

Gdy wrócił do domu, zegarek wskazywał, że jest po wpół do pierwszej.

Biegał przez dwie godziny, nie zatrzymując się ani na chwilę, i bolały go nogi.

Wszedł pod prysznic, stał pod nim długo, a potem poszedł spać.

Wyczerpany biegiem i uczuciem szczęścia.

Bo kiedy jest ono naprawdę ogromne, może nam podciąć nogi dokładnie tak samo jak wielkie cierpienie.

Obudził się, mając wrażenie, że wiatr łomocze okiennicą w sypialni. Ale skąd wzięła się nagle taka gwałtowna wichura?

Otworzył oczy, włączył światło i stwierdził, że okiennica jest zamknięta.

To skąd ten hałas? Potem usłyszał dźwięk dzwonka przy wejściu. Dzwoniono i łomotano do drzwi. Popatrzył na zegarek, było dziesięć po trzeciej. Wstał i poszedł otworzyć.

To Fazio narobił całego tego rabanu.

– Panie komisarzu, proszę mi wybaczyć, dzwoniłem, ale nikt nie odpowiadał, widocznie ma pan wyłączony telefon.

– Co się stało?

– Znaleźli martwego Chaikriego.

Poniekąd spodziewał się czegoś takiego.

– Poczekaj, niech się ubiorę.

Zrobił to w mgnieniu oka, już po pięciu minutach siedział obok Fazia, który prowadził służbowy samochód.

– Powiedz mi, jak umarł.

– Panie komisarzu, ja nic nie wiem. Zadzwoił do mnie Catarella. Ponieważ mówił o jakimś Cracchim, z dziesięć minut mi zajęło, zanim domyśliłem się, że chodzi o Maghrebczyka. Wtedy, nie tracąc czasu, po próbach dodzwonienia się do pana, przyjechałem prosto do Marinelli.

– Wiesz przynajmniej, dokąd musimy jechać?

– Oczywiście. Na molo. Tam, gdzie cumuje „Vanna”.

Na nabrzeżu, tuż przed trapem jachtu, stali porucznik Garrufo, jakiś marynarz z kapitanatu i kapitan Sperli. Uścisnęli sobie ręce.

– Co się stało? – spytał Montalbano Garrufa.

– Może lepiej, jeśli kapitan to opowie – odpowiedział porucznik.

– Byłem w swojej kabinie – zaczął Sperli – i miałem się już położyć, kiedy wydało mi się, że słyszę krzyk.

– Która to była godzina?

– Piętnaście po drugiej, odruchowo popatrzyłem na zegarek.

– Skąd doszedł ten krzyk?

– W tym właśnie problem. Wydało mi się, że pochodził z kabin załogi. Jak pan widzi, znajdują się one z tej strony, bliżej nabrzeża.

– I tylko tyle? Sam krzyk, żadnego innego hałasu?

– Tylko to. Był to krzyk urwany w połowie, jak gdyby gwałtownie

zdławiony.

– Co pan zrobił?

– Wyszedłem z kabiny i sprawdziłem pomieszczenia załogi. Alvarez, Ricca i Digiulio spali głęboko, ale koja Chaikriego była pusta.

– Wobec tego?

– Wobec tego powiedziałem sobie, że być może krzyk dobiegł z nabrzeża. Wyszedłem na pokład z włączoną latarką, ale na ile mogłem zobaczyć w świetle latarni, nabrzeże było zupełnie puste. Oparłem się o tę barierkę, tę koło trapu, i przypadkowo skierowałem latarkę w dół. W ten sposób, zupełnym przypadkiem, zobaczyłem go.

– Proszę i mnie pokazać.

– Może go pan zobaczyć stąd, nie ma potrzeby wchodzić na pokład.

Podszedł nad samą krawędź nabrzeża i oświetlił wąską, liczącą może pięćdziesiąt centymetrów szparę między burtą jachtu a nabrzeżem. Montalbano i Fazio schylili się, żeby popatrzeć.

Tkwiło tam ludzkie ciało, wciśnięte pionowo głową w dół, z absurdalnie rozkraczonymi nogami, sterczącymi do góry.

Montalbano zapytał spontanicznie kapitana:

– Ale skąd pan wiedział, że to właśnie Chaikri?

Sperlì nawet się nie zawahał.

– Poznałem po kolorze spodni. Często je wkładał.

Były tak intensywnie żółte, że wydawały się fosforyzujące.

– Powiadomił pan panią Giovannini?

Tym razem kapitan nie zdołał ukryć krótkiej chwili wahania.

– Hm... nie.

– Nie ma jej na jachcie?

– Tak, ale... śpi. Nie chciałem jej przeszkadzać. Zresztą na co by się to przydało?

– A załodze pan powiedział?

– Widzi pan, minie trochę czasu, zanim kac im przejdzie. Wczoraj musieli nieźle popić. Tylko narobiliby zamieszania.

– Może ma pan rację. Nie sądzę, aby mogli nam dużo powiedzieć. Pana zdaniem, jak potoczyły się wypadki?

– A jak się miały potoczyć? Biedny Ahmed, z pewnością pijany w sztok, źle postawił nogę i wpadł do wody, gdzie zaklinował się głową w dół. Musiał się utopić.

Montalbano nie skomentował.

– Co robimy? – spytał komisarza porucznik.

– Jeśli sprawy potoczyły się tak, jak przypuszcza kapitan, ta historia nie dotyczy mnie, ale pana. Chodzi o nieszczęśliwy wypadek, który zdarzył się na terenie portu. Zgadza się pan?

– Tak – powiedział niechętnie porucznik.

Tym razem on miał spędzić noc na służbie. Co do pani Giovannini, mogła zapomnieć o szybkim odpłynięciu z portu.

Fazio, odwożąc komisarza do Marinelli, zapytał:

– Naprawdę sądzi pan, że to był wypadek?

Montalbano odpowiedział pytaniem:

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego kapitan uważał za konieczne wziąć ze sobą latarkę, gdy wychodził sprawdzić, czy na nabrzeżu kogoś nie ma? Nabrzeże jest oświetlone, prawda?

– Oczywiście. To po co ją wziął?

– Żeby wcisnąć nam kit o przypadkowym odkryciu zwłok. Bez latarki nie mógłby zobaczyć trupa.

– Zatem nie uważa pan, że to był wypadek?

– Jestem tego pewien.

Fazio zgłupiał.

– Wobec tego, dlaczego...

– Bo tak będzie lepiej, wierz mi. Niech on sobie myśli, że przełknęliśmy jego bajeczkę. Zwłoki i tak muszą być odesłane na sekcję do doktora Pasquana. A ja do niego jutro rano zatelefonuję.

Kiedy rozebrał się znowu, była już prawie piąta. Ale i tak sen nie nadchodził.

Zaparzył kawę, wypił i usiadł przy stole w kuchni z kartką i długopisem.

Zaczął się zastanawiać, w jaki sposób mordercy odkryli, że biedny Maghrebczyk był wśród nich rodzajem piątej kolumny. Może zrobił coś nieostrożnego. Jak na przykład to, że dał się dwa razy z rzędu aresztować.

Podczas gdy tak rozmyślał, jego ręka kreśliła bazgroły na kartce.

Kiedy popatrzył na papier, zorientował się, że próbował naszkicować portret Laury.

Ponieważ nie miał jednak talentu do rysowania, portret wyglądał, jakby stworzył go nieudolny naśladowca Picassa w stanie kompletnego upojenia alkoholowego.

O szóstej pomimo wypitej kawy ogarnęła go senność, której nie potrafił się oprzeć. Poszedł do łóżka, przespał trzy godziny, zbudziły go hałasy w kuchni.

– Adelina?

– Zbudził się pan? To ja przyniosę kawę.

Pijąc, zapytał:

– Jak się czujesz? Przeszedł ci ból głowy?

– Tak, proszę pana.

Błogosławiony ból głowy Adeliny! Gdyby nie to, że gospoia nie przygotowała mu nic do jedzenia, nie poszedłby zjeść u Enza, nie odbyłby spaceru na molo i nie spotkałby Laury.

Wyszedł z domu o dziesiątej. Gdy tylko znalazł się w komisariacie, zadzwonił do Pasquana.

– Pan doktor pracuje i nie chce...

– Proszę posłuchać, mogę prosić o przekazanie mu wiadomości?

– Naturalnie.

– Proszę mu powiedzieć, że góra potrzebuje Mahometa.

Telefonista zgłupiał.

– Ależ... ależ...

Komisarz zakończył rozmowę. Zaraz potem stawił się Mimì Augello.

Wyglądał na wyczerpanego.

– Ciężka noc, co, Mimì? – spytał ironicznie Montalbano.

– Daj spokój.

– To znaczy, że nie wyszło?

– W pewnym sensie...

– Odmówiła ci?

– No skądże!

– To opowiadaj!

– Poczekaj, zanim zacznę mówić, muszę wypić ze dwie kawy. Powiedziałem Catarelli, żeby je przyniósł.

– I może jeszcze kogel-mogel, żebyś się wzmocnił. Wydajesz mi się bardzo wycieńczony.

Augello nie odpowiedział. Siedział w milczeniu, czekając na Catarellę.

Tak jak obiecał, zaczął opowiadać zaraz po wypiciu kawy.

– Jak ci już chyba wspomniałem przez telefon, wczoraj wieczorem zabrałem Livię na kolację.

Montalbano, który w tym samym momencie myślał o Laurze, podskoczył na krześle.

– Livię?

– Salvo, zapomniałeś, że Giovannini tak ma na imię? To nie była twoja Livia, uspokój się. No więc, zabrałem ją do restauracji w Montelusie. Zjadła ze smakiem i wypila półtorej butelki wina. Jest przewidziany zwrot kosztów?

– Nie dostałeś już zwrotu w naturze? Mów dalej.

– No cóż, w drodze powrotnej przejęła inicjatywę.

– Jak?

– Słuchaj, wolałbym sobie oszczędzić opowiadania szczegółów.

– Powiedz tylko, jak to się zaczęło. Co powiedziała?

– Powiedziała? Nie otworzyła ust!

– To co zrobiła?

– Może po pięciu minutach, od kiedy wsiedliśmy do samochodu, położyła mi rękę tam, gdzie się możesz domyślić.

Ależ romantyczka z tej pani Giovannini!

– Potem zapytała, gdzie mam zamiar ją zawieźć. Odpowiedziałem, że jeśli ma ochotę, możemy pojechać do mnie, ale ona stwierdziła, że wygodniej czuje się we własnej kabinie.

– Która to była godzina?

– Nie popatrzyłem na zegarek, ale musiało być po północy. Weszliśmy na jacht i gdy tylko znaleźliśmy się pod pokładem, natknęliśmy się na kapitana...

– Przecież Sperli jest podobno kochankiem Giovannini! Wściekł się? Zachmurzył? Co powiedział?

– Nic podobnego. Grzecznie życzył nam dobrej nocy i poszedł na mostek.

– Może są kochankami na takiej zasadzie, że Giovannini się nim zadowala, kiedy nie ma nikogo innego pod ręką.

– Możliwe. W każdym razie nie zrobił żadnej sceny. Kiedy weszliśmy do kabiny, Livia od razu się rozebrała i...

– Możesz mi wyświadczyć grzeczność, Mimi?

– Jasne.

– Nie nazywaj jej Livią.

– Dlaczego?

– Robi mi się nieswojo.

– Dobrze. No cóż, ruszyła od razu do dzieła i okazała się nienasycona. Uwierz mi, to nie kobieta, ale elektryczna maszynka do mięsa, która pracuje na najwyższych obrotach. Może dlatego kapitan, kiedy mnie z nią zobaczył, tylko się uśmiechnął. Oszczędziłem mu ciężkiej harówki. Na szczęście potem, koło wpół do trzeciej, usłyszeliśmy, że stało się coś poważnego.

– Jak to, na szczęście?

– Bo na chwilę dała sobie spokój.

– Jednym słowem, *mors tua vita mea*.

– Przykro mi, Salvo, ale tak właśnie przedstawiała się sytuacja.

– Masz na myśli krzyk.

– Jaki krzyk? Nie było żadnego krzyku.

– To co usłyszałeś?

– Zadzwonił kapitan i powiedział podniesionym głosem, że zdarzyło się nieszczęście.

– A potem...

– Wtedy Liv... to znaczy Giovannini wstała, narzuciła na siebie szlafrok i wyszła z kabiny. Kiedy wróciła, powiedziała mi, że to nic poważnego, jeden z członków załogi upił się i wpadł do wody, ale go wyłowiono.

– Wiesz, że tak naprawdę ten człowiek zginął?

– Jasne, potem się dowiedziałem, ale ona tak to przedstawiła.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Bo chciała się dalej zabawiać. Przestraszyła się, że jeśli się dowiem, że ten człowiek nie tylko zginął, ale w dodatku był zaklinowany przy burcie kilka metrów od nas, przejdzie mi ochota.

– Kiedy udało ci się zejść z jachtu?

– Dzisiaj rano o szóstej trzydzieści, jak zabrali nieboszczyka. Poszedłem do domu, przespałem się chwilę i przyszedłem tutaj. Teraz jednak wracam do łóżka, bo dzisiaj wieczorem Liv... Giovannini zażyczyła sobie drugiej rundy.

– Udało ci się skorzystać z jakiejś krótkiej przerwy, żeby z nią porozmawiać?

– Tak. W pewnej chwili zapytała, ile zarabiam, więc podałem kwotę trochę wyższą od tej, którą nam płaci państwo.

– Skomentowała?

– Nie. Chciała wiedzieć, czy mam żonę i dzieci. Odpowiedziałem, że nie. Dobrze, że nie pojechaliśmy do mnie do domu! Od razu zauważyłaby zabawki małego.

– Normalne pytania, tak mi się zdaje.

– Tak, ale doszedłem do przekonania, że mają jakiś cel, i wobec tego powiedziałem, że nie jestem zadowolony z pracy, że gdybym mógł ją zmienić, byłbym wdzięczny temu, kto by mi w tym pomógł... jednym słowem, dałem jej do zrozumienia, że jestem do dyspozycji.

– Słuchaj, jak się spisałeś?

– Bez fałszywej skromności myślę, że stanąłem na wysokości zadania.

– Nie mam na myśli pokazu twojej jurności, w którą nie wątpię, tylko fakt, że nie miałeś okazji powtórzyć z porucznik Belladonną informacji o paliwach.

– A, powiedzieli ci? Ale powtórkę i tak zrobiliśmy. Bardzo szybko, nie było czasu.

Poczułby się mniej ogłuszony, gdyby drewniana belka spadła mu na głowę.

– Kie... kiedy? Gdzie... jak?

– Biedaczka! Spędziła całą noc na służbie i jeszcze potem zadzwoniła do mnie o szóstej rano.

– I przy... przyszła do... ciebie?

– Salvo, co się z tobą dzieje? Zacząłeś się jękać? Nie, pojechałem do niej do kapitanatu.

Din-don din-don din-don.

– Kochany Mimì! Mój najdroższy! – zawołał komisarz, zrywając się z krzesła i chwytając Augella w objęcia. – Teraz idź się położyć i zbieraj siły na następną noc!

Fazio, który właśnie wchodził, osłupiał.

Co się stało komisarzowi, że nagle zaczął wszystkich ścisnąć?

– Czego chcesz? – spytał Montalbano, gdy Augello już wyszedł.

– Przyszedłem przypomnieć panu o telefonie do doktora Pasquana.

– Już dzwoniłem. Co ty sobie wyobrażasz, że jestem taki stary, że mam sklerozę?

– Ale co też pan mówi? Ja nie...

– Zobacz, co potrafię jeszcze zrobić.

I wskoczył na złączonych nogach na biurko.

– Hop!

Fazio popatrzył na niego wybałuszonymi oczami. Nie ulegało wątpliwości, że komisarz potrzebuje jak najszybciej odwiedzić jakiegoś dobrego lekarza.

– Oj, panie komisarzu! Bo by było, że byłby doktor Pasquano, który...

– Przełącz.

– Panie komisarzu, tu nie działają telefony, jest jakaś usterka na linii.

– Przepraszam, to skąd pan dzwoni?

– Dzwonię z pierdolonej komórki. Jednak nie znajduję przyjemności w rozmawianiu przez te wynalazki. Czego chce pan od Mahometa?

– Przywieźli panu marynarza, który spadł...

– Zrobiłem sekcję dzisiaj wczesnym rankiem.

– Może mi pan o niej opowiedzieć?

– Nie przez komórkę. Niech pan przyjedzie za pół godziny, czekam.

13

W połowie drogi z Vigaty do Montelusy na szosie stały dwie wielkie ciężarówki, każda jadąca w przeciwnym kierunku, dlatego też dwa pasy ruchu, i tak dość wąskie, były całkowicie zablokowane. Przepisnąć się mogły tylko motocykle.

Kierowcy musieli być starymi przyjaciółmi, którzy od dawna się nie widzieli, bo wysiedli ze swoich ciężarówek i gawędzili w najlepsze, waląc się przyjacielsko po ramionach i gwizdząc na zablokowany ruch na szosie. Za komisarzem, który zatrzymał się tuż za ciężarówką jadącą do Montelusy, uformował się długi sznur trąbiących samochodów.

W innej sytuacji Montalbano prawdopodobnie także zacząłby naciskać na klakson i rzucać grubymi słowami albo wyskoczyłby z samochodu, żeby zrobić dziką awanturę. Teraz jednak siedział sobie spokojnie i czekał z błogim uśmiechem na ustach, aż kierowcy skończą pogwarki i wrócą do samochodów.

Din-don din-don.

A jak to możliwe, że doktor Pasquano był w dobrym humorze?

Przywitał się z komisarzem i usadził go w swoim gabinecie, nie rzuciwszy ani jednym przekleństwem czy obelgą, jak to miał w zwyczaju. Z pewnością poprzedniego wieczoru musiał wygrać w pokera.

Ale czy doktor był naprawdę w dobrym humorze, czy tylko Montalbanowi tak się wydawało, bo w tej chwili widział cały świat jak przez słodką różową szybkę?

– Zatem chce pan wiedzieć coś o tym marynarzu. Dlaczego?

– Jak to dlaczego? To moja praca.

– Nie przechodzi panu ochota na starość?

Nie odpowiedział na tę pierwszą prowokację, trzeba się uzbroić w cierpliwość i udawać, że nie rozumiał, bo tylko pogorszyłby sprawę.

– Powie mi pan, co o tym sądzi?

– Na pozór zwykły wypadek.

– O nie, panie doktorze! Proszę się ze mną nie bawić w kotka i myszkę. Pan nie ma mówić „na pozór”, tylko dać mi pewniki.

– Dlaczego?

– Bo myślę, że to, co pan robi, nie opiera się na hipotezach, poszlakach, przypuszczeniach, jednym słowem na rzeczach nieokreślonych...

– Takie ma pan o nas wyobrażenie? Nie wie pan, że nie ma na tym świecie nic bardziej nieuchwytnego niż człowiek? I że może my także opieramy się na hipotezach? Uważa pan nas za papieży, którzy mają dar nieomyślności?

– Panie doktorze, nie przyszedłem tu dyskutować o medycynie. Jeśli nie może mi pan dać pewników, proszę o umotywowane przypuszczenia.

Pasquano wyglądał na przekonanego.

– Zacznę od pytania. Czy pan w tej sprawie widzi coś podejrzanego?

– Szczerze mówiąc, tak.

– Wie pan, że kiedy ktoś się topi, na ogół w jego płucach znajduje się dużo wody?

– Wiem. Ale u nieboszczyka jej nie było.

- Kto to panu powiedział? Oczywiście, że była.
- Wobec tego przyczyną śmierci było utopienie.
- Dlaczego ma pan ten okropny zwyczaj, żeby przeskakiwać do konkluzji? Starość nie nauczyła pana odrobiny rozsądku i ostrożności?
- Ta gadanina o starości zaczęła komisarza wkurzać.
- Panie doktorze, no to miał wodę w płucach czy nie?
- Niech się pan nie wścieka, bo zamknę usta i nic już nie powiem. Miał, ale za mało, aby to mogła być śmierć przez utopienie.
- Wobec tego jak umarł?
- Od potężnego ciosu w potylicę, który zabił go na miejscu. Żelaznym drągiem. Odpowiada.
- Odpowiada czemu?
- Rodzajowi haka, który wystawał z nabrzeża mniej więcej pół metra nad wodą. Nie zauważył go pan?
- Panie doktorze, kiedy ja go widziałem, hak był zasłonięty przez ciało.
- No to może wyjaśnię to lepiej. Ten nieszczęśnik, kompletnie pijany, bo wlał w siebie wiadro alkoholu, źle postawił stopę, wpadł w ciasną szparę między nabrzeżem a burzą, uderzył głową o hak i umarł.
- Panie doktorze, nic już z tego nie rozumiem.
- Naturalnie, biorąc pod uwagę...
- Zabił go hak czy uderzenie?
- Fakt, że pan nie rozumie, jest naturalnie wynikiem demencji starczej, a nie braku jasności w moim wywodzie. Tłumaczę panu, że byli bardzo

sprytni. Chcieli nam wmówić, że się zabił, bo uderzył głową o hak. Tyle tylko, że hak jest pozieleniały od alg. A wokół rany nie było nawet śladu alg.

– A jak wyjaśni pan wodę?

– Środek ostrożności.

– Nie rozumiem.

– Widzi pan, jak z panem kiepsko? Dlaczego nie przejdzie pan na emeryturę? Nie chce się pan pogodzić z myślą, że już nadszedł na to czas? Moim zdaniem, sprawy potoczyły się następująco. Mordercy, bo było ich co najmniej dwóch, zaczajają się na niego i przytrzymują mu głowę pod wodą, żeby go podtopić...

– Ale przecież nabrzeże jest zbyt wysoko nad poziomem wody!

– A kto mówi, że tam go zabili?

– No to gdzie?

– No przecież na pokładzie! Zabierają go na pokład, wsadzają mu głowę do miednicy czy innego naczynia wypełnionego morską wodą, czekają, aż nabierze wody w płuca, potem wyciągają go, już prawie uduszonego, zadają mu śmiertelny cios w potylicę, przenoszą go w odpowiednie miejsce i zrzucają z nabrzeża.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego mówił pan o środku ostrożności.

– No i widzi pan, że stan pańskiego mózgu jest bardzo niepokojący? Żeby stworzyć wrażenie, że był jeszcze żywy po uderzeniu w głowę, w ciągu tych kilku chwil, zanim skończył pod wodą.

Nie było nic do dodania. Także dlatego, że Montalbano nie miał już siły znosić dalszych prowokacji doktora.

– Dziękuję, panie doktorze. Przepraszam, czy powiadomił pan już kwesturę o wynikach sekcji?

– Oczywiście. Spełniłem swój obowiązek, gdy tylko zakończyłem pracę.

Jeśli doktor Pasquano rozumował słusznie, a wszystko na to wskazywało, to morderstwo, z całym zamieszaniem związanym z wsadzeniem Chaikriemu głowy do miednicy, nie mogło być popełnione na pokładzie jachtu.

Mimo iż Mimì Augello zajęty był uprawianiem gimnastyki sportowej z panią Giovannini, mógłby coś usłyszeć. Nie, zbyt duże ryzyko.

Być może początkowo mieli zamiar dokonać mordu na jachcie, ale kiedy Giovannini zjawiała się tam razem z Mimì, musieli zmienić plany.

Dlatego kiedy kapitan Sperli, który czeka na powrót Chaikriego, widzi przybycie Augella, musi pobiec co tchu do tych z „Asa Kier”, żeby uprzedzić ich o komplikacjach.

Bo nie ma innego wyjaśnienia: jeśli mordu nie dokonano na pokładzie „Vanny”, musiał mieć miejsce na jachcie motorowym.

Na pewno nie na nabrzeżu, tam odbył się tylko ostatni akt, to znaczy przeniesienie zwłok i wrzucenie ich do wody.

I tutaj pojawiał się fakt zasadniczy dla prowadzonego śledztwa, a mianowicie, że między „Vanną” a „Asem Kier” musiało istnieć pokrewieństwo dusz czy też powinowactwo z wyboru. A wyrażając się mniej literacko, ich załogi musiały mieć jakieś wspólne interesy, na tyle brudne, że nie cofnięto się przed morderstwem.

Jeśli jednak tak się rzeczy miały, to pojawiała się nieoczekiwana konkluzja, a mianowicie, że Giovannini nic nie wiedziała o planowanym

morderstwie. W przeciwnym razie nie zabrałaby Mimì do swojej kabiny, tylko pojechałaby do niego.

A zatem Giovannini była niewinna?

Chwileczkę, Montalbà. Pamiętaj, co ci powiedział doktor Pasquano, i nie wyciągaj pochopnie wniosków.

W istocie z faktu, że Giovannini sprowadziła Mimì na jacht, można było wysnuć zupełnie odmienną konkluzję. Kiedy jedzą kolację w Montelusie, kobiecie przychodzi do głowy, że może sobie zapewnić żelazne alibi, zabawiając się z nieznanym, w czasie gdy ma miejsce morderstwo...

Nie, coś tu nie pasuje.

Nie pasuje, bo alibi byłoby jeszcze lepsze, gdyby pojechała do domu Mimì.

No więc?

Może Giovannini nie zgadzała się, aby zabić Maghrebczyka na pokładzie swojego jachtu. Nie sprzeciwiała się samemu morderstwu, ale nie chciała być w nie wplątana. Zaproszenie na kolację od Mimì dało jej ku temu świetną okazję.

Sprowadzając go do swojej kabiny, zmusiła wszystkich, aby zachowali się inaczej, niż przewidywał plan.

Mimì twierdzi, że spotkanie z kapitanem w kokpicie było przypadkowe. To nic nie znaczy; gdyby Giovannini się na niego nie natknęła, poszłaby go poszukać pod jakimkolwiek pretekstem i uprzedzić, że ma u siebie w kajucie obcego mężczyznę.

Wszedł do gabinetu, zamknął drzwi na klucz i zadzwonił z bezpośredniej linii do Laury.

Gdy wykrecał numer, serce biło mu tak mocno, jakby zaraz miał dostać zawału. Czy to możliwe, aby w jego wieku zachowywał się jak nastolatek przeżywający swoją pierwszą miłość?

– Cześć, jak się masz? – zapytał z wyschniętym gardłem.

– Dobrze, a ty?

– Ja też. Chciałem ci powiedzieć...

Cholera! Przygotował sobie bardzo dobrą przemowę, ale gdy tylko usłyszał jej głos, zupełnie się zagubił.

– Tak?

– Idę właśnie na obiad, nie mogłabyś...

Zaciął się, nie był w stanie mówić dalej. Ona przyszła mu z pomocą.

– Pójść z tobą? Bardzo by mi było miło, ale nie mogę się stąd ruszyć. Mam trochę pracy. Moglibyśmy...

– Tak?

– ...zobaczyć się dzisiaj wieczorem, jeśli masz ochotę.

– Oczywiście, że tak. Gdzie?

– Przyjadę do ciebie do domu i potem zdecydujemy.

Jak to możliwe, że teraz się już nie wahała? Że teraz... Nie, żadnych pytań. Będzie się radował dzwonekami. Din-don din-don...

U Enza obżarł się nieprzyzwoicie.

Najwyraźniej miłość pobudzała mu apetyt. W związku z tym spacer na molo stał się kwestią życia lub śmierci.

Poszedł dłuższą trasą i kiedy znalazł się koło „Vanny”, zorientował się z przerażeniem, że „As Kier” nie jest już przycumowany do brzegu, że go nie ma i nie widać go nigdzie w całym basenie portowym.

Teraz naprawdę ryzykował, że dostanie zawału.

Matko Boska! Odpłynęli, a jemu nie przyszło nawet do głowy, że przecież mogli robić, co chcieli, bo do tej chwili oficjalnie nie mieli nic wspólnego z morderstwem.

Popędził na komisariat, przebiegł koło Catarelli, zdumionego widokiem zdyszanego komisarza, i krzyknął do niego: – Połącz mnie natychmiast z porucznik Belladonną w kapitanacie!

– Ale to nie jest porucznik, panie komisarzu.

– A kto?

– Kobieta.

Nie miał czasu sprzeczać się z Catarellą i poszedł do siebie. Gdy tylko usiadł, telefon zadzwonił.

– Co się dzieje, Salvo?

Jej głos jak zwykle go oszołomił. Zebrał się jednak w sobie i znalazł siłę, aby się odezwać: – Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale to ważne. O ile ci wiadomo, „As Kier” odpłynął z Vigaty?

– Nie mamy takiej informacji.

- Nie stoi zacumowany przy nabrzeżu.
- Nie ma go, bo sprawdzają silniki. Prawdopodobnie robią próbną rundę na otwartym morzu.

Odetchnął z ulgą.

- Gdyby chcieli odpłynąć, mają obowiązek was poinformować?
- Oczywiście. Ale dlaczego cię...
- Potem ci to wyjaśnię. Do zobaczenia wieczorem.

Tuż po czwartej zadzwonił Augello.

- Muszę z tobą pilnie porozmawiać.
- To przyjdź.
- Do biura? Nie ma mowy! Nie chcę, żeby ktoś mnie zobaczył, jak wchodzę lub wychodzę z komisariatu.
- Masz rację.
- To jak zrobimy?
- Może być za pół godziny w Marinelli?
- Dobrze.

Wychodząc, komisarz powiedział Catarelli:

- Nie będzie mnie z godzinę. Gdyby telefonowała porucznik Belladonna, powiedz jej, żeby zadzwoniła do mnie na komórkę. Mogę być spokojny?
- Spokojny najspokojniej, panie komisarzu.

Tak więc gdyby Laura zadzwoniła z powodu jakiejś niespodziewanej

komplikacji, będzie wiedziała, jak się z nim skontaktować.

Mimì zjawił się punktualnie.

– Byłem na obiedzie z Liv... z Giovannini.

– Gdzie?

– To jest pierwsza nowość. Umówiliśmy się, że zobaczymy się dziś wieczorem, żeby pójść na kolację, tymczasem zadzwoniła z propozycją, żebym przyszedł na jacht na obiad. Byłem jeszcze śpiący, potrzebowałem odpocząć dłużej...

– Odpoczynek wojownika – skomentował Montalbano.

Mimì nie miał ochoty na żarty.

– Ale co mogłem zrobić?

– Nic, przyjęć zaproszenie.

– No właśnie. I tu druga niespodzianka: kapitan Sperlì jadł z nami.

– Dziwne.

– Nie tak bardzo. Poczekaj. Zrozumiałem, że właścicielka chce mi złożyć oficjalną propozycję i dlatego jest obecny kapitan.

– W jakim charakterze?

– Bo ja wiem? Świadka, współnika, kto się tam domyśli?

– A ta propozycja?

– Powiedziała, że myślała długo o tym, co jej mówiłem o swoim niezadowoleniu z obecnej pracy, i może znalazła rozwiązanie. Tylko

najpierw muszę dodać coś, o czym rano zapomniałem ci wspomnieć.

– To znaczy?

– Że kiedy ona mnie zapytała, ile zarabiam, podałem jej kwotę, ale dałem też do zrozumienia, że trochę sobie dorabiam.

– Jak?

– Manipulując wskaźnikiem dystrybutora paliwa.

– Rozumiem. Dałeś jej do zrozumienia, że nie masz oporów przed niezupełnie legalnymi metodami zarobku.

– Otóż to. No więc ona zaproponowała mi, żebym się zajął zarządzaniem jej interesami.

– To znaczy, że jest skłonna oddać swoje interesy w ręce kogoś, kto przyznał się, że jest nieuczciwy. Interesujące. A co to za interesy?

– Nie wyjawiała szczegółów. Powiedziała, że zdradzi mi więcej, jeśli zgodzę się na jej propozycję. Była jednak pewna rzecz, którą od razu dała mi do zrozumienia. Że mam dwadzieścia cztery godziny na decyzję. Ona chce odpłynąć najdalej za trzy dni, zaraz po pogrzebie Chaikriego.

– Cholera!

– I dodała jeszcze coś. Że ta praca oznacza praktycznie przeprowadzkę za granicę.

– Dokąd?

– Do Afryki Południowej.

– Do miasta o nazwie Alexanderbaai?

Augello się zdziwił.

- Jak powiedziałeś?
- Na razie dajmy spokój. Jaka płacę ci zaproponowała?
- Powiedziała, że miesięczne zarobki przewyższą wszelkie moje oczekiwania.
- Co przez cały ten czas robił kapitan Sperli?
- Siedział niemy jak ryba. Co mam zrobić?
- Dzisiaj masz w planach drugą rundę?
- Tak, niestety.
- Posłuchaj, powiedz, że się zgadzasz.
- Dlaczego?
- Bo w ten sposób ona się poczuje pewniejsza. Spróbuj wybadać, co to są za interesy w Afryce Południowej i na czym ma polegać twoja praca. A jak się skończyła sprawa z paliwem?
- Powiedziałem jej, że są przeprowadzane analizy i jutro dam jej znać.
- Mimì, muszę ci zadać pytanie na temat nocy, którą spędziłeś z Giovannini.
- Już ci mówiłem, że nie chcę się zagłębiać w detale.
- Nie interesują mnie szczegóły miłosne. Mówiłeś, że zrozumiałeś, że coś się stało, bo usłyszałeś, jak dzwonił Sperli. Czy tak?
- Tak jest.
- A wcześniej? Nie słyszałeś jakiegoś hałasu, jęku, odgłosu ciała wleczzonego po pokładzie?

– Absolutnie nie.

– Jesteś pewny? Może byłeś za bardzo zajęty i...

– Salvo, ściany w kabinie są cienkie jak z papieru! Masz pojęcie? Musiałem cały czas zatykać Liv... Giovannini usta dłonią, żeby nie usłyszała jej całej załoga!

Kiedy Montalbano został sam, nie miał ochoty wracać do komisariatu.

– Catarella? Zostanę w Marinelli. Gdyby były jakieś ważne telefony, na przykład od porucznik Belladonna, powiedz, żeby zadzwoniono do Marinelli. Zrozumiałeś?

– Najdokładniej na świecie, panie komisarzu!

Zauważył, że podłoga na werandzie jest brudna. Adelina, która utrzymywała w domu idealną czystość, uważała werandę za strefę eksterytorialną i nie zajmowała się nią. Komisarz uznał, że tak być nie może, zwłaszcza że zaraz miała się zjawić Laura. Wziął ze schowka miotłę, zamiótł, a potem przetał na mokro podłogę, aż płytki zaczęły się świecić.

Otworzył lodówkę. Sałatka z owoców morza. Zajrzał do piecyka. Makaron z brokułami, barweny w sosie. Niech Laura zdecyduje, czy zjedzą w domu, czy gdzieś pójdą.

Poszedł wziąć gorący prysznic, żeby trochę się uspokoić. Zmienił bieliznę i ubranie.

Wybrał książkę, usiadł na werandzie i zaczął czytać. Nie był jednak w stanie nic zrozumieć, bo przy każdej linijce nie pamiętał już, co przeczytał w poprzedniej.

Zgodnie z oczekiwaniami, telefon zadzwonił za piętnaście ósma.

– Lauro, to o której przyjedziesz?

– Mówi Bonetti-Alderighi – powiedział kwestor takim tonem, jakim tylko on umiał przemawiać.

14

Komisarz poczuł, że zamiera mu serce.

Nie było zmiłowania; jeśli pan kwestor zawracał mu dupę w domu i o takiej godzinie, musiało chodzić o jakąś poważną sprawę, która zabierze dużo czasu, i w rezultacie będzie musiał odwołać spotkanie z Laurą.

Nieskalany lazur nieba nagle zaciągnął się burzowymi chmurami. Montalbano był zgubiony.

– Halo, jest pan tam? Dlaczego pan nie odpowiada?

– Jestem, panie kwestorze.

– Zadzwońłem do komisariatu.

Znacząca pauza.

– Tak?

– Powiedziano mi, że wyszedł pan stamtąd dużo wcześniej!

Położył nacisk na ostatnią część zdania.

Zarzucał komisarzowi, że zaniedbuje swoje obowiązki, że opuszcza się w pracy, że jest darmozjadem?

– Panie kwestorze, nie jestem obibokiem!

– Nie dzwonię w tej sprawie.

To musiało być coś naprawdę poważnego. Lepiej nie wszczynać kłótni i zachować ostrożność.

– Słucham pana.

– Muszę się z panem natychmiast zobaczyć!

O kurwa! Trzeba zyskać na czasie.

– Gdzie?

– A co to za pytanie? Tutaj, u mnie!

– W kwesturze?

– A gdzie? W barze?

– Teraz?

– Teraz!

Ale przecież zaraz miała przyjechać Laura!

Niech kwestor sobie nie wyobraża, że on natychmiast wsiądzie do samochodu, żeby pojechać do Montelusy! Nawet w łańcuchach go tam nie zawłoką!

Przyjął przepaszający ton.

– Proszę mi wierzyć, nie mogę.

– Dlaczego?

Musiał wymyślić jakiś powód, który nie pozwoliłby mu się ruszyć z domu. Zdał się na improwizację.

– Widzi pan, wracając do domu, poślizgnąłem się i skręciłem sobie...

– Co nie przeszkadza panu zobaczyć się z niejaką Laurą! – uciął ironicznie Bonetti-Alderighi.

Montalbano znowu się zirytował.

– Pomijając to, że ta Laura to fizjoterapeutka, mająca mi zrobić masaż,

który, mam taką gorącą nadzieję, pomoże mi dojść do siebie, chciałbym zwrócić uwagę, że jeśli nawiązuje pan do spotkania pewnego typu, to i tak skrecona kostka nie mogłaby mi przeszkodzić w...

Na szczęście Bonetti-Alderighi znowu mu przerwał, bo komisarz zaczął już bredzić.

– Nie może się pan ruszać?

– Nie.

– Gdybym kogoś po pana wysłał?

– Nie sądzę, bym i tak był w stanie się ruszyć.

Krótką chwilą namysłu ze strony kwestora.

– Wobec tego ja do pana przyjadę.

– Kiedy?

– Teraz.

– Teraz nieeeeeee!

Wyrwał mu się z ust rodzaj wilczego wycia. Musiał za wszelką cenę uniknąć wizyty kwestora w swoim domu.

– Dlaczego pan tak wyje?

– Atak bólu.

Gdyby kwestor do niego przyjechał, na pewno natknąłby się na Laureę, może jeszcze w mundurze. Trudno by go było przekonać, że masażystki noszą taki sam mundur jak marynarka. I skończyłoby się straszną chryją.

– Niech pan się nie trudzi, panie kwestorze, zrobię ten wysiłek i spróbuję wstać, żeby do pana przyjechać.

– Czekam.

Co miał teraz zrobić?

Po pierwsze musi uprzedzić Laurę. Zadzwoił do kapitanatu, gdzie powiedzieli mu, że już wyszła. Spróbował zatelefonować na komórkę, ale była wyłączona.

Zaraz potem zadzwonił do Galla i kazał mu przyjechać po siebie służbowym samochodem.

Przeklinając, zdjął but i skarpetkę z lewej nogi, poszedł do łazienki, owinął sobie kostkę połową paczki waty, a potem obwiązał opatrunek gazą. Zrobił dobrą robotę, noga wyglądała, jakby była rzeczywiście spuchnięta.

Spróbował włożyć stopę w pantofel, ale nie dał rady, bo z opatrunkiem nie wchodziła. Wobec tego rozciął kapeć nożyczkami. Teraz już mógł do niego wsunąć stopę, ale pantofel zrobił się za duży i spadał przy każdym kroku.

Zdesperowany, chwycił taśmę samoprzylepną do paczek i owinął ją wokół stopy, kostki i pantofla.

Żeby wydać się bardziej wiarygodnym, powinien się opierać na jakiejś lasce.

Nie miał takiej w domu, ale pogrzebał w schowku i znalazł plastikowy kij od miotły.

Wyglądał teraz jak sardyński pasterz z Campidano.

Na jego widok Gallo wytrzeszczył oczy.

– Panie komisarzu, co się stało?

– Nie zawracaj mi dupy, tylko zawieź mnie do kwestury.

Wyglądał jak chmura gradowa zapowiadająca burzę stulecia. Przez całą podróż Gallo nie ośmielił się już otworzyć ust.

Bonetti-Alderighi jakby nie zauważył pasterskiego wyglądu Montalbana. Nie powiedział komisarzowi, żeby usiadł, ale on i tak to zrobił, wydając z siebie teatralne westchnienia i jęki.

Kwestor udał, że nie słyszy.

Podniósł prawą rękę i nic nie mówiąc, rozczapierzył dwa palce. Montalbano popatrzył pytającym wzrokiem na palce, a potem na rozzłoszczoną twarz kwestora.

– Dwa – powiedział tamten.

– Chce pan grać w morę? – zapytał Montalbano, robiąc niewinną minę.

Co go podkusiło?

Ręka Bonettiego-Alderighiego zamknęła się w pięść, którą walnął o biurko z taką siłą, że omal nie pękł blat.

– Na Boga! Montalbano! Pan zupełnie oszalał! Jak może pan nie zdawać sobie sprawy?!

– Z czego?

– W Vigacie popełniono dwa morderstwa! A pan...

Z wściekłości odjęło mu mowę i zaczął kaszleć.

Musiał wstać, otworzyć lodówkę i napić się trochę wody.

Kiedy znowu usiadł, był już odrobinę spokojniejszy.

– Przyznaje pan, że wiedział o tym, że człowiek znaleziony w pontonie

został zamordowany?

– Tak. I rzeczywiście...

– Nie odzywać się! Przyznaje pan, że wiedział, że także marynarz z Maghrebu padł ofiarą morderstwa?

– Nie widzę, dlaczego miałbym się wypierać...

– Cisza! Przyznaje pan czy nie, że wszczął pan śledztwo w tej sprawie?

– Oczywiście. Było moim obowiązkiem...

– Milczeć!

Nie odzywać się, cisza, milczeć. Montalbano był zachwycony bogactwem słownictwa kwestora i postanowił się przekonać, czy wymyśli jeszcze jakieś synonimy.

– Widzi pan...

– Ani mru-mru! Teraz ja mówię.

Nie odzywać się, cisza, milczeć, ani mru-mru. Wyciśnię coś jeszcze?

– Kiedy chciałbym...

– Cyt! – powiedział kwestor, dotykając nosa palcem wskazującym.

Nie, cyt się nie liczyło, to musiało być prawdziwe słowo. Montalbanowi nie chciało się już grać i wobec tego zamilkł.

– A teraz proszę odpowiedzieć na moje pytanie, nie ociągając się, nie dywagując, nie...

– ...nie grając na czas, nie zbacząc z tematu, nie oszukując, nie koloryzując... – zasugerował Montalbano, strzelając synonimami niczym z karabinu maszynowego.

Kwestor popatrzył na niego podejrzliwie.

– Żarty pan sobie stroi?

Montalbano przyjął pokorny wyraz twarzy.

– Nigdy bym się nie ośmielił.

– To niech pan nie pieprzy, tylko odpowiada!

– Pozwoli mi pan zrobić jedną uwagę?

– Nie!

Montalbano zamilkł.

– Niech pan odpowie!

– Skoro nie pozwala mi pan na wygłoszenie uwagi...

– No dobrze, niech pan ją zrobi i odpowiada!

– Uwagę mam tylko taką: pozwolę sobie pokornie zauważyć, że zapomniał mi pan zadać pytanie.

– Ach, tak. Widzi pan? Tylko pan umie doprowadzić mnie do takiej wściekłości, żeby mnie...

– Zbić z tropu? Oszłomić? Zdezorientować? Ogłuszyć?

– Dość, na Boga! Nie potrzebuję pana głupich sugestii. Jednym słowem, dlaczego nie raczył pan poinformować o śledztwie ani mnie, ani prokuratury? Może mi pan to wyjaśnić?

– A pan skąd się dowiedział?

– Niech pan nie zadaje idiotycznych pytań! Czekam na odpowiedź!

Jeśli zacznie wyjaśniać, spotkania z Laurą nie da się już uratować.

Montalbano postanowił uciąć kwestię.

– Zupełnie zapomniałem.

– Zapomniał pan?! – krzyknął zdumiony kwestor.

Montalbano rozłożył ramiona.

Bonetti-Alderighi poczerwieniał jak pomidor, po czym wydał z siebie ryk, jakiego nie powstydzilby się słoń.

– Co pan... co pan sobie wyobraża? Że kieruje... kieruje pan prywatnym biurem detektywistycznym?! – wrzasnął kwestor, jękając się z furii, i skoczył na równe nogi z palcem wymierzonym w komisarza.

– Nie, ale...

– Nie odzywać się!

Co to, zaczynał od nowa litanię nie odzywać się, cisza, milczeć? Mogą tak siedzieć do rana!

– Niech pan posłucha – mówił dalej kwestor. – Od tej chwili zwalniam pana!

– Z czego?

– Ze śledztwa. Przejmie je komisarz Mazzamore.

Nigdy o takim nie słyszał, widać przybył niedawno. Zmieniali się co dwa tygodnie, kwestura w Montelusie pełniła funkcję stacji przesiadkowej.

Tylko ten dupek Bonetti-Alderighi trwał niezmiennie na stanowisku.

Montalbano już miał zacząć protestować, kiedy pomyślał, że w ten sposób będzie mógł poświęcić więcej czasu Laurze.

– A zatem, za pana pozwoleniem, zwalniam się – powiedział Montalbano,

któremu spieszyło się do wyjścia.

Oparł się na kij od szczotki i podniósł się powoli, pojękując i wykrzywiając twarz w grymasie bólu.

Kwestor się nie wzruszył.

– Dokąd pan idzie?

– Do domu, położyć się...

– Ha, ha! – zaśmiał się kwestor diabolicznie niczym Mefistofeles.

– Przepraszam, dlaczego pan się śmieje?

– Bo nie idzie pan do domu!

Montalbano zbladł. Przez moment przyszło mu do głowy, że Bonetti-Alderighi chce go aresztować. Był do tego zdolny. Jednak kwestor mówił dalej: – Uda się pan teraz do gabinetu pana Lattes, który już na pana czeka. Musicie zrobić inwentaryzację zniszczonych dokumentów.

A ponieważ zdruzgotany Montalbano znieruchomiał niczym słup soli, kwestor popędził go: – No już! No już!

Przemierzył korytarz, pamiętając o kuśtykaniu, żeby utrzymać się w roli, i przeklinając na czym świat stoi.

Lattes nawet nie zauważył, że komisarz wygląda jak sardyński pasterz, tylko zapytał od razu: – Jak się ma synek?

– Nie żyje – odpowiedział grobowym głosem Montalbano.

W tej gównianej sytuacji, w jakiej się znalazł, nie mógł się mniej przejmować obietnicą daną Livii.

Lattes wstał i podbiegł, aby go uściskać.

– Moje najgłębsze kondolencje.

Może otwierała się jakaś droga ucieczki. Montalbano złożył głowę na ramieniu Lattesesa i wydał z siebie zdławiony szloch.

– I zamiast być przy moim dziecku, żeby... muszę siedzieć tu z panem...

– Ależ na litość boską! – zawołał Lattes, obejmując komisarza jeszcze mocniej. – Niech pan idzie do domu! Pomówimy o tym innego dnia.

Montalbano o mało nie pocałował go w rękę.

Kiedy wyszedł z biura Lattesesa, było po dziesiątej. Zbiegł pędem po schodach, nie używając windy, bo była zbyt wolna, rzucił się do samochodu.

– Jedziemy do Marinelli! Galopem!

– Mam włączyć syrenę? – spytał uszczęśliwiony Gallo.

– Tak.

Komisarz mniej by wycierpiał w samochodzie wyścigowym na torze w Indianapolis. W pewnej chwili przyszło mu do głowy, że skoro odebrano mu śledztwo, nie miało sensu, aby Mimì tracił kolejną noc na gimnastyce z Giovannini. Mógł jej mu oszczędzić.

Zadzwoił do Augella na komórkę.

– Tu Montalbano. Możesz rozmawiać?

– Kochany Gianfilippo! – powiedział Augello. – Skąd dzwonisz? Cieszę się, że cię słyszę! O co chodzi?

To znaczy, że nie mógł rozmawiać. Pewnie był już z Giovannini.

– Chciałem powiedzieć, że jeśli chcesz się urwać, to możesz to zrobić.

– Dlaczego?

– Bo szef postanowił mnie odsunąć i sprawa już nas nie dotyczy.

– Słuchaj, nie sądzę, że zdołasz się teraz wycofać, rozumiesz? Już za późno. Kiedy wleziesz między wrony, musisz krakać jak i one. Przykro mi, ale takie jest moje zdanie. Cześć, usłyszymy się jutro.

Co znaczyło, że zadzwonił za późno.

Od razu zauważył, że samochodu Laury nie ma na podjeździe. Pożegnał się pospiesznie z Gallem, otworzył drzwi i wszedł.

Laury nie było na werandzie, tak jak tamtym razem.

Nie poczekała na niego, a raczej pewnie czekała, ale potem doszła do wniosku, że nie wróci, i odjechała.

Poszedł wsadzić głowę pod kurek z zimną wodą, żeby przeszła mu trochę złość, po czym zdobył się na odwagę i zadzwonił do niej.

– Tu Salvo.

– Tak? – odpowiedziała zimno.

Trzeba zachować spokój i wyjaśnić wszystko jak najskładniej.

– Wybacz mi, jest mi naprawdę bardzo przykro, ale zostałem wezwany przez kwestora i...

– Domyśliłam się, że wypadło ci coś ważnego.

To dlaczego była taka odpychająca?

– Posłuchaj, możemy zrobić tak. Jeśli za kwadrans zejdziesz na dół, to przyjadę po ciebie.

– Nie.

Nawet się nie zawahała. To suche i krótkie „nie” było niczym strzał w serce. Trzeba nalegać.

– Słuchaj, nie jest jeszcze tak późno. Jadłaś kolację?

– Przeszedł mi apetyt.

Teraz miała dziwny głos, ani obojętny, ani rozzłoszczony. Jak gdyby stała się gładką szybą, po której każde słowo staczało się, nie zostawiając śladu.

– Zobaczysz, przy mnie go odzyskasz.

– Za późno.

– No dobrze, i tak przyjadę.

– Nie.

– Chociaż posiedzimy razem z pół godziny!

– Nie.

– Obraziłaś się? Naprawdę dzwoniłem do ciebie, żeby uprzedzić o spóźnieniu, najpierw do kapitanatu, potem na komórkę, ale nie...

– Nie jestem obrażona.

– No dobrze. Zobaczymy się jutro?

– Nie sądzę.

– Ale dlaczego?

– Bo zastanowiłam się dobrze i doszłam do wniosku, że telefon od kwestora był opatrnościowy.

W żaden sposób telefon od Bonettiego-Alderighiego nie mógł być dziełem opatrności. To by było wbrew naturze.

– W jakim sensie, przepraszam?

– W takim, że los chciał, aby tak się potoczyły sprawy. To był znak.

Oszalała?

– Słuchaj, możesz to wyjaśnić?

– To znaczy, że między nami nic nie może i nic nie powinno się zdarzyć.

– Nie mów mi, że wierzysz w te głupoty!

Nie odpowiedziała i Montalbano się wściekł.

– Co robisz, czytasz codziennie horoskopy w gazecie?

Laura się wyłączyła.

Montalbano zadzwonił ponownie, ale telefon nie odpowiadał.

Naturalnie przeszedł mu apetyt.

Jedynym wyjściem było usiąść na werandzie z paczką papierosów i butelką whisky, żeby poczekać, aż minie mu złość i będzie się mógł położyć do łóżka.

Chwileczkę, Montalbà.

Nie wydaje ci się dziwne, że tym, co w tej chwili czujesz, jest złość? Nie smutek, nie cierpienie?

A jeśli czujesz tylko złość, to ma to jakieś znaczenie?

Owszem, ma.

Dobrze, możemy odłożyć te rozważania i sprawdzić najpierw, czy masz dość papierosów i whisky?

Papierosów miał trzy paczki, ale whisky zostało mniej niż pół butelki.

Poszedł do baru w Marinelli, a kiedy wrócił i otwierał drzwi, usłyszał, jak dzwoni telefon. Z pośpiechu nie mógł trafić kluczem w zamek, musiał postawić butelkę na ziemi, żeby otworzyć.

Naturalnie, kiedy wreszcie podniósł słuchawkę, z drugiej strony już się rozłączono.

Czy to możliwe, że nigdy nie mógł zdążyć z odebraniem telefonu?

A teraz co robić? Zadzwoić do niej? A jeśli to nie była Laura? W tej samej chwili telefon znowu zadzwonił.

– Laura!

Po drugiej stronie zapadło całkowite milczenie. Czyżby to znowu ten dupek Bonetti-Alderighi?

– Kto mówi?

– Livia.

Komisarz oblał się zimnym potem.

– I chciałabym wiedzieć, kim jest ta Laura.

W rozpaczy, nie wiedząc, co powiedzieć, zaczął się śmiać.

– Ha, ha, ha!

– To takie śmieszne pytanie?

– Zazdrosna jesteś, co?

– Oczywiście. Odpowiedz, nie udając kretyna.

Powiedziała to takim głosem, jakiego mógłby użyć Bonetti-Alderighi.

– Nie uwierzysz, ale kiedy zadzwoniłaś, nie mogłem sobie przypomnieć imienia ukochanej Petrarcki i przyszło mi na myśl właśnie w chwili, gdy odbierałem ta... te... to...

– ...to i tamto – ucięła Livia. – I myślisz, że jestem tak głupia, że uwierzę w takie wyjaśnienie?

Pot zalewał już Montalbanowi oczy, oślepił go, a słuchawka ślizgała mu się w dłoniach.

– Wybacz, mogę oddzwonić za pięć minut?

– Nie – powiedziała Livia i rozłączyła się.

15

Telefon od Livii nie mógł się zdarzyć w gorszym momencie. Montalbano zabrał ze smutkiem butelkę sprzed drzwi, postawił ją na stole na werandzie, poszedł się umyć i wreszcie usiadł.

Nad czym powinien się zastanowić?

A tak, dlaczego odczuł złość, a nie smutek czy cierpienie.

Ale czy naprawdę musiał roztrząsać tę sprawę? Mając już i tak chaos w głowie? Nie można odłożyć tego na później?

Nie, właśnie że to jest stosowna chwila. I nie szukaj wykrętów jak dzieciak.

No to dalej, zaczynamy.

Kiedy czuje się złość? Odpowiedz mi.

No cóż, istnieją powody, dla których...

Nie, nie klucz wokół tematu, nie ociągaj się, jak powiedziała by kwestor. Trzymaj się tematu. Pytanie jest bardzo proste: dlaczego rozgniewała cię odmowa Laury?

No cóż, bo bardzo chciałem ją zobaczyć i...

Jesteś pewien?

Oczywiście!

Nie, sam siebie okłamujesz. Tak jak ci, którzy oszukują przy kładzeniu pasjansa.

No to dlaczego?

Ja ci to powiem. Po prostu dlatego, że nie dałeś rady zrobić tego, co ci chodziło po głowie.

Nie, przedstawiona w ten sposób sprawa wydaje się wulgarna. Tak jak gdybym chciał po prostu...

A co? Nie takie miałeś zamiary?

No wiesz, nie mów bzdur!

Bzdur? Gdybyś ją naprawdę kochał, byłbyś teraz zasmucony, przygnębiony, jak tam chcesz. Na pewno nierozzłoszczony.

Wyjaśnij to lepiej.

Jeśli jesteś rozzłoszczony, to znaczy, że twoje uczucie do Laury nie jest prawdziwą miłością. Ten gniew świadczy o tym, że uważasz Laurę za nagrodę, którą chcesz zdobyć, a ona w ostatniej chwili wymyka ci się z rąk.

Chcesz powiedzieć, że uważam ją za... za...

Powiedzmy za rybę, którą chcesz złapać w sieć. Udaje ci się skłonić, żeby do niej wpłynęła, ale kiedy już masz ją wyciągnąć, rybka wyskakuje i odpływa w morze, znowu wolna. A ty zostajesz jak kretyn, z pustą siecią. Dlatego się złościś.

Wobec tego czym jest to, co czuję do Laury?

Ekscytacją. Pożądaniem. Próżnością. A może uważasz ją za rodzaj tratwy, w którą się wczepiasz ze strachu przed zatonięciem w morzu starości.

Więc to nie miłość?

Nie. I wiesz, co ci powiem? Gdybyś naprawdę był w niej zakochany, próbowałbyś zrozumieć także jej powody i wątpliwości.

Debatował tak przez dwie godziny, po czym, opróżniwszy butelkę whisky, złożył głowę na ramionach skrzyżowanych na stole i pogrążył się w niespokojnym półśnie.

Zbudził go chłód poranka.

Wstał, wszedł do domu, wziął gorący prysznic, ogolił się i wypił jak zwykle filiżankę kawy.

Po głowie tłukło mu się jedno pytanie: czy stać go będzie na rezygnację ze spotkania z Laurą? Znajdzie w sobie dość siły?

Konkluzja, do jakiej doszedł, była taka, że uszanuje jej uczucia, nie będzie do niczego przymuszał ani się narzucał.

Teraz jednak musiał jakoś wytrwać do czasu, kiedy trzeba będzie jechać do pracy. Postanowił wziąć *Canzoniere* Petrarcki i poczytać w pierwszym świetle poranka.

Czytał długo, ale w pewnej chwili, kiedy doszedł do wersów sonetu:

Pędzi łódź moja całkiem zapomniana

Z Charybdy w Scyllę. W koło noc i zima I odmęt grzmiących wód^[1]

nie mógł kontynuować lektury, za bardzo ścisnęło mu się gardło.

Czy i on nie znajdował się pośrodku burzy, pomiędzy Scyllą a Charybdą?

Zamknął książkę, popatrzył na zegarek. Była siódma.

I właśnie wtedy rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych. Kto to mógł

być, tak wcześnie? Na moment dał się ponieść nadziei, że to Laura zajechała do niego w drodze do kapitanatu. Poszedł otworzyć. To był Mimì Augello.

Niewyspany, nieogolony, wyczerpany.

– Jak się czujesz, Mimì?

– Jak przepuszczony przez maszynkę do mięsa.

Jego pierwsze pytanie brzmiało:

– Masz kawę?

Drugie:

– Mogę wziąć prysznic?

I wreszcie trzecie:

– Mogę użyć twojej brzytwy?

Na koniec, umyty i odświeżony, usiadł na werandzie i zaczął opowiadać.

– Wczoraj wieczorem, kiedy do mnie zadzwoniłeś, byłem już na jachcie i nie miałem żadnej wymówki, żeby się zwinąć. Dlaczego to zrobiłeś?

– Co?

– Zatelefonowałeś.

– Żeby ci oszczędzić nocy.

– Nie wierzę.

– To dlaczego, twoim zdaniem?

– Bo naszły cię wyrzuty sumienia.

– W stosunku do ciebie? No nie, nie rozśmieszaj mnie.

– Nie w stosunku do mnie. Do Beby. Zrozumiałem to właśnie dlatego, że

zadzwoń. Poczujesz się winny, że wysłałeś mnie do łóżka z Liv... z Giovannini.

Podczas gdy Augello mówił, Montalbano uznał, że ma rację. Prawdę powiedziawszy, nie pomyślał właściwie o Bebie, zadzwonił pod wpływem instynktu, którego nie umiał sobie w tamtej chwili wyjaśnić. Bystry ten Mimì! Wyczuł go bezbłędnie. Ale komisarz nie chciał dać mu satysfakcji.

– Ja ci nie mówiłem, żebyś z nią szedł do łóżka.

– Ach nie? Ależ z ciebie hipokryta! Wiedziałeś od początku, że ta babka ma w dupie westchnienia przy blasku księżyca. Nie powiedziałeś mi tego, ale dałeś do zrozumienia. Dajmy spokój, tak będzie lepiej. Chcesz usłyszeć, czego się dowiedziałem?

– Pewnie.

– Ale skoro kwesor odebrał ci śledztwo!

– Opowiedz mi i tak.

– Zjedliśmy kolację na jachcie.

– Przepraszam, że ci przerwę. Mówiliście o Chaikrim?

– Tylko wspomnieliśmy. Giovannini powiedziała kapitanowi...

– Jadł z wami?

– Tak, ale jeśli będziesz ciągle przerywał...

– Przepraszam.

– Powiedziała kapitanowi, aby nalegał na jak najszybsze wydanie zwłok, w ten sposób będą go mogli pochować i wypłynąć z portu. Idźmy dalej. Zatelefonowałeś za późno, bo powiedziałem już Livii i kapitanowi, że

przyjmuję ich propozycję pracy.

– Wyjaśnili ci dokładniej, na czym ma polegać?

– Jasne jest dla mnie tylko jedno. Livia powiedziała, że długo się zastanawiała, do jakich zadań mnie wykorzystać, i doszła do wniosku, że będzie lepiej, jeśli zamiast w Afryce Południowej będę miał bazę we Freetown.

– Gdzie to?

– W Sierra Leone. Odpowiedziałem, że dla mnie to bez znaczenia, interesują mnie jak najwyższe zarobki. I dałem jasno do zrozumienia, że jestem skłonny przymknąć nie jedno, ale i dwoje oczu.

– Ale powiedziała ci, jakie ma interesy w tamtych stronach?

– Tak, plantacje kawy i tytoniu oraz udziały, które jednak nie są podane do wiadomości publicznej, w branży wydobywczej.

– Branży wydobywczej? A co to niby znaczy?

– Zapewne kopalnie.

– Dowiedziałeś się jeszcze czegoś?

– Nie. Dzisiaj o piątej mam się stawić, żeby omówić warunki kontraktu. Może wtedy powiedzą mi coś więcej. Ale jak myślisz, mam wrócić na jacht czy nie? Jeśli nie prowadzimy już śledztwa...

– Daj mi chwilę pomyśleć. A nocą?

– Mam ci opowiedzieć szczegółowo o wymaganiach Livii?

– Już ci powiedziałem, żebyś jej tak nie nazywał! Nie, chcę tylko wiedzieć, czy zdarzyło się coś...

– Poczekaj. Tak, coś się zdarzyło. Około północy kapitan zapukał do kabiny. Na szczęście akurat zrobiliśmy przerwę. Liv... Giovannini poszła otworzyć nago, tak jak stała. Poszeptali ze sobą na progu, potem ona zamknęła drzwi i podeszła do dużego sejf, który znajduje się w kabinie, otworzyła go, wyjęła jakieś papiery, owinęła się szlafrokiem i wyszła. Skorzystałem z okazji i zajrzałem do sejf, niczego jednak nie dotykając.

– I co tam było?

– Sporo pieniędzy, euro, dolary, jeny... dokumenty i teczki, wszystkie opisane. Pięć czy sześć rejestrów. I duży segregator, na którym był napis „Kimberley Process”.

– Co to znaczy?

– Nie mam pojęcia. Słuchaj, to co mam robić?

– No cóż, teoretycznie powinienes dać spokój. Nie masz już zabezpieczonych tyłów, jeśli wrócisz na pokład, to na własne ryzyko.

– Szkoda zrezygnować, gdy zaszliśmy tak daleko.

– To prawda. Ale co chciałbyś zrobić?

– Pójść i tak na spotkanie o piątej. Jestem pewny, że powiedzą coś, co pozwoli ich przyskrzynić.

– A potem jak się z tego wyplącesz? Nie możesz przecież powiedzieć, że nagle zmieniłeś zdanie, nie chcesz z nimi popłynąć!

– Zamordowaliby mnie bez dwóch zdań!

– Już wiem! – zawołał nagle Montalbano.

– Co?

– Jak cię wyciągnąć z ich łap. Metodą Chaikriego.

– To znaczy?

– Zaaresztuję cię!

– Co ty za bzdety opowiadasz od rana?

– Mimì, uwierz mi, to jedyny sposób. Zatelefonujesz do mnie przed wejściem na pokład „Vanny”. Fazio i Gallo będą udawać, że są na służbie na terenie portu. Jeśli będziesz miał ważne informacje, schodząc po trapie, wydmuchaj nos. Minutę później jesteś w kajdankach. Protestujesz, robisz wielką awanturę, muszą to zobaczyć ci z „Vanny” i z „Asa Kier”, w ten sposób znikasz ze sceny i opowiadasz mi wszystko w komisariacie. Jeśli nie wydmuchasz nosa, to znaczy, że nie masz nam nic nowego do powiedzenia, i nie zostaniesz aresztowany. Jasne? Widzę, że nie jesteś przekonany, o co chodzi?

– Mam nadzieję, że będę pamiętał o włożeniu do kieszeni chusteczki. Zawsze o niej zapominam.

Kiedy Augello poszedł, Montalbano wyjął z regału atlas encyklopedyczny. Brak znajomości geografii komisarza był zawstydzający, czasami nawet nie do końca był pewny położenia pięciu kontynentów.

Najpierw poszukał informacji o Afryce Południowej.

I zaraz natknął się na Kimberley, miejsce znane ze złóż diamentów. Tak wielkich, że nadano mu status narodowego pomnika natury. Były tam też złoża platyny, żelaza, kobaltu i mnóstwa innych surowców, o których komisarz nawet nigdy nie słyszał.

Uprawiali tytoń, ale nie kawę.

Plantacje kawy znajdowały się natomiast, tak samo jak plantacje tytoniu, w Sierra Leone. Jeśli chodzi o diamenty, platynę, kobalt i tak dalej, też nie mogli tam narzekać.

Do diabła, pieniądze płynęły strumieniami do właścicieli kopalń, wszystkie należały do zagranicznych korporacji, i najwyraźniej tylko one czerpały z nich zyski, biorąc pod uwagę, że przewidywana długość życia rdzennej ludności wynosiła trzydzieści siedem lat dla mężczyzn, a trzydzieści dziewięć dla kobiet.

Zgadzało się to z tym, co Giovannini powiedziała Augellowi.

Jednak w głowie Montalbana odezwał się jakiś dokuczliwy brzęczyk alarmowy.

Próbując go uciszyć, przeczytał wszystko od nowa.

W rezultacie brzęczyk odezwał się znowu tak głośno, że komisarz się przestraszył, czy przypadkiem na coś nie zachorował.

Potem zrozumiał, że to dzwoni telefon.

W pierwszej chwili chciał go zignorować, ale potem pomyślał, że to może Laura, i rzucił się do aparatu.

– Panie komisarzu, niech ja będę wybaczony, że się pana ośmielam zakłócać, podczas gdy pan w swoim domu przebywa.

– O co chodzi, Catarè?

– No bo właśnie telefonił pan komisarz Micca.

Nigdy o takim nie słyszał, z książek historycznych znał tylko Pietra Miccę,

Piemontczyka.

– Powiedział ci, jak ma na imię?

– Tak jest, panie komisarzu. Z imienia mu jest Jeremy.

– Tak jak Jeremy Irons?

– Najściślej, panie komisarzu.

Jeremy Micca. Geremicca!

– Co ci powiedział?

– Ano tak, żeby go pan komisarz nawiedził.

– Posłuchaj, Catarè, ponieważ muszę pojechać do Montelusy, musiałbyś coś dla mnie zrobić.

– Na pana rozkazy, panie komisarzu!

Pewnie zerwał się na nogi i stanął na baczność.

– Chciałbym, żebyś wyszukał mi w internecie Kimberley Process.

– Problemu nie ma, panie komisarzu. Tylko żeby mi pan zaeksplikował, jak to się pisze.

– Spróbuję. Pierwsza litera to „k”?

Minęły trzy minuty, a Catarè się nie odzywał. Może poszedł szukać długopisu.

– Catarè?

– Jestem, panie komisarzu!

– Napisałeś to „k”.

– Jeszcze nie!

- A dlaczego?
- Bo nie wiem, czy pisać ka czy ky.
- Ani jedno, ani drugie! Po prostu „k”?
- Jak to po prostu? Przecież tam są krzywe kreski!

Tą metodą dyktowanie zajęłoby cały tydzień. Nawet gdyby rozwiązali problem „k”, to jeszcze zostawało końcowe „ey”.

– Posłuchaj, Catarè, zrobimy tak. Ja ci to teraz napiszę na karteczce, zajadę do komisariatu w drodze do Montelusy i zostawię ci ją.

Jadąc do Vigaty, pomyślał sobie, że telefon od Geremikki nie mógł zdarzyć się w lepszym momencie. Skoro Geremicca chciał widzieć komisarza, widocznie otrzymał jakieś wiadomości od kolegi z Francji. To oznaczało, że śledztwo wzbogaci się o nowe elementy i komisarz będzie mógł mu poświęcić całą energię. Miał w dupie, że kwesor odebrał mu dochodzenie, zamierzał i tak prowadzić je dalej. Potrzebował tego z prostej przyczyny: w ten sposób nie będzie miał czasu myśleć o Laurze.

Podjechał pod komisariat, nie zaparkował, wysiadł, zostawiając otwarte drzwiczki, wszedł, podał Catarelli karteczkę, na której napisał „Kimberley Process”, i powiedział: – Wracam za godzinę.

- Niech pan czeka, panie komisarzu!
- Co jest?

Catarella był najwyraźniej zmieszany, bo wpatrzył się w swoje buty oraz otwierał i zaciskał dłonie.

– No więc?

– Panie komisarzu, bo ja bym musiał panu powiedzieć taką rzecz, co ja nie mam przyjemności powiedzieć panu, i dlatego nie wiem, czy panu mówię, czy nie mówię.

– Dobrze, kiedy się zdecydujesz, wyślij mi telegram.

– Panie komisarzu, to nie jest rzecz do żartowania!

– No to powiedz i już.

– Panie komisarzu, ja proszę, żeby pan wszedł w swój pokój.

Jeśli w taki sposób mógł przyspieszyć sprawę... Catarella poszedł za nim. Drzwi były zamknięte. Nacisnął klamkę i wszedł.

Przed biurkiem stał Fazio, obrócony do komisarza plecami. Słyszając, że ktoś nadchodzi, odwrócił się i usunął na bok. Wtedy komisarz zobaczył, że na biurku leży wieniec żałobny z białych kwiatów, jakie kładzie się na trumnę.

Zbladł, przypomniał mu się sen o własnym pogrzebie.

– Co... co...

Nie był w stanie wydobyć z siebie słowa. Popatrzył na Fazia, który miał twarz jak chmura gradowa i wyglądał na bardzo zmartwionego.

– Panie komisarzu, a jak pan myśli? To klasyczne ostrzeżenie od mafii.

To prawda. Montalbano podszedł do segregatora, na którym trzymał butelkę z wodą, i wypił szklanekę, podczas gdy mózg pracował mu na podwyższonych obrotach.

Istniało tylko jedno możliwe wyjaśnienie dla tej pogróżki. Z całą

pewnością mafia miała coś wspólnego ze śledztwem, które prowadził w sprawie „Vanny” i „Asa Kier”. Przesyłając ten wieniec kwiatów, dawali mu do zrozumienia, że jeśli nie przestanie węszyć, to go zamordują. Nigdy jeszcze rodziny Cuffaro i Sinagra nie posunęły się tak daleko! Czy to znaczyło, że jego sen miał się ziścić?

– Trzeba powiadomić zaraz kwestora – powiedział Fazio.

Montalbano nie zareagował. Walnął pięścią w wieniec i strącił go na ziemię.

– Catarella, pozbieraj to i wyrzuć do śmieci.

Catarella schylił się po wieniec i już miał z nim wyjść, kiedy Montalbano spytał: – Kiedy to przyniesiono?

– Pięć minut przed pana przyjściem.

– Widziałeś, kto go przyniósł?

– Pewno. Ciccino Pànzica z kwiaciarni.

– Fazio, za pięć minut chcę tutaj mieć tego Panzicę.

Musiał przyznać, zrobiło to na nim wrażenie. Ale na pewno by tak nie było, gdyby nie tamten okropny sen.

Ciccino Pànzica był sześćdziesięcioletkiem, różowym jak prosiak. Wszedł, przywitał się i od razu zaczął mówić.

– Musi mi pan wybaczyć, że...

– Ja tu zadaję pytania.

– Jak pan sobie życzy.

– Kto zamówił ten wieniec?

– Kto to był, tego nie powiedział. Dostałem telefon.

Wtrącił się Fazio.

– Jak się umówiłeś co do zapłaty?

– Że ktoś przyjdzie i zapłaci.

– I przyszedł?

– Tak, wczoraj wieczorem.

– Rozpoznałbyś go?

– Jeśli go zobaczę, to na pewno. Był w mundurze.

Montalbano i Fazio wymienili zdumione spojrzenia.

– Jakim mundurze? – zapytał Fazio.

– No, waszym.

Mafijny złoczyńca przebrany za policjanta! Sprawa stawała się coraz bardziej niepokojąca.

– Mogę powiedzieć teraz, co chciałem powiedzieć na początku? – spytał kwiaciarz.

– Słucham – odparł Montalbano.

– Ten policjant dał mi też bilecik, ale zapomniałem go dołączyć do kwiatów.

Zwykle do tego typu grózb nie dołącza się żadnych pisemnych przekazów.

– Daj mi go.

Pànzica mu go podał. Była to kartka okolicznościowa. Otworzył ją. W

środku było napisane: *Najszczęśliwsze kondolencje. Lattes.*

16

W chwili gdy Montalbano wchodził do biura Geremikki, nie wiedział jeszcze, że w tych czterech ścianach wypowiedziane zostanie słowo, tylko jedno, wystarczające, aby nakierować go na właściwy trop.

Gdy Geremicca zobaczył Montalbana, wstał i z uśmiechem zakręcił młynka prawą ręką na znak, że odkrył coś bardzo ważnego.

– Montalbà, trafiłeś w dziesiątkę!

– Ja? W jaki sposób?

– Przesłałem przez internet paszport, który mi dałeś, koledze z Francji. I powiedziałem mu to, czego się dowiedziałem od ciebie: że dane, jakie widnieją w paszporcie, należą do bohatera powieści Simenona, tak mi się zdaje.

– Rzeczywiście. I wobec tego?

– Wobec tego on zaczął mi opowiadać, że miesiąc wcześniej aresztowali wielkiego fałszerza, prawdziwego mistrza, który jednak nie zdradził nazwisk swoich klientów. Udało im się skonfiskować kilka paszportów gotowych do użytku. Razem z twoim są trzy. I dzięki wskazówce, jaką mu daliśmy, mój kolega wreszcie odkrył, że fałszerz ma zwyczaj wpisywać do paszportów imiona zaczerpnięte z literatury francuskiej. Pomyśl tylko!

– Widocznie lubi czytać.

– I powiem ci więcej! Nazwiska wybierane przez fałszerza miały zawsze coś wspólnego z jakimś aspektem życia danego klienta.

– Możesz to lepiej wyjaśnić?

– Pewnie. Żebyś to zrozumiał od razu, francuski kolega powiedział mi, że ten Émile Lannec, bohater książki, jest właścicielem małego parowca. Czy to prawda?

– Jak najbardziej.

– Mimo iż ten człowiek miał zmasakrowaną twarz, mój kolega zdołał rozpoznać go na podstawie innych danych. Nazywał się Jean-Pierre David, bez przeszłości kryminalnej, ale policja od dawna miała go na oku.

– A ten aspekt charakterystyczny dla jego życia?

– Jego ojciec był właścicielem małego parowca, który potem zatonął. Twoja wskazówka pozwoliła francuskiej policji ustalić tożsamość dwóch innych osób, które miały otrzymać skonfiskowane paszporty. Dziękuję ci z całego serca, bo twoje odkrycie bardzo im pomogło.

– A dlaczego mieli na oku Davida?

– Podobno był członkiem organizacji, która zajmuje się handlem na wielką skalę.

– Handlem czym?

– Diamentami.

Montalbano podskoczył na krześle. Przez chwilę wpatrywał się przed siebie niewidzącym wzrokiem Błyskawica, która przeszła mu mózg, niemal go oślepiła.

Co miał teraz zrobić?

Jego pierwszym obowiązkiem byłoby pospieszyć bezzwłocznie do biura

Mezzamorego, nie Cazzamorego, czy jak on się tam do diabła nazywał, i opowiedzieć mu wszystko, czego się dowiedział. Uwaga: byłoby, w trybie przypuszczającym. Bo gdyby miał się ściśle trzymać nakazów kwestora, to tego ranka nie powinien był nawet pojechać, żeby dowiedzieć się, co odkrył Geremicca. Należało powiedzieć przez telefon: „Przyjacielu, bardzo ci dziękuję, ale wszelkie informacje powinieneś przekazywać koledze Mizzamoremu, który przejął prowadzenie śledztwa”.

Jednak pojechał. Dopuszczając się tym samym aktu niesubordynacji. Jeśli teraz opowie Mozzamoremu historię tożsamości nieboszczyka, kwestor może oskarżać go o...

„Nie wstydzisz się wyszukiwać tak żalosnych wymówek? – odezwał się z wyrzutem głos sumienia komisarza. – Prawda jest taka, że jesteś tak egoistyczny, tak małoduszny, że nie chcesz dzielić się z nikim...”

„Dasz mi chwilę pomyśleć?” – odpowiedział Montalbano.

Przekazać informację czy nie? Oto było pytanie.

Potem głos sumienia wziął górę. Montalbano obszedł gmach dookoła, wkroczył do środka główną bramą i zapytał, gdzie znajduje się gabinet komisarza Mezzamorego.

– Mazzamorego? – odpowiedział człowiek z punktu informacyjnego, który znał Montalbana. – Tuż obok gabinetu pana Lattesza.

Aj, aj, aj. Trzeba zachować maksymalną ostrożność.

Zamiast pojechać windą, poszedł schodami. Gdy znalazł się na piętrze, zatrzymał się i wysunął głowę za róg, żeby sprawdzić korytarz. I zobaczył właśnie Lattesza, zagłębionego w rozmowie z jakimś typem.

O nie, nie był w stanie ciągnąć historii o nieistniejącym zmarłym dziecku.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Do Mazzamorego po prostu zadzwonił. Kiedy będzie okazja, bez pośpiechu.

„Niezłą wymówkę sobie znalazłeś!” – powiedział ironicznie głos sumienia.

On wysłał go w miejsce, w które być może, a raczej na pewno, wysyłał go zbyt często.

– Oj, panie komisarzu, panie komisarzu, panie komisarzu!

Wiedział doskonale, co znaczy ta płaczliwa litania.

– Dzwonił kwestor?

– Tak jest, w tejże chwili on telefonił.

– Czego chciał?

– Tak powiedział, że chciał, żeby pan przyspieszenie najprzyspieszniej się udał do niego, to znaczy do pana kwestora.

Ależ mowy nie było! Absolutnie nie mógł ryzykować spotkania z Lattesem. Musiałby podziękować mu przynajmniej za wieniec żałobny.

– Powiedz Faziowi, żeby zaraz do mnie przyszedł. Aha, poczekaj, znalazłeś coś na temat Kimberley Process?

– Tak tak, teraz będę drukował.

Wchodząc do gabinetu, komisarz zauważył, że jeden z kwiatów odczepił się, kiedy zrzucił wieniec na ziemię, i leżał jeszcze na podłodze. Schylił się, podniósł go i wyrzucił przez okno. Nie chciał patrzeć na nic, co przypominałoby mu sen o pogrzebie.

– Słucham, panie komisarzu – powiedział Fazio, wchodząc.

– Musisz mi oddać przysługę. Zadzwoń do kwestora.

Fazio popatrzył na niego pytająco.

– Ja?!

– Bo co, to jakaś obraza? Wstydzisz się?

– Nie, ale...

– Musisz mu opowiedzieć bujdzę.

– W związku z czym?

– Chce się ze mną natychmiast widzieć, ale ja teraz nie mogę tam pojechać. Mam swoje powody.

– I co mu opowiem?

– Że kiedy jechałem do komisariatu, miałem stłuczkę, i musiałeś mnie zawieźć najpierw na pogotowie, a potem do Marinelli.

– Może mi pan powiedzieć, w razie gdyby pytał, jaki to był wypadek? Niegroźny czy poważny?

– Ponieważ już mu wcisnąłem jedno kłamstwo, powiedz, że zraniłem się w tę samą nogę, którą wcześniej skręciłem.

– A jak skręcił pan sobie nogę?

– Dokładnie w taki sam sposób.

– Rozumiem.

– Teraz wrócę migiem do domu, gdyby on tam dzwonił.

– Dobrze – powiedział Fazio, zbierając się do wyjścia.

– Dokąd idziesz?

– Zatelefonować ze swojego pokoju.

– A stąd nie możesz?

– Nie. Kiedy jestem sam, kłamstwa lepiej mi wychodzą.

Fazio wrócił po niespełna pięciu minutach.

– Co powiedział?

– Że pan ma ostatnio za dużo wypadków i powinien pan uważać na swoje zdrowie.

– Nie uwierzył ci?

– Moim zdaniem, nie. Panie komisarzu, lepiej niech pan od razu pojedzie do Marinelli. On na pewno do pana zadzwoni.

– Powiedział coś jeszcze?

– Tak. Że ma pan przejąć na nowo śledztwo, bo komisarz Mazzamore jest zbyt zajęty inną sprawą.

– Teraz mi to mówisz?

– A kiedy miałem powiedzieć?

– Na samym początku!

Potem zamilkli na chwilę, wymieniając spojrzenia.

– Coś mi tu nie gra – powiedział Montalbano.

– Mnie też. Ale to nie pierwszy raz, kiedy kwesor oddaje panu śledztwo, od którego wcześniej pana odsunął.

– I tak coś mi tu nie gra. W każdym razie, musisz wiedzieć, że zmarły z

pontonu został zidentyfikowany, nazywa się Jean-Pierre David i francuska policja miała go na oku.

– Dlaczego?

– Podobno był wpłątany w handel diamentami.

Fazio zmrużył oczy.

– Czyli ci z „Asa Kier”?...

– ...siedzą w tym po szyję. Mógłbym za to włożyć rękę w ogień. Musimy przemyśleć, jak ich przyskrzynić. I musimy się pospieszyć, bo mogą odpłynąć w każdej chwili. Aha, jeszcze coś.

– Tak?

– Bądź w pogotowiu, ty i Gallo. Dzisiaj po południu, około piątej, musimy coś zrobić.

– Co takiego?

– Prawdopodobnie aresztujemy komisarza Augella.

Fazio otworzył i zamknął usta. Najpierw poczerwieniał, potem pobladł. Wreszcie runął na krzesło.

– Dla... dlaczego? – wyszeptał.

– Potem ci wyjaśnię.

W tej samej chwili wszedł Catarella z pękiem kartek w ręce.

– Tutaj wszystko podrukowałem, panie komisarzu.

Montalbano włożył kartki do kieszeni.

– To na razie.

I pojechał do Marinelli.

Jakim cudem telefon miał zwyczaj dzwonić zawsze wtedy, gdy on otwierał drzwi wejściowe? Ponieważ stracił już nadzieję, że zadzwoni Laura, nie spieszył się z odbieraniem.

Otworzył drzwi balkonowe na werandę, a potem zaszedł do kuchni.

Musiał coś zjeść, dlatego chciał sprawdzić, co przygotowała mu Adelina. Otworzył piecyk.

Prawdziwe delicje. Makaron, *'ncasciata*, barweny *alla livornese*.

Telefon, który przedtem przestał dzwonić, znowu się odezwał. Tym razem komisarz poszedł odebrać.

To był kwestor.

– Jak pan się czuje?

Tak jak przewidział Fazio, ten pierdolony drań chciał sprawdzić, czy komisarz naprawdę miał wypadek! Montalbano gotów był mu dogodzić. Zaczął: – No cóż, stłuczka była...

– Nie o tym mówię – uciął sucho kwestor.

Ach tak? To o czym chciał rozmawiać? Lepiej nic nie mówić i czekać, aż się wyjaśni, o co chodzi.

– Tym, co mnie naprawdę niepokoi, jest pana zdrowie psychiczne.

A co to za nowe pomysły? Teraz kwestor mówił mu, że oszalał? Co on sobie myśli?

– Proszę posłuchać, jestem zgodnym człowiekiem, ale nie będę tolerować

uwag na temat mojej poczytalności...

– Proszę mi pozwolić mówić. I odpowiadać tylko na moje pytania.

– Proszę posłuchać, nie jesteśmy tutaj...

– Montalbano, do diabła, dość tego! – wrzasnął Bonetti-Alderighi.

Musiał być naprawdę rozwścieczony. Lepiej niech się wyładuje. Montalbano nigdy by jednak nie przewidział następnego pytania kwestora.

– Czy to prawda, że w ostatnich dniach dotknęła pana ciężka żałoba?

Komisarz zamarł. No tak, Lattes na pewno opowiedział kwestorowi, że Montalbano stracił dziecko!

– A mówiąc konkretnie, że zmarł panu syn – mówił dalej zimnym głosem kwestor.

Jak do cholery mógł z tego wybrnąć?

– I że pana żona jest pogrążona w rozpacz?

Głos kwestora lodowaciał z każdym zdaniem.

– I wyjaśni mi pan, dlaczego wobec tego z dokumentów nie wynika, by miał pan żonę i dzieci?

Biegun polarny.

Co miał teraz zrobić? Z szybkością błyskawicy przeleciało mu przez głowę ze sto różnych wyjaśnień, ale odrzucił je wszystkie, bo były mało wiarygodne. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Odezwał się za to kwestor.

– Zrozumiałem – powiedział.

Tak niskie temperatury można było uzyskać tylko w warunkach

laboratoryjnych.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia wyjaśni mi pan powody tej wulgarnej i nędznej komedyjki, na którą nabrał pan tak porządnego człowieka jak Lattes.

– To nie była... – zdołał wreszcie wykrztusić.

– Nie sądzę, żeby o tak żalösnej i nieprzyjemnej sprawie można było rozmawiać przez telefon. Zostawmy to na razie. Poinformowano pana, że musiałem mu oddać śledztwo?

– Tak.

– Gdyby to zależało ode mnie, pan nigdy... ale byłem zmuszony, wbrew swojej woli, żeby... Powiem to panu prosto z mostu: jeśli tym razem zacznie pan coś kombinować, zniszczę pana. I proszę mnie informować na bieżąco o postępach dochodzenia. Dobrego dnia.

Dobranoc bardziej by tu pasowało.

Matko Boska, co za wstyd! Chciałby się zapaść pod ziemię! Ale była choć jedna rzecz pozytywna: Lattes nie będzie go już pytał o zdrowie rodziny.

Rozzłoszczonemu kwestorowi wymknęła się także ważna informacja, a mianowicie, że został zmuszony oddać komisarzowi śledztwo, nie zrobił tego z własnej woli. To znaczy, że ktoś interweniował. Ale kto? I przede wszystkim dlaczego?

Jednak biorąc pod uwagę, że telefon od kwestora naprawdę się zdarzył i że na zadawane sobie pytania komisarz nie umiał znaleźć odpowiedzi, postanowił wyjść i zjeść u Enza.

Pomysł przyszedł mu do głowy, gdy zbliżał się do portu na zwyczajowy

spacer. Może mógł zrobić coś, co zwiększyłoby szansę, że Giovannini wreszcie wyjawí Mimì, po co kręci się nieustannie po morzu, i potwierdzi podejrzenia komisarza o jej uwikłanie w handel diamentami.

Montalbano poszedł dłuższą trasą i kiedy znalazł się na wysokości „Vanny”, skierował się stanowczym krokiem w stronę trapu. Wszedł, zatrzymał się na pokładzie.

– Jest tam kto?

Z kokpitu odpowiedział kapitan Sperli.

– Kto tam?

– Komisarz Montalbano.

– Proszę, niech pan zejdzíe.

Zszedł przez luk pod pokład. Kapitan kończył jeść. Obok niego stał Digiulio, który mu usługiwał do stołu.

– Ojej – powiedział Montalbano. – Widzę, że przeszkadzam w posiłku, wrócę później.

– Ależ skąd, już skończyłem. Napije się pan ze mną kawy?

– Bardzo chętnie.

– Proszę siadać.

– Pani Giovannini nie ma?

– Jest, ale odpoczywa. Jeśli pan sobie życzy...

– Ależ nie, proszę jej pozwolić się przespać. Dowiedziałem się, że mieliście kłopoty z paliwem. Jak wygląda teraz sytuacja?

– Wygląda na to, że to był fałszywy alarm.

– W związku z tym macie zamiar odpłynąć jak najszybciej?

– Jeśli jutro, zgodnie z obietnicami, zostanie nam wydane ciało biednego Chaikriego, urządzimy mu pogrzeb i odpłyniemy po południu.

Digiulio przyniósł kawę. Wypili ją w milczeniu. Potem Montalbano zaczął przetrząsać kieszenie. Żeby mieć do nich lepszy dostęp, wyciągnął plik kartek, które dał mu Catarella, i położył je na stole. Na pierwszej stronie widniał napis wielkimi literami „Kimberley Process”. Jeszcze nie miał czasu przeczytać tych materiałów, ale cokolwiek zawierały, musiały coś znaczyć dla kapitana, skoro Giovannini trzymała w sejfie teczkę opatrzoną takim samym napisem. I rzeczywiście gdy tylko spojrzenie kapitana padło na kartkę, Montalbano zobaczył, że podskoczył. Komisarz wyciągnął w końcu z kieszeni paczkę papierosów, zapalił jednego i włożył kartki z powrotem do kieszeni.

Naturalnie, Sperli się zachmurzył.

– Jeśli chce pan porozmawiać z panią Giovannini, mogę...

– Żartuje pan? – powiedział Montalbano, wstając. – To nic ważnego. Wrócę później. Do widzenia.

Wdrapał się na pokład i zszedł po trapie na nabrzeże. Sperli się nie poruszył, był jak skamieniały.

Może należało wreszcie przeczytać, o co chodzi z tym Kimberley Process, skoro wywarło to na kapitanie takie wrażenie.

Ale zrobi to potem, w pracy. Najpierw musiał skończyć spacer.

Kiedy siedział na swoim płaskim kamieniu, nagle, z gwałtownością

wściekłego psa, opadły go myśli o Laurze. Były tak intensywne, że poczuł fizyczny ból. Być może dlatego, że przez jakiś czas zdołał o niej nie myśleć, skupiając się wyłącznie na śledztwie, i teraz wróciły do niego z tym większą siłą. Brak kontaktu z Laurą stał się bolesny niczym rozdarcie, niczym otwarta rana.

Nie, nie mógł do niej zadzwonić, nie wolno mu. Ale mógł zrobić przynajmniej jedną rzecz, która nie spowoduje komplikacji.

Wsiadł do samochodu i skierował się do kapitanatu.

Przed wejściem stał portier i dwaj marynarze, pogrążeni w rozmowie. Montalbano podjechał jeszcze kawałek i zaparkował tak, żeby we wstecznym lusterku móc obserwować wejście.

Siedział przez kwadrans, paląc papierosa za papierosem. Potem wróciła mu przytomność umysłu i zawstydził się przed sobą samym.

Co tam robił? Nie zachowywał się tak nawet jako piętnastoletni chłopak, a zebrało mu się na takie manewry w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat? Pięćdziesięciu ośmiu, Montalbà! Nie zapominaj o tym, a może rzeczywiście starość już cię ogłupia?

Upokorzony, zasmucony, zapalił silnik i pojechał do komisariatu.

Gdy tylko usiadł i wyciągnął kartki Catarelli, żeby zacząć lekturę, zadzwonił telefon.

– Oj, panie komisarzu! Bo tu by był na telefonie pan Lattes, który...

– Nie ma mnie!

Krzyknął tak głośno, że Catarella aż jęknął.

– O Matko Boska, panie komisarzu! Ucho mi pan podziurawił!

Odłożył słuchawkę. Nie czuł się na siłach rozmawiać z Lattesem. Jak mógł się przed nim usprawiedliwić? Jak poprosić o wybaczenie? Jakimi słowami? Dlaczego nie posłuchał rady Livii i zachował się wobec niego jak ostatnia świnia?

Kimberley Process to był...

Telefon znowu zadzwonił.

– Panie komisarzu, przeproszenia się upraszam, ale bo tu by była jedna pani, która miała przyjemność z panem osobiście we własnej osobie...

– Jest przy telefonie?

– Nie, na miejscu przebywa.

Nie miał czasu, musiał koniecznie przeczytać te informacje.

– Powiedz jej, żeby przyszła jutro rano.

Kimberley Process był...

Znowu telefon.

– Panie komisarzu, przeproszenia i wyrozumienia się upraszam, ale ta pani mówi tak, że to jest bardzo pilne.

– Powiedziała, jak się nazywa?

– Tak, proszę pana. Vanna Digiulio.

17

Powiedzieć, że był zdumiony, to przesada, poczuł raczej mały dreszcz satysfakcji, że tak dobrze odgadł, a w istocie był pewien, że prędzej czy później rzekoma Vanna zjawi się, aby wyjaśnić mu całą sprawę. Jediną rzeczą, która naprawdę go zdumiała, było to, że Catarella po raz pierwszy w życiu nie przekreślił podanego imienia ani nazwiska.

Kiedy ją zobaczył, przez moment myślał, że kobieta stojąca przed nim nie jest tą, którą poznał. I że sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana, niż sądził. Ile było kobiet nazywających się Vanna Digiulio?

Ta była blondynką, nie nosiła okularów, miała piękne błękitne oczy, a przede wszystkim nie poruszała się jak zbity pies, co wtedy wzbudziło w nim taką litość. Wręcz przeciwnie, zachowywała się i chodziła jak osoba energiczna i pewna siebie.

Uśmiechnęła się do Montalbana, podając mu rękę. I on też mimowolnie się uśmiechnął.

– Czekałem na panią – powiedział.

– Byłam tego pewna – odpowiedziała.

Remis. Znała się na szermierce słownej. Montalbano wskazał jej krzesło przed biurkiem. Siadła, stawiając na ziemi swoją wielką torbę.

Zacząła mówić, nie czekając, aż komisarz ją o coś zapyta.

– Nazywam się Roberta Rollo, mam stopień równy pańskiemu, ale od trzech lat pracuję bezpośrednio dla ONZ.

Zatem chodziło o grubszą sprawę. A ona mogła być mu równa stopniem,

ale na pewno znaczyła więcej niż zwykły komisarz policji. Chciał się o tym przekonać.

– To pani zmusiła kwestora, aby oddał mi śledztwo?

– Nie osobiście. Ale pociągnęłam za odpowiednie sznurki – odparła z uśmiechem.

– Mogę zadać pani kilka pytań?

– Jestem pana dłużniczką. Proszę pytać.

– Chaikri był pani informatorem na „Vannie”?

– Tak.

– Porucznik wspomniał mi, że chodziło o sprawy związane z terroryzmem. Ale ja w to nie uwierzyłem.

– To nie jest pytanie, tylko stwierdzenie. Ale odpowiem i tak. Dobrze pan zrobił, że w to nie uwierzył.

– Bo naprawdę chodziło o handel diamentami.

Otworzyła szeroko oczy, które zmieniły się w dwa błękitne jeziora.

– Jakim sposobem tak szybko pan się domyślił? Powiedziano mi, że jest pan dobry, ale nie spodziewałam się, że...

– Pani też jest niezła, uwierzyłem całkowicie w tę historię, że jest pani trochę nieporadną siostrzenicą bogatej właścicielki jachtu... wie pani? Nawet się nad panią zacząłem trochę litować. Ale dlaczego dostarczyła mi pani zarazem pośrednich wskazówek, które pozwoliły mi zrozumieć, że jest pani kimś innym niż osobą, za którą się podaje?

– Nie widzę powodu, aby panu wszystkiego nie opowiedzieć. Tego ranka,

kiedy się spotkaliśmy i pomógł mi pan w nieoczekiwanym kłopotcie, przedstawił się pan jako komisarz Montalbano. Prawdziwy zbieg okoliczności, bo właśnie pana wskazano mi jako współpracownika w akcji, którą mieliśmy przeprowadzić.

– To znaczy?

– Dowiedzieliśmy się, że Émile Lannec...

Montalbano potrząsnął głową.

– Co takiego?

– Nie nazywał się Lannec, ale Jean-Pierre David.

Kobieta aż podskoczyła.

– Czyli Lannec to David!

– Znała go pani?

– Oczywiście. Nie wiedzieliśmy jednak, że to ta sama osoba. Ale jak pan to odkrył?

– Potem to wyjaśnię. Proszę mówić dalej.

– A zatem wiedzieliśmy, że Lannec wyjechał z Paryża, żeby przybyć tutaj. Wobec tego...

– Jaka była rola Lanneca?

– Proszę o trochę cierpliwości. Z tego, co nam wiadomo, Lannec był kimś w rodzaju człowieka od trudnych sytuacji. Interweniował, gdy pojawiały się jakieś kłopoty.

– A kiedy był Davidem, czym się zajmował?

– Był jednym z szefów organizacji, ważną szyszką. Potem otrzymałam

wiadomość od Chaikriego. Informował mnie, że z powodu złej pogody „Vanna” kieruje się do Vigaty. Jak się pan zapewne domyślił, zarówno „Vanna”, jak i „As Kier” należą do tej samej organizacji, ale mają różne zadania.

– Jakże?

– „Vanna” gromadzi diamenty, „As Kier” je segreguje. Dla nas sytuacja, w której oba jachty znalazły się w tym samym porcie i w dodatku obecny tu był też Lannec – a co dopiero, gdybyśmy wiedzieli, że w istocie chodzi o Davida – stanowiła niepowtarzalną okazję. Dlatego też natychmiast ruszyłam do Vigaty. Chciałam się przekonać, jak się sprawy mają, i zaraz potem, jeśli miało to sens, zjawić się u pana, żeby ich wszystkich zgarnąć. Było jednak wielkie „ale”. Ci ludzie wiedzą, kim jestem, że śledzę ich od dłuższego czasu... i nie mają żadnych oporów przed popełnieniem mordu; już to widziałam. Dlatego zostawiłam panu kilka poszlak, na wypadek gdyby coś mi się stało.

– To już zrozumiałem. Ale dlaczego pani zniknęła?

– Z powodu nieoczekiwanego znalezienia trupa Lanneca w pontonie. Zrozumiałam, że zrobi się wielkie zamieszanie, co nie było mi na rękę. Poza tym zabicie Lanneca, które na pewno miało miejsce na „Asie Kier”, zmieniało obraz sytuacji. Musiałam się zastanowić.

– Przepraszam, jaki interes mieli ci z „Vanny” w wyłowieniu trupa Lanneca i przetransportowaniu go na brzeg? Jeśli został zabity właśnie przez ich współników z „Asa Kier”...

– Nie rozpoznali go! Nie mieli jak! Wyłowienie go z morza było wielkim błędem, i rzeczywiście, Chaikri doniósł mi o strasznej kłótni między

Giovannini i Sperli a Zigamim i Petitem... Wie pan, kim oni są?

- Tak, rzekomy właściciel „Asa Kier” i jego sekretarz.
- Pokłócili się właśnie o to, że „Vanna” odtransportowała zwłoki do portu.
- Całe załogi są w to wciągnięte?
- Na „Asie Kier” tak, na „Vannie” tylko Alvarez wie, o co chodzi.

To dlatego Giovannini nie chciała, żeby zamordowano Chaikriego na pokładzie jej jachtu.

- Dlaczego tylko on?
- Alvarez pochodzi z Angoli, a nie z Hiszpanii, jak podaje. Podobno to właśnie on zaproponował zmarłemu panu Giovanniniemu wejście w interes z diamentami.

– Zrozumiałem. A Chaikri?

– Był naszym agentem, którego zdołaliśmy wkręcić w ich szeregi. Prawdopodobnie to, że dał się aresztować dwa razy w ciągu jednej doby, wzbudziło czyjeś podejrzenia. Wie pan, jak go zamordowano?

– Tak, najpierw wsadzono mu głowę do wiadra z wodą, żeby stworzyć wrażenie, że się utopił, a potem...

– Nie – powiedziała. – Także po to, aby stworzyć takie wrażenie. Ale przede wszystkim jako narzędzie tortury. Najwyraźniej nie wytrzymał i powiedział im wszystko.

– Przepraszam, ale...

– Mówmy sobie na ty.

– Możesz mi wyjaśnić, co ma z tym wszystkim wspólnego ONZ?

– Słyszałeś kiedyś o Kimberley Process?

– Tak, ale jeszcze nie udało mi się...

– Powiem ci to w skrócie. Chodzi o międzynarodową organizację, stworzoną w dwa tysiące drugim roku w celu kontroli eksportu i importu diamentów. Do dzisiaj przystąpiło do niej sześćdziesiąt dziewięć państw. Ale jak się pewnie domyślasz, trzy–cztery procent wydobytych diamentów wciąż trafia do przemytu.

– Zgoda. Ale ONZ?

– ONZ interweniuje, żeby przeszkodzić sytuacji, w której nielegalnie sprzedawane kamienie stają się diamentami konfliktu.

Diamenty konfliktu? Co to niby miało znaczyć? Roberta wyczytała pytanie z jego twarzy.

– To diamenty przemywane z regionów kontrolowanych przez siły antyrządowe, rebeliantów, lokalne frakcje etniczne lub polityczne, opozycję wszelkiego typu... Za otrzymane sumy, ogromne, mogą kupić każdą broń, jaką zechcą.

– A teraz, twoim zdaniem, jak wygląda sytuacja?

– Myślę, że trafia nam się wspaniała okazja. Być może niepowtarzalna.

– Dlaczego?

– „As Kier”, który na pewno wiezie ładunek diamentów, jest zablokowany w porcie z powodu awarii silników. Wobec tego wzywają Lanneca, aby przejął towar i prawdopodobnie zawiózł go do Paryża. Lannec przyjeżdża i zostaje zamordowany.

– Z jakiego powodu, twoim zdaniem?

– To nam powie Zigami, kiedy go aresztujemy.

– Nie masz żadnej hipotezy?

– Sądzę, że Zigami po prostu wykonał rozkaz. Zapytałam ludzi, którzy wiedzą więcej ode mnie. Podobno inni szefowie organizacji przestali mu ufać. A może są to jakieś wewnętrzne rozgrywki, nie mam pojęcia. Zatem w tej chwili sytuacja wygląda tak: diamenty znajdują się wciąż na „Asie Kier”. Ale to nie koniec, część musi też być na „Vannie”, bo jacht motorowy nie mógł się z nią spotkać na otwartym morzu, aby je przekazać. Podejrzewam, że szukają na gwałt kogoś, kto wybawi ich z kłopotu.

Niespodziewana myśl, która przyszła Montalbanowi do głowy, sprawiła, że podskoczył na krześle.

– Co się stało?

– Sądzę, że już znaleźli takiego człowieka.

– I kto to?

– Nazywa się Mimì Augello. To mój zastępca.

Wytrzeszczyła oczy.

– Udało ci się go do nich wkręcić? Jak to zrobiłeś?

– On... powiedzmy, że... że jest obdarzony... no cóż, ma nadzwyczajne zalety.

– W jakim sensie?

Montalbano postanowił zmienić temat.

– Najpierw wyjaśnij mi, co masz zamiar zrobić.

– Dobrze, ale potem powiedz, w jakim ty jesteś punkcie.

– Zgoda.

– To, co chcę zrobić, jest bardzo proste; udało mi się uzyskać nakaz rewizji na obu jachtach. Jeśli Straż Finansowa, z której komendantem już rozmawiałam, znajdzie diamenty, aresztuje wszystkich pod zarzutem współudziału. Trzeba to zrobić jeszcze dzisiaj, bo mogliby odpłynąć w nocy albo jutro rano.

– Widzę pewien problem – powiedział Montalbano. – A co, jeśli ci z „Asa Kier”, widząc zamieszanie na nabrzeżu, nabiorą podejrzeń i uciekną? Mają potężne silniki, nasze jednostki ich nie dogonią.

– Masz rację. Co proponujesz?

– Uniemożliwić im wypłynięcie z portu.

– Jak?

– Ustawmy u wyjścia z portu dwa kutry motorowe kapitanatu. Są uzbrojone i na pewno mogą zablokować jacht motorowy.

– Ty się tym zajmiesz czy ja mam to zrobić?

– Lepiej ty załatw to z kapitanatem, masz większy autorytet.

– Dobrze. Teraz opowiedz mi o swoim zastępcy.

– Udało mu się pozyskać ich zaufanie przy pomocy porucznik Belladonny z kapitanatu, która przedstawiła go tym z „Vanny” jako pełnomocnika spółki zajmującej się dostawami paliwa.

Roberta Rollo skrzywiła usta.

– Słaba przykrywka.

– Poczekaj. Użyliśmy wymówki, że jakość dostarczonego paliwa nie była

dobra i przeciek mógł uszkodzić silniki. W związku z tym mój zastępca pobrał próbki paliwa do kontroli. Jednocześnie zaprzyjaźnił się z Giovannini.

– Jak?

– Intymnie. I dał jej do zrozumienia, że dla zarobku jest gotów na wiele. Wobec tego Giovannini zaproponowała mu, żeby pracował dla niej.

– Gdzie?

– Początkowo była mowa o Afryce Południowej, potem o Sierra Leone.

– Sierra Leone to newralgiczny punkt handlu diamentami. I co zrobił twój zastępca?

– Zgodził się.

– I ma zamiar z nimi odpłynąć? – zapytała zdziwiona Rollo.

– Skądże! Dzisiaj po południu, o piątej, ma spotkanie z Giovannini i ze Sperli. Spróbuje z nich wyciągnąć jak najwięcej informacji.

Kobieta siedziała przez chwilę w milczeniu, po czym powiedziała: – Może lepiej poczekać, aż nam powie, czego się dowiedział, zanim przystąpimy do działania.

– Też tak sędę.

– A potem jak twój zastępca się z tego wyplącze?

– Dzięki aresztowaniu. Tak samo, jak zrobił Chaikri.

Rollo zaczęła się śmiać.

– Wydaje mi się, że to dobry pomysł.

Wstała.

– Spotkamy się około szesnastej – oświadczyła. – Pójdę teraz porozmawiać z komendantem kapitanatu, a potem wrócę do Straży Finansowej, żeby ustalić jeszcze pewne sprawy.

Montalbano pozazdrościł jej oczom, które miały ujrzeć Laurę.

Gdy tylko Roberta wyszła, komisarz zawołał Fazio.

– Siadaj.

Potem zobaczył, że Fazio ma twarz jak chmura gradowa.

– Co się dzieje?

– Kiedy mi pan powiedział, że mamy aresztować komisarza Augella, to były żarty, prawda?

– Nie.

– Ale dlaczego? Co zrobił? Ja do komisarza Augella nie żywię jakiejś wielkiej sympatii, ale nie sądzę, aby był osobą...

– Musimy go aresztować dla jego własnego dobra.

Fazio z rezygnacją rozłożył ramiona.

– Gdzie? – spytał.

– W porcie. I musicie narobić jak najwięcej zamieszania.

– Ale dlaczego nie może go pan aresztować osobiście? Tutaj, w komisariacie? Nie wywołując skandalu? Cokolwiek zrobił, ten człowiek nie zasłużył sobie...

– Jeśli pozwolisz mi mówić, wyjaśnię ci, dlaczego i jak trzeba go aresztować.

Mimì Augello wyłonił się na pokład „Vanny” chwilę po szóstej. Towarzyszył mu kapitan Sperli. Mimì zszedł po trapie, kapitan został na jachcie.

Gdy tylko Augello postawił stopę na nabrzeżu, wyciągnął z kieszeni chustkę i wydmuchał w nią nos. Potem skierował się w stronę swojego samochodu.

Nie zrobił jeszcze nawet trzech kroków, gdy z piskiem opon zahamował przed nim radiowóz na sygnale i zagroził mu drogę.

Mimì rzucił się do przodu, ominął samochód i zaczął biec w stronę północnego wyjścia z portu.

Tymczasem z radiowozu wyskoczyli Fazio i Gallo z rewolwerami w rękę i popędzili za nim.

– Stać! Policja! – krzyknął w pewnej chwili Fazio.

A ponieważ tamten uciekał dalej, strzelił ostrzegawczo w powietrze. Mimì się nie zatrzymał.

Wtedy agent Straży Finansowej, stojący na straży północnego wejścia, wymierzył karabin w Augella: – Stać albo strzelam!

Augello zmartwiał.

Strażnik mógł naprawdę do niego strzelić, nie wiedział przecież, że to wszystko tylko przedstawienie. Zatrzymał się natychmiast i podniósł ręce do góry.

– Panie komisarzu, nie mógł pan biec wolniej? – spytał zdyszany Fazio, zakładając mu kajdanki.

Augello został poprowadzony do radiowozu między Faziem a Gallem. Przyglądała się temu cała załoga „Asa Kier”, która zebrała się na pokładzie, ściągnięta odgłosem strzału i krzykami. Obserwatorów na „Vannie” było tylko dwoje, Giovannini i kapitan Sperli, ale to zupełnie wystarczyło.

– Matko Boska! – powiedział zziębnięty Mimì do Montalbana, który nie wysiadł z samochodu. – Ten strażnik śmiertelnie mnie wystraszył!

W komisariacie czekała już Rollo. Komisarz przedstawił ją Augellowi i Faziowi, wyjaśniając, kim jest.

Potem Mimì zwrócił się do Montalbana.

– Czy ty dzisiaj byłeś na „Vannie”?

– Tak. Chciałem, żeby się zaniepokoiłi, i dzięki temu kiedy ty o piątej...

– Wyszło ci znakomicie! Co tam zaniepokojeni! Livia...

Wyrwało mu się! Zaciął się, zarumienił, zerknął na Rollo, która uśmiechnęła się z sympatią.

– Niech się pan nie martwi.

– Giovannini w pewnej chwili powiedziała kapitanowi, że jest pewna, że wszystkiego się domyśliłeś i nie można ci zostawić czasu do działania. Ale co mu powiedziałeś?

– Niby przypadkiem pokazałem mu, że mam w kieszeni dossier Kimberley Process, o którym ty mi wspomniałeś. I oni pomyśleli, że wiem o tym więcej niż w rzeczywistości... Ale opowiedz, jak poszło.

– No cóż, gdy tylko przyszedłem, bardzo zdenerwowana Giovannini powiedziała mi, że zmienili zdanie.

– Nie chcieli cię już zatrudnić?

– Chcieli, ale chwilowo w innym charakterze.

– To znaczy?

– Miałem zawieźć do Paryża walizkę, jadąc określoną trasą, którą mieli mi objaśnić w nocy, tuż przed odpłynięciem. Mają zamiar wypłynąć jutro o świcie. Po oddaniu walizki miałem wsiąść do samolotu i polecieć do Sierra Leone.

– Co powiedziałeś?

– Że się zgadzam.

– Jaką wymówkę znalazłeś, żeby zejść na brzeg?

– Że muszę pójść do komisariatu po paszport, bo o szóstej zamykają biuro.

– Powiedzieli, czy chodzi o walizkę, czy neseser? – spytała Rollo.

– Tak. O dużą walizkę, której zawartość miałem potem przełożyć do dwóch mniejszych.

Rollo zaśmiała się przez zaciśnięte zęby.

– Najwyraźniej włożyli do jednej walizki diamenty z obu jachtów. I mieli zamiar posłużyć się komisarzem Augellem zamiast Lanneca, to jasne. A jednak... powierzali mu ogromną fortunę... walizkę nieszlifowanych diamentów... bez żadnej gwarancji. Wydaje mi się to dziwne.

– Chwileczkę – wtrącił Mimì. – Giovannini powiedziała mi, że wyjadę do Paryża jutro późnym rankiem. Miał po mnie przyjechać samochód, szofer i jeszcze jedna osoba.

– A zatem cała podróż miała się odbyć samochodem?

– Tak.

– Podsumowując – powiedziała Rollo – mamy pewność, że diamenty są wciąż na pokładzie. Musimy działać natychmiast.

Popatrzyła na zegarek. Była za piętnaście siódma.

– Teraz wam powiem, jaki jest plan działania.

18

Również o ósmej, kiedy było jeszcze dość światła, samochód służbowy z kapitanatu miał się zatrzymać przed trapem „Asa Kier”. Jeden z oficerów powinien wejść na pokład pod jakimś pretekstem, żeby sprawdzić, ilu członków załogi znajduje się na pokładzie, i poinformować o tym przez komórkę Rollo.

Ona, pozostając w swoim samochodzie zaparkowanym na nabrzeżu, wystarczająco daleko, aby nie rzucać się w oczy, ale dość blisko, by wszystko widzieć, kierowała całą operacją. Informacja przekazana przez oficera miała duże znaczenie, bo wszyscy członkowie załogi „Asa Kier” byli już odpowiedzialni za co najmniej dwa morderstwa i można się było spodziewać po nich najgorszego. Takich środków ostrożności nie stosowano na „Vannie”, gdzie w handel diamentami były zamieszane tylko trzy osoby, Giovannini, kapitan Sperli i stary Alvarez.

Liczbę osób obecnych na pokładzie Rollo miała od razu przekazać Montalbanowi, czekającemu w pierwszym z dwóch samochodów służbowych komisariatu, prowadzonym przez Galla. Zarówno w pierwszym, jak i w drugim samochodzie, dowodzonym z kolei przez Fazia, znajdowali się czterej policjanci.

Dwa samochody miały wjechać na teren portowy jak najszybciej, ale bez włączania syreny, i zatrzymać się odpowiednio przed „Asem Kier” i przed „Vanną”. Policjanci mieli wyskoczyć w biegu, w pełnym uzbrojeniu, opanować niczym piraci oba jachty i przejąć nad nimi kontrolę.

Im bardziej działał na ich korzyść element zaskoczenia, tym lepiej.

Najtrudniejsze zadanie należało do ludzi z pierwszego samochodu, którzy mieli się zająć jachtem motorowym. Było prawdopodobne, że spotkają się z czynnym oporem.

Po obezwładnieniu wszystkich osób na pokładzie Rollo miała wezwać Straż Finansową, czekającą przy północnym wejściu, żeby dokonała rewizji w poszukiwaniu walizy z diamentami.

Jednak Montalbano, nie wiedząc, jak się sprawy potoczą, ustalił, że Mimì Augello i kilku jego ludzi będą tymczasem przetrząsać wszystkie knajpy w Vigacie, z nakazem aresztowania każdego marynarza z „Vanny” lub „Asa Kier”, którego napotkają.

Każdego, nawet tych, którzy zdaniem Rollo nie byli wciągnięci w lewe interesy. Lepiej było dmuchać na zimne.

Na papierze plan wydawał się bezbłędny.

Jednakże Montalbano, z każdą chwilą, gdy zbliżał się początek akcji, czuł się coraz bardziej zdenerwowany. I nie umiając zrozumieć powodu swojego niepokoju, miotał się w samochodzie i dyszał, jak gdyby brakowało mu powietrza.

Byli w czwórkę, on obok Galla, a z tyłu Galluzzo i inteligentny młody agent Martorana. Komisarz miał w kieszeni pistolet, pozostała trójka była uzbrojona w karabiny maszynowe. Gallo trzymał włączony silnik, gotów ruszyć niczym na wyścig Formuły 1.

Montalbano otworzył drzwiczki.

– Chce pan wysiąść? – spytał zdziwiony Gallo.

– Nie. Chcę wypalić papierosa.

– To lepiej niech pan zamknie drzwiczki i otworzy okno. Jeśli będę musiał ruszyć...

– Dobrze, już dobrze – powiedział komisarz, rezygnując ze swojego zamiaru.

W tej samej chwili zadzwoniła jego komórka.

– Porucznik Belladonna jest teraz na pokładzie jachtu motorowego – zakomunikowała Rollo.

Laura! Boże święty, nie pomyślał, że ją w to wmieszają.

– Co powiedziała? – spytał Gallo.

A jeśli ci bandyci źle zareagują? Jeśli ją skrzywdzą? Jeśli...

– Co powiedziała? – spytał znowu Gallo.

– Że... że... poru... na pokładzie. Co za pierdolony pomysł! Co za pierdoleni idioci!

Komisarz był tak rozwścieczony, że Gallo już nie nalegał i nie odważył się więcej pytać.

Jak mogli powierzyć tak niebezpieczne zadanie takiej młodej dziewczynie? Oszaleli?

Komórka znowu zadzwoniła.

– Na pokładzie jest pięciu, dwóch w maszynowni i trzech w kokpicie, ale porucznik...

Montalbano nie słuchał dalej.

– Jedź!

Krzyknął tak głośno, że ogłuszył samego siebie i pozostałych trzech

pasażerów. Podczas gdy Gallo ruszał z piskiem opon, komisarz popatrzył we wsteczne lusterko; samochód Fazia był tuż za nimi, niemal przyklejony.

Rollo wyliczyła, że dojazd od północnego wejścia do jachtu zajmie niespełna cztery minuty, ale Gallo zaoponował, że jemu wystarczy połowa tego czasu. Rollo zdecydowała, że aby nie budzić podejrzeń, ruch w porcie miał się toczyć normalnie.

W rezultacie gdy tylko samochód Montalbana wyjechał z za rogu, gdzie się ukrywał, napotkał tira na drodze.

Kierowca wysiadł z szoferki i pokazywał dokumenty agentowi Straży Finansowej.

Montalbano nie widział już na oczy ze wściekłości.

W mgnieniu oka otworzył drzwiczki, wyskoczył z samochodu, i przeklinając, rzucił się pasem ruchu dla pieszych w stronę „Asa Kier”.

Już z daleka zobaczył coś, czego nie chciałby zobaczyć.

Marynarz z jachtu motorowego właśnie odczepił cumę od pachołka na nabrzeżu i wracał na pokład. A ten głuchy, uporczywy hałas to był szum krwi w jego uszach czy ryk potężnych silników „Asa Kier”?

Przyspieszył jeszcze, czując przeszywający ból w boku.

Nie wiedząc jak, znalazł się na szczycie trapu porzuconego na nabrzeżu, pokład jachtu był na tym samym poziomie, ale już oddalony o ponad pół metra. Uciekali.

Komisarz zamknął oczy i skoczył.

Pojął, że ma w ręce pistolet, ale nie pamiętał, kiedy wyciągnął go z kieszeni. Działał instynktownie.

Wylądował na rufie, całkowicie odsłonięty. Pierwszy strzał, który oddano do niego z kabiny, przeleciał mu koło głowy. Odpowiedział dwoma strzałami na chybił trafił w stronę sterówki, gdy skoczył schować się za wielkim zwojem liny okrętowej. Nie była to jednak szczególnie dobra kryjówka.

Zobaczył, że jest blisko wjazdu prowadzącego pod pokład.

Musiał się tam dostać. Z kabiny znowu strzelono, ale jacht, nabierając szybkości, mocno się kołysał i trudno było wziąć kogoś na cel.

Wtedy komisarz, oddając kolejne trzy strzały jeden po drugim, wykonał wielki skok i stoczył się po schodkach prowadzących pod pokład.

Wstał i oniemiał.

Przed nim, przyklejona do ściany, stała Laura, wpatrując się w niego bez słowa, z oczami szeroko rozwartymi ze strachu.

Dlaczego wciąż była na pokładzie?

Na ułamek chwili utonął w błękicie jej oczu.

Ten moment wystarczył mężczyźnie znajdującemu się za komisarzem, by przycisnąć lufę rewolweru do jego pleców.

– Jeśli się poruszysz, zabiję cię – powiedział z lekkim francuskim akcentem.

To musiał być Petit, sekretarz Zigamiego.

Nie zdawał sobie jednak sprawy, jak desperacką odwagą natchnęły komisarza oczy Laury.

Ciało komisarza nie poruszyło się, ale jego lewa stopa podniosła się jakby bezwiednie z szybkością kopyta dzikiego zwierzęcia i z ogromną siłą trafiła

Francuza prosto w genitalia. Mężczyzna z bólu zgiął się wpół, wypuszczając broń z ręki. Na wszelki wypadek komisarz poczęstował go jeszcze ciosem pięścią w twarz. Francuz upadł na ziemię.

Potem jednym skokiem Montalbano znalazł się przy Laurze i popchnął ją do stóp schodków. Schylił się i wziął z podłogi pistolet Francuza. Teraz mógł strzelać, nie oszczędzając kul.

– Wejdę na schodki pierwszy i zacznę ostrzeliwać sterówkę. Po pierwszym strzale biegnij na mostek i wskocz do wody, tylko z boku, żeby ominąć śruby okrętowe. Zrozumiałaś?

Kiwnęła potakująco głową. Potem, z wielkim trudem otwierając usta, spytała:

– A ty?

– Ja skoczę za tobą. Idź.

Ona położyła mu jednak rękę na ramieniu. Wtedy Montalbano zrozumiał. Pochylił się i złożył lekki pocałunek na ustach dziewczyny.

Potem wczołgał się po sześciu schodkach i zaczął strzelać. Laura przemknęła obok niego i stracił ją z oczu. Ze sterówki odpowiadali na jego strzały i nie miał ani sekundy do stracenia.

Podniósł się, wykonując susy niczym kangur, dopadł burty, przeskoczył ją i rzucił się do wody.

Od razu zrozumiał, że Laury nie ma w pobliżu, bo wystarczyło te kilka sekund różnicy, nim sam wyskoczył, aby szybkość jachtu motorowego stworzyła między nimi duży dystans.

Poza tym zapadła już noc. Orientując się po dalekich światłach, które

widział, komisarz zrozumiał, że znajduje się mniej więcej w połowie basenu portowego.

Wyrzucił broń, która nie była mu już potrzebna, uwolnił się od butów i marynarki, po czym zaczął płynąć w górę białawego śladu zostawionego na wodzie przez jacht.

Zawołał głośno:

– Laura, Laura!

Milczenie. Dlaczego nie odpowiadała? Może ogłuszyło ją zderzenie z wodą?

Chciał znowu zawołać, gdy nagle u wyjścia z portu wybuchła gwałtowna strzelanina. Wyglądało to jak prawdziwa bitwa morska.

Zapewne jacht próbował sforsować blokadę i przedostać się na otwarte morze.

Nagle rozległa się bardzo głośna eksplozja i woda dookoła rozświetliła się na czerwono od odblasku pożaru.

„Żegnaj, «Asie Kier»” – pomyślał komisarz, być może trafiono jacht w zbiornik benzyny.

I właśnie w tym chybotliwym świetle, które samej wodzie nadawało pozór płomienia, Montalbano ujrzał jakieś dwadzieścia metrów dalej ciało Laury, kołyszące się na powierzchni wody.

Przerażenie, jakie odczuł, nie przeszkodziło mu popłynąć ku niej z największą szybkością, na jaką umiał się zdobyć.

– O Boże, o Boże... proszę cię, o Boże...

Modlił się? Sam nie wiedział, ale jeśli tak było, robił to po raz pierwszy w życiu.

Dopłynął do niej, miała otwarte oczy, jak gdyby wpatrywała się w pierwsze gwiazdy, jej usta były otwarte, ledwie oddychała.

Nawet nie zrozumiała, że Montalbano jest teraz koło niej i podtrzymuje ją nad wodą ramieniem przełożonym pod jej plecami.

I że jego dłoń dotyka straszliwej rany, która rozszarpała ciało Laury.

Musieli ją trafić, gdy skakała do morza.

Najważniejsze było jednak to, że oddycha, trzeba ją było jak najszybciej dotransportować na brzeg.

Komisarz zanurkował pod wodę, przesunął się pod ciało dziewczyny i wynurzył z powrotem.

Teraz byli do siebie zwrócenii plecami, lewym ramieniem Montalbano podtrzymywał ją nad wodą, podczas gdy drugiego ramienia i nóg używał do posuwania się przed siebie.

Po niespełna pięciu minutach zapalił się reflektor, dał się słyszeć odgłos silnika motorówki na niskim biegu i rozległ się głos Fazia: – Panie komisarzu, niech ją pan zostawi. My ją weźmiemy.

Później w komisariacie Montalbano przebrał się i włożył buty, po które Gallo pojechał do Marinelli. Zanim zjawiała się szczęśliwa i triumfująca Rollo, zdążył wypić pół butelki whisky, którą kupił dla niego Catarella.

Gratulacje, panie komisarzu. Dzięki pana odwadze...

Cała załoga „Asa Kier” zginęła w wyniku eksplozji.

Dlaczego nie pozwolili mu wsiąść do karetki z Laurą?

Straż Finansowa odnalazła walizkę z nieoszlifowanymi diamentami. Aresztowano Giovannini, kapitana Sperli i Alvareza.

Bardzo cierpi? Uratują ją?

Zadaliśmy handarzom diamentami wielki cios. Nie pozbierają się po nim szybko.

W moim raporcie dla ONZ-u podkreślę pana cenny wkład w akcję.

Chciała, żeby ją pocałował. Może przeczuwała, co się zdarzy?

Jutro urządzimy konferencję prasową w kwesturze.

Wzrok, jakim na niego popatrzyła, gdy ujrzała go na „Asie Kier”!

Lepiej sprawy nie mogły się ułożyć.

Naprawdę? Lepiej dla kogo?

Wyszedł z komisariatu po północy.

W ciągu tych wszystkich godzin ledwie otworzył usta, aby odpowiedzieć na kilka pytań. Fazio musiał zauważyć, że coś jest nie tak, bo od czasu do czasu rzucał na niego zatroskane spojrzenie.

Zadał Rollo tylko dwa pytania.

– Wiedziałaś, że porucznik Belladonna była jeszcze na pokładzie?

– Oczywiście! I powiedziałam ci to!

To prawda. Teraz sobie przypomniał. Rollo zaczęła zdanie od „ale porucznik...”, tylko że on już dalej nie słuchał.

Jego drugie pytanie brzmiało:

– I kazałabyś strzelać do jachtu, chociaż wiedziałaś, że porucznik jest na pokładzie?

– Nie. Zaleciłam od razu Straży Pogranicza, aby nie otwierali ognia, chociaż oznaczało to fiasko operacji. Ty jednak wszystko rozwiązałeś. Gdy zobaczyłam, że skaczecie do wody, powiedziałam im, że mogą strzelać.

Nie, nie mógł wrócić do Marinelli, nie wiedząc, co się dzieje z Laurą. Wsiadł do samochodu i skierował się do Montelusy.

O tej godzinie nie można było wejść do szpitala, ale może dowie się czegoś od tych z pogotowia ratunkowego.

Jednak gdy tylko tam dotarł, zrozumiał, że nic z tego. Jakiś autobus pełen turystów stoczył się w osuwisko i było ze trzydziestu rannych, którzy pilnie wymagali pomocy.

Wyszedł zniechęcony z pogotowia. Kierował się na parking, na którym zostawił samochód, gdy usłyszał, że ktoś go woła. Odwrócił się, to był Mario Scala, jego kolega z antymafijnej.

– Cześć, Salvo. Przed chwilą słyszałem w kwesturze o twojej heroicznej

akcji. Wyrazy uznania. Co tutaj robisz?

– Chciałem dowiedzieć się o stan porucznik Belladonna z kapitanatu, która...

Zaschło mu w gardle i nie mógł dalej mówić. Zdołał tylko wykrztusić:

– A ty?

– Mam tu świadka, nawróconego mafiosa, który przebywa w szpitalu pod fałszywym nazwiskiem. Ale nie jestem spokojny i od czasu do czasu sprawdzam... Jak się nazywa ta porucznik?

– Belladonna.

– Poczekaj na mnie tutaj.

Wrócił po dziesięciu minutach. Montalbano zdążył tymczasem wypalić dwa papierosy, jeden po drugim.

Mario Scala miał zatroskany wyraz twarzy.

– Operowano ją natychmiast. To cud, że dotarła do szpitala żywa, straciła zbyt wiele krwi. Teraz jest na reanimacji.

– Wyjdzie z tego?

– Taką mają nadzieję. Ale jej stan jest bardzo ciężki.

Ponieważ parking był prawie pusty, komisarz wsiadł do samochodu i ustawił go tak, aby mieć dobry widok na główne wejście do szpitala. W schowku miał dwie nienapoczęte paczki papierosów.

Mógł tam spędzić noc. I spędził.

Od czasu do czasu wysiadał z samochodu, robił kilka kroków, patrzył na

fasadę szpitala i wsiadał z powrotem.

Potem, w pierwszym fioletowym świetle wstającego dnia, zobaczył, jak ze szpitala wychodzi mężczyzna w mundurze i wyciąga z kieszeni komórkę. Rozpoznał go.

Porucznik Garrufo!

Montalbano wyskoczył z samochodu i podbiegł do niego. Kiedy się przy nim znalazł, odtrącił jego rękę trzymającą telefon i zapytał: – Jak się czuje Laura?

Tamten już miał mu zrobić awanturę, ale na szczęście go rozpoznał.

– Ach, to pan? Chwileczkę!

Podniósł komórkę do ucha.

– Oddzwonię później.

– Jak ona się czuje? – powtórzył Montalbano.

Garrufo miał pomięty mundur i twarz kogoś, kto nie zmrużył oka przez całą noc.

Rozłożył ramiona i Montalbano poczuł, że zamiera mu serce.

– Co mogę panu powiedzieć? Jest bardziej po tamtej stronie niż po tej. Spędziłem przy niej całą noc, kiedy zabrano ją na salę operacyjną, siedziałem w korytarzu. Przed operacją odzyskała na chwilę przytomność. Potem już nie.

– Zdołała coś powiedzieć?

Montalbanowi wydało się, że porucznik trochę się zmieszał.

– Tak. Powtórzyła dwa razy imię.

Zawahał się na chwilę, a potem spytał:

– Pan nazywa się Salvo, prawda?

Ton, jakiego użył, sprawił, że to nie było pytanie, tylko stwierdzenie. Zapadła cisza. Potem Garrufo powiedział: – Zawiadomiliśmy narzeczonego. Nie będzie mógł przyjechać, nie sądzi, że może dostać przepustkę.

Nagle komisarzowi przypomniało się, że w jego śnie także Livia nie chciała przyjechać na jego pogrzeb. Co to miało wspólnego z tą sytuacją? Skąd ta myśl? Może efekt zmęczenia? Wtedy chodziło o sen, a...

– Ordynator powiedział mi, że to bardzo, bardzo dziwne, że Laura nie współpracuje.

– W jakim sensie?

– Mówi, że to młoda dziewczyna i jej ciało powinno reagować instynktownie, walczyć, choćby na poziomie podświadomości... tymczasem... No nic, wracam.

Nie chce reagować, nie chce walczyć o swoje zbawienie, pomyślał Montalbano, kierując się do samochodu ze zdławionym gardłem i sercem ściśniętym jak pięść, bo może dokonała wyboru. A raczej, woli porzucić wszystko, by nie musieć wybierać.

Godzinę później drzwi po drugiej stronie samochodu się otworzyły i ktoś usiadł obok komisarza. Montalbano nie odwrócił się, aby popatrzeć kto to, nie był już w stanie oderwać oczu od wejścia do szpitala.

– Pojechałem do pana do Marinelli. Nie było pana w domu. Zrozumiałem, że znajdę pana tutaj, i przyjechałem – powiedział Fazio.

Komisarz nie odpowiedział.

Po półgodzinie zobaczył, że ze szpitala wychodzi Garrufo.
Szedł zgięty we dwoje, twarz miał ukrytą w dłoniach, płakał.
– Zabierz mnie do domu – powiedział Montalbano do Fazio.
Oparł głowę na zagłówek fotela i wreszcie zamknął oczy.

Nota

Jedyną informacją odpowiadającą faktom realnego świata jest istnienie Kimberley Process. Reszta powieści, od imion postaci do sytuacji, w których się znalazły, to owoc mojej wyobraźni.

A.C.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące utwory

Andrei Camilleriego:

- *Kształt wody* (2007) • *Pies z terakoty* (2007) • *Złodziej kanapek* (2007) • *Zniknięcie Patò* (2004) • *Głos skrzypiec* (2008) • *Miesiąc z komisarzem Montalbano* (2008) • *Pomarańczki komisarza Montalbano* (2009) • *Wycieczka do Tindari* (2007) • *Zapach nocy* (2008) • *Piwowar z Preston* (2008) • *Obietnica komisarza Montalbano* (2009) • *Kolor słońca* (2009) • *Cierpliwość pająka* (2010) • *Pensjonat „Ewa”* (2010) • *Papierowy księżyc* (2011) • *Szary kostium* (2011) • *Sierpniowy żar* (2012) • *Skrzydła Sfinksa* (2013) • *Sezon łowiecki* (2014) • *Pole garncarza* (2014)

Przypisy

[1] Cytat pochodzi z sonetu 156, tł. Felicjan Faleński, wyd. polskie *Pieśni Petrarki*, 1881.

Spis treści

Karta redakcyjna

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

Nota

Przypisy